

PIOTR KRYSIAK

**WYSPA
ŚLEPCÓW**

PIOTR KRYSIAK

WYSPA ŚLEPCÓW



Copyright © Piotr Krysiak
Copyright © Deadline, Warszawa 2017

Wydawca: Deadline
wydawnictwo.deadline@gmail.com

Dystrybucja:
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o.

ISBN 978-83-947325-0-9

Druk i oprawa:
DRUK-INTRO S.A.

Opracowanie layoutu
i łamanie: Janusz Barecki

Spis treści

WSTĘP

CZĘŚĆ PIERWSZA

MISJA JUNCALITO

MODLĄ SIĘ O WIZĘ DO USA

KONIEC ŚWIATA JUNCALITO

MODA NA KOŚCIÓŁ

KAWAŁEK POLSKI W JUNCAUTO

SKROMNIE I CIEPŁO

SZWADRON RATUNKOWY

AMBULANS, GPS-Y, WÓZ STRAŻACKI

LUDZIE SIĘ DO KSIĘDZA GARNA

PIERWSZE OSTRZEŻENIE

KOMISARIAT W KURNIKU

NEGRO

SĄ JESZCZE PRAWDZIWI KSIĘŻA

PIERWSZE ZARZUTY

POLSKI KSIĄDZ Z DOMINIKANY ZAWIESZONY

CZĘŚĆ DRUGA

KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ

DRUGI PO BOGU

BÓG Z JUNCALITO

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

BOJĘ SIĘ WYJŚĆ Z DOMU

TYLKO ON I DZIECI ZNAJĄ PRAWDĘ

HUŚTAWKI NASTROJÓW

OBLĘŻONA TWIERDZA

WYWIAD ODWOŁANY

CISZA PRZED BURZĄ

JESZCZE JESTEM KSIĘDZEM
NIE MOLESTOWAŁEM TYCH DZIECI
NIE PAMIĘTAM, CZY GO O TO PROSIŁEM
MODLĘ SIĘ ZA TE DZIECI
KAŻDY MA PRAWO DO AUTORYZACJI
DŁUGA NOC
MILCZENIE JEST ZŁOTEM
PRZYJEŹDŹAJ DO FIRMY
PROGRAM „Dziś Wieczorem”, TVP Info.

CZĘŚĆ TRZECIA

POTRÓJNE ZAPRZECZENIE I PRAWDZIWE KŁAMSTWA
ORTEGA UJAWNIA PEDOFILSKIE ZDJĘCIA
ZDJĘCIE Z SYPIALNI?

CZĘŚĆ CZWARTA

MOJE ŚLEDZTWO W JUNCAUTO
OJCIEC CARLA
KTOŚ GO OSTRZEGŁ
CARLO ZWIERZYŁ SIĘ PRZYJACIÓŁCE
REWIZJA NA PLEBANII
MISJA PSYCHOLOGÓW
DZIAŁAŁ W PEDOFILSKIEJ SZAJCE
MILCZENIE DIAKONA
ROZPOZNALIŚMY NA ZDJĘCIACH DŁOŃ
PONAD PRAWEM
NIE PROWADZĘ JUŻ TEGO ŚLEDZTWA
ŚLEDZTWO NURII PIERY
ZAPROSZENIE DO PROKURATURY
ŻYCIE NA BULWARZE MALECON
TO CZŁOWIEK SEKSUALNIE CHORY

CZĘŚĆ PIĄTA

WEEKEND W MODLNICY
CO BĘDZIE DALEJ?

CZĘŚĆ SZÓSTA

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ
ZATRZYMANIE
ZDJĘCIE
ARESZT

CZĘŚĆ SIÓDMA

RETROSPEKCJA

CZĘŚĆ ÓSMA

POLSKIE ŚLEDZTWO
POGRAŻYŁ GO NEGRO

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI
BYCZEK NA PRAKTYKACH
HISTORIA MICHAŁKA
NIKT NIE WIERZY PODGLĄDACZOM
DANIELOWI DAWAŁ DWA ZŁOTE
DO MNIE SIĘ NIE ZALECAŁ
KIEROWNIK DARIUSZ K.
SODOMA I GOMORA
DOSTAŁ, BO OBRAZIŁ BOGA
TAJEMNICZE ZAGINIĘCIE
NIE MOGĘ ROZMAWIAĆ

CZĘŚĆ DZIESIĄTA

PROSZĘ O WYBACZENIE
WYROK
PO WYROKU

WSTĘP

Historia dwóch polskich księży pedofilów z Dominikany wstrząsnęła naszym krajem i Kościołem katolickim. Sprawą tą zainteresowały się i szeroko ją relacjonowały wszystkie polskie media. Także na Dominikanie przez wiele miesięcy był to news numer 1. Najpierw dzięki dziennikarzom śledczym wybuchła sprawa padre Alberta, księdza z małej górskiej wioski. Kilka miesięcy później najsłynniejsza dominikańska dziennikarka ujawniła, że molestowania dzieci dopuszczał się również nuncjusz apostolski Józef Wesołowski. Padre Alberto znałem osobiście. Nie mogłem uwierzyć, że mógł to zrobić. Po wybuchu afery w Polsce udało mi się namówić go na rozmowę. Był to jedyny wywiad, jakiego udzielił.

Gdy po raz pierwszy szedłem na rozmowę kwalifikacyjną do pracy w redakcji, przygotowywała mnie do niej koleżanka. Cóż ja, licealista, mogłem powiedzieć o dziennikarstwie starym wyjadaczom? Patrycja studiowała polonistykę, pomyślałem więc, że będzie wiedziała, jak powinienem się zaprezentować. Do dziś pamiętam jej słowa, że dziennikarze powinni doprowadzać ujawnione przez nich sprawy do końca, a nie interesować się nimi tylko wtedy, gdy budzą największe zainteresowanie. Po wielu latach pracy widzę, że miała rację. Często kolejne afery przesłaniają to, o czym jeszcze niedawno informowaliśmy na pierwszych stronach. Tymczasem w zaciszu sądowych sal rozpraw – już bez kamer czy choćby mikrofonów – winni zostają uniewinnieni albo skazani na niewielkie kary, a ofiary pozostawione samym sobie.

Za punkt honoru postawiłem sobie dokończyć sprawę padre Alberta. Pracowałem nad tą książką trzy lata. Nie było łatwo. Ofiarami księdza są dzieci, które zazwyczaj nie chcą wracać do

tego, co je spotkało. A jeśli już postanowią mówić, to zgodę na wywiad muszą jeszcze wyrazić rodzice, co też rzadko się zdarza. Również przekonanie dorosłych ofiar molestowania jest bardzo trudne. Wystarczy spojrzeć, jak niewiele książek o pedofilii się ukazało, nie tylko w Polsce, ale i na świecie. W Polsce poza tą wydano jedną czy dwie.

Sledczy sprawy pedofilii też traktują w wyjątkowy sposób. Starają się chronić ofiary. I słusznie. Sędziowie – i trudno im się dziwić – najczęściej wyłączają jawność rozpraw. Czasami wydają zgodę na wgląd w akta sprawy. Na szczęście nie było mi to potrzebne. Udało mi się bowiem przekonać do rozmowy wiele osób, przełamać znowę milczenia. Wysłuchałem wielu niewiarygodnych historii, które wydarzyły się naprawdę. Dla dobra pokrzywdzonych zmieniłem ich imiona i nazwiska. O niepodawanie danych osobowych prosili też nauczyciele pracujący niegdyś z Wojciechem G. w ośrodku szkolno-wychowawczym pod Warszawą.

Napisałem tę książkę ku przestrodze. Dedykuję ją przede wszystkim Rodzicom. Wszystkim Rodzicom. Jak często, wysyłając dziecko na obóz, kolonie, zajęcia pod opieką duchownego, jesteśmy przekonani, że zapewniamy mu bezpieczeństwo. W końcu jest z księdzem, o lepszej opiece trudno marzyć. Tymczasem w „Wyspie ślepców” opisałem schemat, jakim posługiwał się ksiądz pedofil, żeby zdobyć zaufanie – nie tylko dzieci, ale też ich rodziców. Jak sprytnie siał zamęt w głowach małych podopiecznych, którzy z niby mało ważnych wydarzeń wyciągali często mylne wnioski. Bo przecież skoro na przykład rodzice zgadzali się, żeby ksiądz robił im zdjęcia w garniturach, a nawet pokazywał je na wystawie w kościele, to skąd mogły wiedzieć, że inne – nagie – zdjęcia są złe. Przecież rodzice pozwolili!? Kazali chodzić do kościoła, służyć księdzu... Skąd siedmiolatek mógł wiedzieć, kiedy padre Alberto przekracza granice prawa? I przyzwoitości...

Ten proceder mógł się skończyć dużo wcześniej. Jeszcze przed wyjazdem Wojciecha G. na Dominikanę. Ale w ośrodku pod Warszawą wszyscy woleli milczeć. Nie tylko ofiary, ale też ich rodzice, nauczyciele, koledzy, rodzice kolegów. Bo kto im uwierzy, gdy doniosą na księdza? Kto im pomoże? Zresztą, czy warto walczyć „z Panem Bogiem”?

Być może po latach przełamali się pod wpływem aroganckich wypowiedzi tych „przedstawicieli Boga”? „Wielu molestowań udałoby się uniknąć, gdyby relacje między rodzicami były zdrowe. Często wyzwala się ta niewłaściwa postawa czy nadużycie, kiedy dziecko szuka miłości. Ono lgnie, ono szuka. I zagubi się samo, i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga”, powiedział 8 października 2013 roku arcybiskup Józef Michalik, były przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, tuż po wybuchu afery padre Alberta. Później przeprosił za te słowa, ale zdążyły pójść w świat.

Oczywiście przypadki padre Alberta czy nuncjusza Józefa Wesołowskiego nie oznaczają, że każdy ksiądz jest zły. Jestem przekonany, że tych złych jest mniej niż dobrych. Ale są. I trzeba się z tym rozprawić, a nie zamiatać pod dywan.

Nie chcę, żeby ktokolwiek odebrał tę książkę jako atak na Kościół, choć zdaję sobie sprawę, że część osób tak ją oceni. O wielu wydarzeniach tu nie napisałem, bo nie znalazłem rzetelnego potwierdzenia w drugim źródle (słowach innego świadka, dowodach rzeczowych, dokumentach). Wszystkie przywołane przeze mnie fakty zostały sprawdzone i potwierdzone.

Od wybuchu afery pedofilskiej z polskimi księżmi byłem na Dominikanie sześciokrotnie. Bardzo dziękuję za zaufanie pokrzywdzonym dzieciom, ich rodzicom i dominikańskim śledczym, którzy wyważyli przede mną wiele drzwi. Bez Was nie byłoby tej książki. Bez Waszej pomocy nie dałoby się ostrzec innych.

Dziennikarz to zawód, który wymaga – oprócz sprytu, uwagi, dociekliwości – szczęścia. To właśnie łut szczęścia pomógł mi opowiedzieć tę historię. Nie planowałem wyjazdu na Dominikanę, nie zamierzałem poznawać tam księży. Wszystko to stało się szczęśliwym zbiegiem okoliczności, przypadkiem. I to jest właśnie szczęście w tym nieszczęściu.

Wiem, że niektóre fragmenty książki trudno czytać. Proszę mi wierzyć, że równie trudno było mi je pisać. Wielokrotnie zastanawiałem się, czy powinienem przedstawiać tę historię ze wszystkimi drastycznymi szczegółami. Jednak to właśnie wstrząs

działa najmocniej na naszą wyobraźnię. A to wszystko, niestety, zdarzyło się naprawdę.

PIOTR KRYSIAK

PS Mimo wyroku sądu do dziś żadne z pokrzywdzonych dzieci nie otrzymało zadośćuczynienia od padre Alberta, choć to sam ksiądz, dobrowolnie poddając się karze, określił wysokość odszkodowań. Inna sprawa, czy były one adekwatne do poniesionych strat. Pieniądzy nie przekazał też zakon michalitów, do którego Wojciech G. należał.

Postanowiłem więc, że z każdego sprzedanego egzemplarza książki złotówka zostanie przekazana chłopcu, od którego wszystko się zaczęło – Carlo był pierwszą ofiarą księdza pedofila i jako pierwszy przerwał wieloletnią zмовę milczenia.

Kolejną złotówkę z każdego sprzedanego egzemplarza postanowił przekazać pokrzywdzonym dzieciom dystrybutor książki – Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o.

Także autor okładki poprosił mnie, by jego honorarium przekazać jednemu z molestowanych przez padre Alberta chłopców.

Nam nie jest wszystko jedno

gazeta

WYBORCZA.PL

Polski ksiądz z Dominikany podejrzany o pedofilię

Diecezja w dominikańskim Santiago de los Caballeros poinformowała, że o zawieszenie 36-letniego księdza Wojciecha G. poprosili jego przełożeni z zakonu michalitów.

Informacja o wszczęciu śledztwa zastała go poza Dominikaną. Zdaniem lokalnych mediów ksiądz przebywa teraz w Polsce, ale władze michalitów poprosiły, by jak najszybciej wrócił i odpowiedział na zarzuty molestowania przed prokuraturą i sądem. Śledczy nie wykluczają wniosku o ekstradycję z Polski.

Wojciech G. pracował na wyspie od dziewięciu lat. Był proboszczem w górskiej wiosce Juncalito, gdzie prowadził internat dla chłopców i dziewcząt, współzakładał straż pożarną oraz grupę ratowników górskich. Tych ostatnich szkolili w Polsce TOPR-owcy i strażacy z Krakowa. Obietnice wycieczek do Europy miały być - zdaniem rodziców skrzywdzonych nastolatków - przynętą dla dzieci. Grupa młodych parafian, z którą pracował, liczyła łącznie ok. 180 osób. Policja znalazła w pokoju Wojciecha G. materiały pornograficzne z niepełnoletnimi.

Władze potwierdziły, że dotychczas złożono przeciw niemu tylko jedno formalne doniesienie o przestępstwie, ale zdaniem mediów śledztwo obejmuje podejrzania o molestowanie co najmniej 14 nastolatków. Prokuratura odmawia podania szczegółów.

Informacje te wywołały wstrząs i podziały w Juncalito. Spora część parafian nie wierzy w winę popularnego proboszcza, protestuje w kościele przeciw jego zawieszeniu i zapowiada, że nie zgodzi się na żadnego nowego duszpasterza. Jednak oskarżenie miało ponoć dodać odwagi świadkom, którzy zgłaszają się na policję, by zeznawać przeciw niemu.

Zawieszenie Wojciecha G. w obowiązkach duszpasterskich już podczas trwającego śledztwa i pomimo procesowego domniemania niewinności to rezultat kościelnych reform, które Watykan wprowadza od ponad dekady w walce z księzowską pedofilią. Nakazują one szybkie odsunięcie podejrzanego księdza (o ile zarzuty brzmią zasadnie) od pracy z dziećmi bez czekania na zakończenie procesu sądowego czy też - trwającego zwykle jeszcze dłużej - postępowania przed sądem kościelnym. **o 1081**

**CZĘŚĆ
PIERWSZA**

MISJA JUNCALITO

– Uwaga, plan na jutro! Wstajemy wcześniej rano. Przyjeżdżamy po was do hotelu o szóstej i wyruszamy razem do Cabarete. Macie też umówione spotkanie z polskim księdzem, który zrobił tu dużo dobrego dla ludzi, przede wszystkim dla dzieci. Opowiemy wam wszystko po drodze – zakomunikowała nam Agata Strzyżakowska, właścicielka biura podróży, która przekonała nas do przyjazdu na Dominikanę.

Wcale nam się ten plan nie podobał. Przylecieliśmy zaledwie kilka godzin wcześniej, mieliśmy ochotę poimprezować do późnej nocy czy wczesnego ranka.

– Może nie jedźmy z nimi... Lepiej najpierw porządnie odpocząć – powiedziałem do Roberta Rzepnikowskiego, kumpla dziennikarza, z którym wybraliśmy się na wyspę.

Obaj pracowaliśmy w telewizji i od kilku lat nie mieliśmy prawdziwych wakacji. Długo nie mogliśmy się zdecydować, dokąd pojechać. Moim marzeniem była Kuba. A ponieważ obydwaj byliśmy wtedy zatrudnieni w TVP Polonia, pomyślałem, że z wyjazdu przywieziemy materiał na reportaż i przynajmniej część kosztów wakacji nam się zwróci. W końcu Kuba odpadła, bo wszyscy mówili nam, że trudno tam filmować – ludzie są podejrzliwi, policja wciąż kontroluje. Wybraliśmy więc Dominikanę.

To miały być wakacje życia. I były...

Nie wyruszyliśmy o szóstej, bo dziewczyny zasnęły i stawily się po nas godzinę później. Ledwo żywi zwlekliśmy się z łóżek i pojechaliliśmy z nimi. Naszym celem było Cabarete, z krótkim przystankiem w Juncalito, małej wiosce w Kordylerze Centralnej, gdzie od kilku lat proboszczem był polski ksiądz Wojciech G., znany tam bardziej jako padre Alberto. Ten pseudonim nadali mu Dominikańczycy. Zakonnik był tam bardzo popularny. Wszyscy go szanowali, robił dużo dla lokalnej społeczności. Dobrze zakorzenił się w tym środowisku. Rokrocznie organizował wyjazdy do Polski – zabierał dzieci i

dorosłych. To, ile osób z nim jechało, zależało głównie od hojności sponsorów.

Wioska leżała trochę nie po drodze, ale mając takiego bohatera (i żadnej innej rozmowy potwierdzonej na sto procent), nie chcieliśmy stracić okazji.

Pojawiły się, niestety, problemy – ksiądz nie odbierał telefonu. Agata dzwoniła do niego co jakiś czas. Bezskutecznie.

– Dzisiaj jest jakieś święto kościelne na Dominikanie, pewnie odprawia mszę – uspokajała nas. Nie musiała się usprawiedliwiać. Tego dnia jak nigdy nie chciało nam się pracować.

MODLĄ SIĘ O WIZĘ DO USA

Agata dowiedziała się o księdzu Wojciechu G. od polskiego konsula honorowego na Dominikanie Marka Piwowarskiego. Wielokrotnie pomagał on księdzu – zapraszał go z dziećmi do swojego domu, zabierał na plażę, wynajmował autokar, żeby mieli jak dojechać. Wszystko opłacał z własnych pieniędzy. Żeby zrobić przyjemność dzieciakom.

Bo choć trudno w to uwierzyć, wiele dzieciaków z Juncalito, choć żyje na wyspie oblanej z jednej strony Morzem Karaibskim, a z drugiej Oceanem Atlantyckim, przez całe życie może nie zobaczyć plaży.

Do morza mają około 200 kilometrów, do oceanu 120. Jednak taka wyprawa zajmuje co najmniej sześć godzin. Do ich wioski prowadzi bowiem jedynie piaszczysta górską drogą, którą niezwykle trudno pokonać. A poza tym taka wycieczka to spory wydatek, na który nie stać prawie nikogo z wioski.

W Juncalito żyje około 6 tysięcy osób; 35 procent wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu lepszego życia. W ich miejsce pojawiają się nowi, a kolejni emigrują. Dominikańczycy są bardzo religijni. Najczęściej modlą się o... wizę do USA.

Telefon księdza G. wciąż milczy. Nie jest wyłączony, duchowny po prostu go nie odbiera. Pokonujemy trasę z Punta Cana, dominikańskiego kurortu pełnego złotych klatek – pięciogwiazdkowych hoteli all inclusive z białą piaszczystą plażą i półoryginalnym mojito, rojącego się od rosyjskojęzycznych turystów, Niemców i Kanadyjczyków – do Cabarete, małej wioski rozwijającej się wręcz niewiarygodnie od kilkunastu lat. Najpierw pojawili się tam kitesurferzy, bo był tam fantastyczny wiatr. W kilka lat z biednej wioseczki powstał nadmorski kurort – miniatura naszego Sopotu. W sezonie trudno tam znaleźć miejsce w hotelu czy prywatną kwaterę. Ulice zastawione są samochodami, w większości z wypożyczalni. Stare, obskurne rudery zamieniają się w ekskluzywne apartamentowce. W dzień życie toczy się na plaży, a w nocy... też na plaży. Kluby, restauracje, dyskoteki. Wśród bywalców głównie turyści, ale także tubylcy. Na każdym kroku policjanci z długą bronią. Wszyscy ostrzegają, by po dwudziestej trzeciej nie przechadzać się plażą, nie wracać nią do hotelu, bo można zostać w samych slipkach, a czasami i bez nich.

Nie mieliśmy zarezerwowanego hotelu. Wiedzieliśmy, że trudno będzie nam znaleźć miejsce w szczycie sezonu, a poza tym było nas kilkoro.

Ksiądz G. tego dnia nie odebrał. Okazało się, że brał udział w strajku, który zorganizował – w sprawie wybudowania asfaltowej drogi do Juncalito. Duchowny zebrał mieszkańców wioski i na środku drogi odprawił mszę. Wszystko odbyło się pokojowo. Nikt nie ucierpiał.

Cały czas próbowaliśmy go namierzyć, ale nie odbierał przez kilka następnych dni. Właściwie pogodziliśmy się już z myślą, że go nie poznamy, ale...

Odwiedziliśmy konsula Marka Piwowarskiego. Po nagraniu rozmowy wyszedłem z nim na spacer z psem. Oglądając okolice, poprosiłem, by osobiście spróbował zadzwonić do księdza G. i przekonać go, żeby się z nami spotkał. Konsul od razu wyjął komórkę i wybrał numer księdza. Padre Alberto odebrał niemal natychmiast. Rozmawiali po polsku. Z kontekstu zrozumiałem, że ksiądz nie jest specjalnie zainteresowany rozmową z dziennikarzami. Próbował się wykreślić. Na migi pokazywałem konsulowi, jak bardzo nam zależy i że jeśli nie nagramy księdza,

to cały plan na nic, bo nie mamy wystarczająco dużo materiału na reportaż.

Marek odszedł na bok i nadal negocjował z księdzem. Po chwili schował komórkę do kieszeni, zagwizdał na swojego psa i podszedł do mnie.

– Umówiłem was na jutro. Wojtek będzie czekał na was od rana. Możecie zostać u niego na noc, żeby wszystko zobaczyć – rzucił uśmiechnięty.

– Dziękuję. Widzę, że nie było łatwo go przekonać. Co się stało? – zapytałem. – Przecież Agata wcześniej wszystko załatwiła.

– Czy ja wiem? Wojtek chyba nie lubi rozgłosu, nie lubi udzielać wywiadów. Uważa, że to, co robi, robi dla ludzi, nie dla sławy – odparł konsul.

– Robert, jesteśmy umówieni z księdzem. Jedziemy jutro rano! – zawołałem, gdy tylko weszliśmy na basen w domu Marka, w którym zresztą wielokrotnie pływały dzieci z Juncalito.

KONIEC ŚWIATA JUNCALITO

22 stycznia 2013 roku o piątej nad ranem wyruszamy z Cabarete. Choć do Juncalito jest najwyżej 120 kilometrów, droga zajmie nam około sześciu godzin. Niestety, kompletnie jej nie znamy. Nie ma po co dzwonić po pomoc do księdza, bo i tak nie odbierze telefonu. Zresztą głupio dzwonić o szóstej rano i pytać o drogę. Na szczęście bez problemu dojeżdżamy do Santiago, pierwszego i zarazem ostatniego większego miasta w drodze do Juncalito.

Do księdza pojechała z nami tylko Gośka. Jedyna z nas mówi po hiszpańsku, więc to jej przyszło wypytywać przypadkowo napotkanych w Santiago przechodniów o drogę do wioski. Nikt jej jednak nie zna.

Zaczynają się sprawdzać złowieszcze przepowiednie na temat Dominikany. Że jest niebezpieczna. Zatrzymujemy auto na jednym z napotkanych przystanków autobusowych. Stoi na nim kobieta w średnim wieku. Gośka pyta ją o coś po hiszpańsku. My

palimy papierosy, nie przysłuchując się specjalnie rozmowie. I tak nic byśmy nie zrozumieli.

Kobieta odchodzi, a Gośka mówi, nie spuszczać z niej oczu:

– Jedź. Jedź już.

– Co się stało? – pytam.

– Oni nie wiedzą, gdzie jest Juncalito. Ale powiedziała mi, żebyśmy się tak nie zatrzymywali, bo jak źle trafimy, będziemy musieli szukać policji już bez samochodu i bez ubrań.

Zaczęło świtać. Poczuliśmy się trochę bezpieczniej, choć może dla Dominikańczyków nie ma w tym wypadku wielkiego znaczenia, czy jest ciemno, czy jasno. Dotarliśmy do jakiegoś bazaru owocowo-warzywnego i tam wreszcie powiedziano nam, jak dojechać do Juncalito.

Widoki zapierały dech w piersiach. Wszyscy – łącznie z Gośką, która mieszkała na Dominikanie do kilku lat – robiliśmy zdjęcia. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy samochód, żeby sfotografować wodospad, górskie pasma przesiąknięte zielenią i palmy dodające egzotyczności.

Piaszczysto-kamienistą drogą bardzo powoli sunęliśmy ku górze, nie wiedząc, jak daleko mamy jeszcze do celu. Głodni, myśleliśmy tylko o dużym dobrym śniadaniu. W przydrożnych sklepach można było kupić głównie piwo, lokalną kawę, papierosy i chipsy. Im wyżej wjeżdżaliśmy, tym mocniej czuliśmy głód. Nagle w środku lasu obok wiaty autobusowej wypatrzyliśmy kilku mężczyzn uwijających się wokół grilla czy może niewielkiego ogniska. Ostrzeżeni przez kobietę, żeby nie rozmawiać z nieznanymi, minęliśmy ich powoli. Zobaczyliśmy, że rozprawiają zaszlachtowanego świniaka. Wiedzieliśmy, że takie kadry pokazałyby prawdziwe życie na Dominikanie, a nie złote klatki.

Cofnąłem auto. Wysiedliśmy, Gośka zapytała, czy możemy zrobić trochę zdjęć. Robert wyciągnął kamerę i zaczął nagrywać. Choć dałbym wtedy nawet ze sto dolarów za schabowego, to pożegnałem się z tą myślą na widok ociekającego krwią świniaka. Jednak palenisko było gotowe, wystarczyłoby kilka

minut. Niestety, mężczyźni wyjaśnili Goście, że ogień jest dla świni, ale będą ją piec później.

Oblizując się smakiem, za to ze znakomitymi zdjęciami krojonego warchlaka i spływającej krwią drogi, zapakowaliśmy się do naszego starego terenowego hyundaia i ruszyliśmy w góry.

Kościół księdza G. znajduje się w samym centrum wioski, w najwyższym jej punkcie. Juncalito położone jest w Kordylierze Centralnej, na wysokości ponad tysiąca metrów nad poziomem morza, 60 kilometrów od Santiago. Biedę widać tu gołym okiem. Większość mieszkańców jest rolnikami, jednak wielu nie pracuje. W tym górskim klimacie rolnicy uprawiają kawę. Ponoć jedną z najlepszych na świecie. Swoje plantacje ma tam ponad 1500 producentów kawy – od tych najmniejszych do wielkich potentatów. Przed kościołem, którego dwie białe wieże wzbijają się do nieba, roztacza się piękny widok na wyższą część Kordylierów, w tym szczyt Pico Duarte. Od tego egzotycznego krajobrazu trudno oderwać wzrok.

MODA NA KOŚCIÓŁ

Świątynię polskiego księdza z obu stron otacza asfaltowa droga – rzadkość w tym miejscu. Wokół typowe dla dominikańskich wiosek domy. Szczerze mówiąc, trudno je nazwać domami. To zbudowane z blachy lub drewna domki z blaszanymi dachami. Aż strach pomyśleć, jak musi być w nich gorąco, gdy wszędzie słońce. W domach jest ciemno. Nie ma światła. No, może bywa kilka godzin dziennie. Władze je wyłączają, bo są problemy z elektrycznością. Kłopotów ze światłem nie mają tylko ci, którzy kupili generatory prądu. Ma je niewiele rodzin.

Powoli objeżdżamy kościół. Zatrzymujemy się na jego tyłach, gdzie dostrzegamy białego człowieka.

– To chyba on – mówi Robert.

Wysiadamy z samochodu. Wita nas przemiły niewysoki mężczyzna z lekkim brzuszkiem i kilkudniowym zarostem na

twarży. Koszula, dżinsy i klapki nie pomagają rozpoznać w nim duchownego.

– Wy pewnie z telewizji? Zapraszam. Chodźcie do środka, na pewno jesteście głodni. Carmen przygotowała śniadanie – mówi ksiądz Wojciech G. vel padre Alberto.

Zaprasza nas do domu. To dwupiętrowy budynek. Przy nim stoi zaparkowany pick-up, kilku lub nawet kilkunastoletni. Obok niego quad.

Wspinamy się po dość stromych zewnętrznych schodach na pierwsze piętro, dźwigając laptopy, kamerę, ładowarki do baterii. Wszystko nam się w międzyczasie wyładowało, chcieliśmy więc czym prędzej podłączyć się do prądu.

Jako pierwszego poznajemy Negro – psa duchownego. Młody czarny labrador szaleje na nasz widok jak szczeniak. Wchodzimy do salonu, który sąsiaduje z kuchnią, gdzie wita nas Carmen, gospodyni księdza Wojtka. Niezwykle sympatyczna kobieta około czterdziestki. Nie narzuca się, tylko wskazuje salon, w którym już nakryła do stołu. Sama skrywa się w kuchni, by skończyć przygotowywany posiłek.

Na stole było wszystko, o czym mógłby pomarzyć głodny człowiek. Parówki na gorąco, jajecznicą, jajka na twardo, pomidory, świeże pieczywo. Gorąca kawa i herbata. Klasyczne polskie śniadanie. Nie trzeba było nas namawiać.

Żeby skrócić dystans, ksiądz Wojciech od razu zaproponował, żebyśmy przeszli na ty.

Podłączyliśmy sprzęt do prądu i wszyscy razem zasiedliśmy do stołu. Od razu zaczął opowiadać:

– Przyjechałem tu w 2006 roku. Tak naprawdę nigdy nie chciałem pracować na Dominikanie. Moim marzeniem była Ameryka Południowa. Ale w 2006 roku wezwał mnie mój przełożony i zapytał: Nadal chcesz jechać na misję? Odpowiedziałem, że tak. No to mamy miejsce na Dominikanie. Tam pojedziesz – wspominał Wojtek. – No i przyjechałem. Mieszkałem najpierw kilkadziesiąt kilometrów niżej, w Janico. Byłem wikarym u księdza Jimmy’ego.

Jimmy to ksiądz Jan Drabczak. Zanim Wojciech G. dotarł na Dominikanę, Drabczak dojeżdżał do wiernych w Juncalito. Ale później to Wojtek zajął się tą wioską. Rozruszał całą lokalną społeczność. Setki wiernych zaczęły przychodzić na jego msze. Było ich tylu, że nie mieścili się w kościele. Padre Alberto zdecydował, że zamiast jednej mszy będą trzy. A kościół i tak pękał w szwach.

Gdy ksiądz G. przyjechał do Juncalito, było tu siedmiu ministrantów. Gdy ostatni raz wyjeżdżał do Polski – stu osiemdziesięciu. Ludzie zaczęli lgnąć do parafii. Przede wszystkim dlatego, że nowy ksiądz naprawdę chciał zrobić dla nich coś dobrego. I oni to widzieli. Czuli.

Chodzenie na mszę stawało się modne. A padre Alberto z tego korzystał. Przyjeżdżali tu nie tylko lokalni politycy, ale też ci z miasta. I wiele obiecywali. Zdarzało się, że podczas mszy wręczali księdzu kopertę, mówiąc z ambony, że jest tam 50 tysięcy pesos, a tak naprawdę był tylko tysiąc.

Duchowny często zapraszał polityków po mszy na plebanię. Tam wyjaśniał im, że nie mogą mówić, że dali 50 tysięcy, skoro nie dali. Mówił, że wierni będą go z tego rozliczać – i co on im powie? Że co zrobił z pieniędzmi? Kandydujący politycy zawsze zapewniali, że następnym razem oddadzą resztę. Zwykle jednak nie oddawali. A ksiądz Wojtek angażował siebie i wiernych w liczne protesty. Jeśli mu na czymś zależało, strajkował. Wiedział, że bez protestów nic nie osiągnie.

Przyjeżdżał do niego nawet szef dominikańskiej policji. To on zrobił z niego kapelana i honorowego komendanta policji w Juncalito.

– Nawet dostałem od niego broń. Leży w sejfie – pochwalił się podczas śniadania.

KAWAŁEK POLSKI W JUNCAUTO

W domu księdza Wojtka już od progu pachniało Polską. W salonie, w którym jedliśmy śniadanie, stał telewizor, obok niego

sztuczna przystrojona bombkami choinka – no tak, niedawno było Boże Narodzenie. Na ścianie wisiał wielki obraz z podobizną papieża Polaka Jana Pawła II. Na skromnej komodzie stały zdjęcie rodziców Wojciecha G.

Po śniadaniu ksiądz zaprosił nas do pokoiów gościnnych. Były obok siebie. Małe, skromne – nie wiem, czy miały po 7 metrów kwadratowych. Ale były czyste, z dużym podwójnym łóżkiem i komputerem. Zanieśliśmy tam nasz sprzęt, choć nie było szans, żebyśmy zostali na noc. Dziewczyny musiały wracać do Punta Cana, a przyjechaliśmy ich samochodem. Mieliśmy najwyżej pięć godzin na nakręcenie całego materiału. Co najmniej o dwadzieścia pięć za mało, by pokazać wszystko, co ksiądz Wojtek robił dla mieszkańców Juncalito.

SKROMNIE I CIEPŁO

Cały dom urządzony był dość skromnie. Czuło się w nim jednak rodzinne ciepło. Największą uwagę dzieci skupiał telewizor, który stał w salonie obok choinki. Gromadzili się przed nim chłopcy z całej wioski. Na pierwszy rzut oka było widać, że ksiądz Wojtek prowadzi dom otwarty. Każdy mógł do niego wejść, odpocząć, obejrzeć telewizję czy skorzystać z komputera i Internetu. Tak, Wojtek jako jeden z niewielu w wiosce miał Internet. Miał też generator prądu i klimatyzator, który był prawdziwym luksusem.

Wiedząc, że nie mamy za wiele czasu, najpierw nagraliśmy rozmowę z księdzem. Poszukując najlepszego planu do zdjęć, dokładnie zwiedziliśmy dom zakonnika. Ksiądz od razu zastrzegł, że wolałby za dużo nie mówić, bo woli działać, niż występować.

– Nagrajcie moich współpracowników, oni wam więcej powiedzą, oni robią tu najwięcej – zaproponował.

Ostatecznie kamerę ustawiliśmy na dachu budynku, z którego rozciągał się piękny widok na Kordyliery. Słońce mocno przypiekało, więc co jakiś czas musieliśmy przerywać nagranie, żeby nasz bohater otarł papierem mokre od potu czoło.

Wojtek bez skrępowania opowiadał o tym, co robi na Dominikanie:

– Wiecie już, jak trudno tu dojechać. Teraz walczymy o to, by wybudowali nam asfaltową drogę z Janico do Juncalito. Podczas kampanii wyborczej wszyscy wszystko chętnie obiecują, przyjeżdżają, we mszach uczestniczą. A po wyborach znikają. Nie spotkałem się z wami kilka dni temu, bo strajkowaliśmy. Zablokowaliśmy drogę, żeby władarze poczuli, jak to jest nie mieć drogi – mówił przejęty.

Naszej pracy uważnie przyglądał się kilkuletni chłopiec. Dosłownie nie spuszczał z oczu ani nas, ani księdza G. Kiedy nagrywaliśmy rozmowę na dachu, stał oparty o komin.

SZWADRON RATUNKOWY

– Największym moim sukcesem jest stworzenie tu szwadronu ratunkowego. Ten pomysł zrodził się po potężnym trzęsieniu ziemi na Haiti w styczniu 2010 roku. Pomyślałem wtedy, że Haiti graniczy z Dominikaną. Co byśmy zrobili, gdyby to nas dotknął ten kataklizm? Nic. Byliśmy kompletnie nieprzygotowani na taki scenariusz. A przecież zanim do nas, tu, w góry, dotarliby państwowi ratownicy, minęłoby pewnie kilkanaście dni. Bylibyśmy bez szans – relacjonował padre Alberto.

Kilka miesięcy później zabrał do Polski, do swojej rodzinnej wsi w podkrakowskiej Modlnicy, czternastu Dominikańczyków. Czworo dzieci, dziewięciu mężczyzn i Carmen, swoją gospodynię. Gdy dzieciaki zwiedzały Kraków i Zakopane, dorośli uczestniczyli w bezpłatnych szkoleniach przygotowanych przez topowców i strażaków. Wszystko to zorganizował ksiądz Wojtek i jego przyjaciele z Krakowa.

W Polsce byli na przełomie sierpnia i września 2010 roku. Dokładnie miesiąc i jednaście dni.

W jedną z niedziel wszyscy poszli do kościoła w Modlnicy, gdzie tamtejszy ksiądz ogłosił z ambony, że tego dnia datki na tacę zostaną wyjątkowo przekazane gościom z Dominikany, których zaprosił do kraju ksiądz Wojtek. Dzieciaki zebrały wtedy

pokażną sumkę. Modlniczanie chętnie wrzucali do koszyków datki. Nawet w lokalnej krakowskiej gazecie pojawiły się zdjęcia Dominikańczyków w czasie zbiórki.

Ksiądz zorganizował wszystko perfekcyjnie. Oczywiście nie było ich stać na mieszkanie ponad miesiąc w hotelu. Ale Wojtek, korzystając z pomocy swojej parafii, namówił wiernych, żeby gościli Dominikańczyków w swoich domach. I tak się stało. W domu Wojtka zamieszkali tylko dwaj chłopcy: Carlo (12 lat) i Marcel (13 lat).

Polskie szkolenia nie poszły na marne. Choć na szczęście żadne trzęsienie ziemi nie nawiedziło Dominikany, szwadron ratunkowy i tak miał pełne ręce roboty. Ratownicy szybko zaczęli włączać się w poszukiwania osób zaginionych w górach. A do takich sytuacji dochodzi tam bardzo często.

Pewnego dnia zaginął chory psychicznie mężczyzna. Szwadron Wojtka natychmiast przystąpił do poszukiwań. Po kilku dniach do wykwalifikowanych już ratowników dołączyli inni mieszkańcy Juncalito. W sumie szukało go sto dwadzieścia osób. Po ośmiu dniach wciąż nie odnaleźli mężczyzny. Ratownicy skontaktowali się więc z policją w Santiago i poprosili o wsparcie. Jednak policja odmówiła, tłumacząc, że jeśli zaginął więcej niż pięć dni temu, szanse na odnalezienie go żywego są praktycznie zerowe. Ksiądz G. i jego ratownicy nie dali jednak za wygraną. Dziewiątego dnia odnaleźli mężczyznę. Był cały i zdrowy. Po badaniach w szpitalu wrócił do domu.

Innym razem w górach zaginął amerykański dziennikarz. I znów szwadron księdza G. ruszył na ratunek. Zakończona sukcesem akcja poszukiwawcza trwała tym razem krócej.

AMBULANS, GPS-Y, WÓZ STRAŻACKI

Amerikanin był im tak wdzięczny, że po powrocie do Stanów Zjednoczonych przesłał księdzu G. urządzenia GPS, aby mógł je

wykorzystywać podczas akcji. Szwadron ratunkowy rósł nie tylko w siłę, ale zdobywał coraz więcej sprzętu, na którego zakup nikt nie miał pieniędzy. Działania szwadronu i polskiego zakonnika stawały się też coraz bardziej popularne. A jak wiadomo, wtedy łatwiej coś załatwić. Wojtek nie zasypywał gruszek w popiele, tylko wykorzystywał nadarżające się okazje. Zdołał nawet pozyskać dla wioski wóz strażacki i ambulans.

– To była wielka radość. Gdyby wybuchł tu pożar, żadna jednostka nie miałaby szans dojechać do wioski. Jesteśmy za wysoko i za daleko. Najpierw porządnie wyczyściliśmy wóz strażacki i nauczyliśmy się go obsługiwać. Zaraz go wam pokażę, ale nie miejcie złudzeń. To nie jest najnowszy model. W Europie pewnie trafiłby do muzeum – mówi z uśmiechem padre Alberto. – Na początku chłopaki bardzo sumiennie podchodzili do roboty, ale z czasem, jak się już przyzwyczaili do wozu gaśniczego, to bywało, że musiałem ich pogonić. Zdarzało się, że brakowało w nim wody. Pytałem ich wtedy, po co nam wóz strażacki, skoro jest pusty. Jak będzie pożar, to na nic się nam nie przyda.

Chłopaki co kilka dni rozwijali więc węże, sprawdzali, czy nie sparciały, czy woda leci, czy beczkowóz jest pełny. Ten wóz strażacki rzeczywiście wygląda jak sprzed wojny, ale dla mieszkańców wioski i dla dziennikarzy z Europy stanowi piękny... może faktycznie nieco muzealny obiekt. Jednak koguty lśnią na niebiesko, a syrenę słychać na kilka kilometrów.

Szwadronowi przybywało nie tylko ratowników, ale i obowiązków. Ksiądz Wojtek zdobył krótkofalówki i odtąd ludzie mogli wysyłać komunikaty ratunkowe. Najczęściej wzywano ich do rodzących kobiet.

– Nie, nie odbieraliśmy porodów, tylko dowoziliśmy do lekarza. No, z jednym wyjątkiem... Wiecie tutaj wszystko funkcjonuje troszkę inaczej. Jeśli ktoś chce pojechać do szpitala, to musi zapłacić. Jedzie się tam kilka godzin, a w dodatku rachunek za szpital przyprawia o ból głowy. Dlatego kobiety decydują się na wyjazd w ostatniej chwili. Często dostajemy takie zgłoszenie i na sygnale pędzimy najpierw do domu ciężarnej, a potem do Santiago. No i raz się zdarzyło, że nie zdążyliśmy dowieźć kobiety na czas. Chłopaki zatrzymali samochód, odebrali poród i wszystko skończyło się dobrze – wspomina Wojtek.

Ludzie się do księdza garna

Podczas wywiadu duchowny wspomina o tęsknocie za domem. Może nawet bardziej za ojczyznę. Jednak czuje się tu potrzebny. Tu jest jego kraj, jego wierni, ministranci, biedni ludzie.

– To moje góry i to moje Juncalito – mówi, z rozrzewnieniem patrząc na szczyty.

Trudno nie zauważyć jego dumy z tego, co udało mu się zrobić, nie ma w nim fałszywej skromności. Wie, że jeszcze wiele ma do zrobienia. Jest świadomy, że na to potrzeba pieniędzy, a tu wierni na tacę za dużo nie położą. Cieszy się, że do kościoła przychodzi ich tak wielu. Część z nich włącza się w różne prace. Jak się coś zepsuje w kościele czy w domu, nie trzeba długo szukać chętnych do pomocy. Ludzie się do niego garną.

Najlepiej to widać, gdy schodzimy z dachu, taszcząc statyw, kamerę, krzesła i światło. Natychmiast gromadka dzieciaków rzuca się, żeby nam pomóc. Do domu Wojtka przyszło ich kilkunastu. W pokoju gościnnym, gdzie przed dwoma godzinami jedliśmy śniadanie, kłębi się od nich. Na sofie siedzi też dwóch postawnych Dominikańczyków w mundurach. W pierwszej chwili pomyślałem, że to miejscowi policjanci. Ale Wojtek przedstawił ich szybko jako ratowników szwadronu – to Danny i szef grupy Braulio.

– To moje dwie prawe ręce. Jeśli gdziekolwiek wyjeżdżam, oni mają klucze do mojego domu. Znają też szyfr do sejfu, w którym trzymamy między innymi nadajniki GPS. Różne rzeczy mogą się zdarzyć, a ratować ludzi trzeba, czy ksiądz jest, czy go nie ma – mówi zakonnik.

Aż trudno uwierzyć, że w Juncalito żyje 6 tysięcy ludzi. Mam wrażenie, że moje oczy ogarniają całą tę wioskę, a nie powiedziałbym, że widzę ich tu tyśiąć.

Juncalito rozciąga się na kilkuset hektarach. Wiele domów stoi daleko w górach. Ich mieszkańcy, żeby znaleźć się w centrum, gdzie teraz jesteśmy, muszą przejść kilkadziesiąt kilometrów. Komunikacji właściwie nie ma, z wyjątkiem autobusu z Santiago. Przyjeżdża tu raz dziennie. A czasem wcale. To właśnie tutaj mieści się szkoła. Niektóre dzieci do niej nie

uczęszczają, bo żeby zdążyć na lekcje, musiałyby wyjść z domu dzień wcześniej.

– Dlatego na parterze w moim domu jest mały internat dla chłopców. W tej chwili mieszka ich tu czterech, ale może być nawet sześciu czy siedmiu. Przyjeżdżają w niedzielę albo w poniedziałek, zostają w internacie do piątku i na weekend wracają do swoich domów. To dla nich jedyna szansa, żeby ukończyć szkołę – mówi Wojtek i zachęca nas do wyjścia na zewnątrz. – Weźcie kamerę. Pójdziemy do kościoła, ale najpierw pokażę wam jeszcze internat dla dziewczyn.

PIERWSZE OSTRZEŻENIE

Otoczeni wianuszkami chłopców wychodzimy z budynku. Internat dla dziewcząt mieści się po drugiej stronie plebanii i wchodzi się do niego jak do zwykłego blaszanego domku. Dopiero w środku widać, jak daleko sięga w głąb i w dół. Już w drodze do internatu ksiądz Wojtek zdradza, że bywa w nim wyjątkowo rzadko.

– Mieszkają tu dziewczyny w wieku od siedmiu do piętnastu lat. Tutaj dziewczynki szybciej się rozwijają. Zresztą sami zaraz zobaczycie. Często już jedenastolatki są fizycznie rozwinięte jak pełnoletnie kobiety. Internat prowadzi pani dyrektor. Ja bywam tu tylko wtedy, gdy ona ma jakiś problem. Nie przychodzę, żeby nie było... Wiecie, jak to jest – zdradza niby żartem duchowny.

Zapala mi się w tym momencie czerwona lampka w głowie. Zaraz, zaraz. Jak to? Nie chce przychodzić do internatu dla dziewcząt, żeby nikt nie podejrzewał, że może robić z nimi coś niestosownego, a we własnym domu prowadzi internat dla chłopców? Przecież książy częściej podejrzewa się o molestowanie chłopców niż dziewczynek – zastanawiam się w myślach. Ale lampka gaśnie równie szybko, jak się zapaliła. Nie, nie mogę węszyć wszędzie skandalu. Nie ma powodu, żeby o tym myśleć. Koniec. Przecież to są wakacje – karcę się za swoją zawodową podejrzliwość.

Wchodzimy do internatu dla dziewcząt. Poniżej parteru znajduje się kuchnia i jadalnia. Wypisz, wymaluj jak z pezetpeerowskiego mazurskiego ośrodka wypoczynkowego. Brudne gary, w powietrzu unoszący się smród wilgoci. Garnki i patelnie wiszące na ścianach. Widać, że biednie, ale czysto. Pokoje dziewcząt znajdują się na piętrze. Każdy ma kilkadziesiąt metrów i w każdym stoją piętrowe łóżka. Dziewczęta najwyraźniej zainteresowane są przybyszami z daleka o bardzo jasnej karnacji.

– Zobacz, Robert, jak patrzy na ciebie. Ewidentnie się jej podobasz – mówi padre Alberto.

I po chwili pyta po hiszpańsku dziewczynę, czy mężczyzna z kamerą jej się podoba. Tak sędzę, bo dziewczyna wydaje się nagle bardzo zawstydzona, jednak już do końca naszej wizyty nie spuszcza oczu z Roberta. Wojtek miał rację, mówiąc, że te dziewczyny dorastają prędkiej. Większość z nich ma mocny teatralny makijaż, z karminowo podkreślonymi ustami i paznokciami jak wokalistka La Bouche. Z uwydatnionymi piersiami wyglądają bardziej na absolwentki uniwersytetu niż uczennice podstawówki czy liceum.

Uwagę przykuwa to, z jaką atencją słuchają Wojtka. Żadna z nich się go nie boi, nie odwraca wzroku, nie stroi za jego plecami durnych min. Widać, że go lubią. Wojtek siada na łóżku, a wokół niego wianuszek uczennic. Śmieją się, opowiadają swoje historie. Zakonnik żartuje sobie z ich pomalowanych szponów.

Jest z nami tylko jeden chłopiec – Dalvin. Ten sam, który jeszcze kilkadziesiąt minut temu stał na dachu, przyklejony do komina, a później przyspawany do nogi Wojtka. Chodzi za nami, odkąd nas zobaczył. Ma jakieś siedem, może osiem lat. Mieszka w internacie. Od niedawna. Jeszcze nie nauczył się czytać ani pisać. Ale tutaj to normalne. Dzięki pobytowi w Juncalito pewnie się nauczy. Ma przynajmniej duże szanse. Patrzy na nas, jakby rozumiał, o czym mówimy, choć rozmawiamy po polsku. Jego oczy są piękne, ale bardzo smutne. Dotąd ani razu się nie uśmiechnął. Przyglądam mu się z uwagą, ale czas zaczyna nas gonić.

– Może pojedziemy obejrzeć wioskę? Nagralibyśmy sobie trochę zdjęć, pewnie nam się przydadzą – zaproponowałem.

– W porządku, ale chodźcie jeszcze do budynku szwadronu ratunkowego, to zasymulujemy wam akcje ratunkową – zaproponował Wojtek, tak jakby już wiele razy przyjmował dziennikarzy z telewizji.

Korzystając z okazji, od razu o to zapytałem.

– Nie, ja raczej stronię od mediów. Raz byli tu tacy producenci z Polski. Proponowali, że zrobią o mnie dokument. Przedstawili scenariusz i kosztorys. Od kwoty aż mnie głowa rozboleła. Nie chcieli tych pieniędzy ode mnie. Powiedzieli, że znajdują fundusze. Ale ja mimo wszystko zrezygnowałem. Aż do waszego przyjazdu nie spotykałem się z dziennikarzami. Jesteście pierwszą telewizją, której udzieliłem wywiadu – przyznał padre Alberto.

KOMISARIAT W KURNIKU

Zakonnik zorganizował szybki pokaz akcji ratunkowej. Na planie pojawili się trzech chłopcy, którzy odegrali rolę rannego i statystów. Braulio i Danny wzięli kamerę, radiowóz i na znak księdza G., który coś krzyknął do krótkofalówki, ruszyli do akcji. Sprawnie przenieśli rannego chłopca na nosze i zanieśli go do ambulansu.

Wsiadliśmy do pick-upa i wyruszyliśmy obejrzeć Juncalito. Niektóre uliczki w wiosce są tak ciasne, że terenowy samochód ledwo się mieści. Do tego bywają tak strome jak lizbońskie uliczki, po których kursuje stary turystyczny żółty tramwaj Górna część wioski jest jakby bardziej bogata. Niektóre domy wyglądają wręcz malowniczo. Mijamy szkołę, w której właśnie skończyły się lekcje. Dziewczyny w ślicznych jednokolorowych sukienkach i chłopcy w mundurkach wychodzą grupami z budynku. Trudno powiedzieć, że idą do miasta. Znajduje się tam ledwie kilka sklepów, które przypominają trochę nasze wiejskie rodzinne spożywczaiki. Tylko towaru w nich mało. Zresztą kto miałby kupować. Większość bierze wszystko „na zeszyt”. Gdy dostają pensję, to oddają i znów jadą „na zeszyt”. Samochodów też za wiele nie jeździ. Częściej można spotkać niewielkie motory, bardzo tu popularne. W większości stare i zdezelowane.

Na każdym rogu widać nastolatków z rękami ubabranymi w smarze, dłubiących coś przy swoich maszynach.

– Mówiłeś, że jesteś kapelanem i honorowym policjantem. Macie tu posterunek? – zapytałem.

– Oczywiście, że mamy, chodźcie, to wam pokażę – skinął Wojtek.

Posterunek, a raczej coś, co przypomina duży kurnik, mieści się kilkanaście metrów od wejścia do kościoła. Nie ma podłogi. Jest ziemia. Nie ma mebli. Na środku stoi drewniany stół. Akurat siedzi przy nim dwóch rosłych policjantów. Jedzą obiad. Na stole obok naczyń leży broń. Zupełnie nieskrępowani naszą wizytą pałaszują dalej. Wojtek zamienia z nimi kilka słów po hiszpańsku i zaczyna oprowadzać nas po komisariacie. Okazuje się, że jest w nim nawet cela, do której trafiają przestępcy. Mała, jakby wykopana w ziemi, bo zamiast ścian jest ziemia. I małe okienko z grubymi drewnianymi kratami. Obok pokój z łóżkiem dla funkcjonariuszy i skład broni na ścianie – kilka sztuk długich karabinów.

Posterunek wygląda na mało uczęszczany. Widać, że Wojtek żyje z funkcjonariuszami w dobrych relacjach. Grzecznie wstają od posiłku, podają rękę i lekko skłaniają głowę na powitanie duchownego. Wyraźnie okazują mu szacunek. No, w końcu jest ich kapelanem i honorowym komendantem.

NEGRO

– Mamy tu co robić. Dzięki Wojtkowi. To on zaraził nas pasją do ratowania ludzi. Pokazał, że nawet jak się nie ma pieniędzy, można robić coś dobrego dla innych – opowiada mi Braulio, szef szwadronu ratunkowego.

Danny też nie szczędzi komplementów pod adresem księdza:

– To on nas wszystkiego nauczył, a przede wszystkim nam zaufał. Żaden ksiądz, który tu był przed nim, nie zrobił jednej dziesiątej tego co Wojtek.

Danny też był z księdzem w Polsce w 2010 roku. Nasz kraj mu się bardzo podobał. Do dziś pamięta wycieczkę w góry i to, jak

pierwszy i na razie ostatni raz w życiu poczuł śnieg.

Tak, poczuł. Bo gdy go zobaczył, to z zimna zaczęły mu lecieć łzy.

– To niesamowite wrażenie. Nie sądziłem, że można płakać z zimna. Jednak największym przyjacielem księdza Wojtka jest Negro. Nie

odstępuje pana na krok. To rozpieszczony czarny labrador, a zarazem honorowy członek szwadronu ratunkowego, przeszkolony do szukania ludzi. Wyrusza na każdą akcję ratunkową czy poszukiwawczą. Na co dzień mieszka na plebanii i jest pupilem duchownego.

Czas minął szybko, nie zdążyliśmy zobaczyć wszystkiego, co chcieliśmy. Nie wystarczyło czasu na podróż nad wodospady, do Jarabacoa.

– Może macie ochotę wypić zimnego presidente? – zaproponował padre Alberto.

– Może następnym razem – odpowiadamy, choć myśl o zmrożonym najlepszym lokalnym piwie sprawia, że od razu robi się chłodniej.

– W maju będę w Polsce. Na pierwszej komunii świętej swojej chrześnicy. Znowu zabiorę ze sobą kilka osób. Może wpadniecie do Krakowa? O spanie nie musicie się martwić, coś zorganizuję – zaprasza nas ksiądz.

– Bardzo chętnie, ale szczegóły ustalimy przed twoim przyjazdem – odpowiadam, ciesząc się w głębi serca, że Wojtek nas polubił.

Wymieniamy się numerami telefonów, wzajemnie wysyłamy sobie zaproszenia na Facebooka i Naszą Klasę, dziękujemy za gościnę i obiecujemy, że kiedy reportaż będzie emitowany, damy mu znać.

SĄ JESZCZE PRAWDZIWI KSIĘŻA

Jeszcze nie minęliśmy kościoła w drodze powrotnej, a już komentujemy, że mamy najlepszy na świecie materiał. Jesteśmy

zgodni, że gdyby nie przyjazd tutaj, to w ogóle nie byłoby sensu robić reportażu z Dominikany. Cała nasza trójka jest pod wielkim wrażeniem księdza i tego, co zrobił. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby powiedzieć Robertowi i Goście, że przez moment zastanowiło mnie, dlaczego Wojtek nie chodzi do internatu dziewcząt, uznając to za dwuznaczne, a jednocześnie prowadzi w domu internat dla kilkuletnich chłopców.

Po powrocie do Polski szybko zabieramy się do pracy nad reportażem. Ale jeszcze wcześniej przygotowujemy dwa czterominutowe materiały o dokonaniach polskiego michality na odległej dominikańskiej wsi. Reportaż zostaje wyemitowany w poniedziałek Wielkanocny 1 kwietnia 2013 roku.

W nocy z poniedziałku na wtorek rozmawiam z Wojtkiem na Facebooku. Jest bardzo zadowolony z naszego filmu. Opowiada, jak bardzo podobał się jego mamie. Wspomina, że cała rodzina go oglądała i wszyscy są z niego dumni.

Przypomina mi, że wkrótce przyleci do Polski i ponawia zaproszenie do Krakowa. Nie mówię nie, ale też nie potwierdzam, że będziemy na pewno. Wojtek opowiada, że do Polski przyjedzie z trzema osobami z Dominikany. Będą z nim Braulio, szef grupy ratunkowej, siedemnastoletni Ambioris, sekretarz jego parafii, i jego kilkuletni siostrzeniec Dalvin, ten który towarzyszył nam na dachu.

W pewnym momencie przerywa rozmowę, by odprawić świąteczną mszę. A ja oczami wyobraźni wracam do tej sympatycznej wioski i wyobrażam sobie, jakie tłumy muszą tam być dzisiaj w kościele i przed nim.

PIERWSZE ZARZUTY

Upalne majowe popołudnie. Trzydziesty dzień miesiąca. Siedzę w domu. W pewnym momencie zaczyna dzwonić moja komórka. Nie odbieram. Nie znam numeru. Ale ktoś jest bardzo uparty.

– Halo?

– Cześć, Piotrek. Tu Agata. Słyszałeś, co się stało na Dominikanie? – mówi roztrzęsionym głosem.

– Nie. Nie byłem tam od stycznia. Ale chyba ksiądz Wojciech G. jest teraz w Polsce.

– Tak. Ale na Dominikanie został oskarżony o pedofilię. Rozmawiałam z ludźmi stamtąd. Ponoć jest wielka afera – opowiada Agata.

– Wiesz coś więcej? Kiedy go oskarżyli?

– Nie, nic więcej nie wiadomo. Podobno ma być jakiś tekst w „Gazecie Wyborczej”.

– To niemożliwe – mówię.

Kończymy rozmowę. Od razu siadam przed laptopem. Odpalam portal gazety. Wpisuję wszystkie możliwe hasła, żeby znaleźć coś o Wojtku, ale cisza. Biegnę do kiosku. Kupuję „Wyborczą”. W drodze do domu kartkuję ją od pierwszej do ostatniej strony. Nawet kolumny ze sportem przeglądam. Nie ma nic.

W domu przeglądam gazetę jeszcze raz. Może coś przeoczyłem. Telefonuję do Roberta.

– Dzwoniła do mnie Agata. Rozmawiałeś z nią?

– Nie. Co się stało? – pyta Robert, słysząc po moim głosie, że coś się wydarzyło.

– Powiedziała mi, że jest wielka afera na Dominikanie. Ksiądz G. miał molestować małych chłopców.

– O kurwa... Wierzysz w to?

– Nie wiem, co myśleć, wiesz, że to dziki kraj. Rozłączmy się, spróbuję się do niego dodzwonić. Powinien być teraz w Polsce. Może spotkamy się, jak skończysz pracę, a do tego czasu spróbujmy coś ustalić. Na wszelki wypadek zdejmij ze stron internetowych nasz reportaż i materiały o Juncalito.

Lepiej dmuchać na zimne. Gdy afera rozhuśta się w Polsce, wszyscy zaczną wykorzystywać nasze materiały. Poza tym nie wiadomo, czy to prawda.

Jeszcze raz podchodzę do laptopa. Wśród znajomych na Facebooku mam Wojtka. Szukam, szukam... Nic. Nie ma go wśród znajomych.

– Wywalił mnie? – pytam sam siebie.

Zaczynam szukać jego profilu. Ale nie ma profilu Wojtka G., Wojciecha G., padre Alberta. Niemożliwe. Miesiąc temu rozmawiałem z nim. Włączam Naszą Klasę. Podobnie. Nie

istnieje użytkownik o jego danych personalnych. Musiał skasować wszystkie profile.

Wchodzę w kontakty w komórce. Ksiądz G. – jest. Wybieram numer.

„Użytkownik jest niedostępny, proszę zadzwonić później” – słyszę mechaniczny głos w słuchawce.

Wieczorem spotykamy się z Robertem. Niestety, nie zdołałem nic ustalić. Robertowi też się nie udało. Dopiero teraz opowiadam mu o wątpliwościach, jakie miałem, gdy szliśmy do internatu dla dziewcząt. Przypominam Robertowi, jak padre Alberto stanowczo podkreślał, że nie bywa tam, jeśli nie musi. Interweniuje dopiero wtedy, gdy dyrektorka sobie nie radzi. A jednocześnie na plebani prowadził internat dla kilku chłopców.

Obaj nie możemy uwierzyć w to, co podobno się tam działo.

POLSKI KSIĄDZ Z DOMINIKANY ZAWIESZONY

Codziennie kupuję gazety. Już nie tylko „Wyborczą”, ale wszystkie. 4 czerwca na ogólnopolskich stronach „Gazeta” drukuje tekst o księdzu z Dominikany Wojciechu G. „Polski ksiądz pracujący na Dominikanie podejrzany o przestępstwa pedofilskie” – grzmi tytuł na czwartej stronie. Z artykułu dowiaduję się, że diecezja z Santiago poinformowała, iż na prośbę zakonu michalitów zdecydowała o zawieszeniu trzydziestosześcioletniego księdza. Według lokalnych mediów ksiądz przebywa w Polsce, ale księża michalici prosili go, by jak najszybciej wrócił na wyspę i odpowiedział na wszystkie postawione zarzuty. Potem krótki opis parafii Wojtka i krótka informacja o tym, co tam robił. O grupie ratowniczej, wyjazdach do Polski. Krótka notka biograficzna z wiadomością, że na Dominikanie pracuje od dziewięciu lat. I to najgorsze: według dominikańskiej prokuratury ksiądz Wojciech G. mógł molestować czternastolatków. I że ponoć w jego pokoju na plebanii znaleziono zdjęcia i filmy z pornografią dziecięcą.

No tak. To nie może być pomyłka. Przynajmniej jeśli chodzi o Wojtka. Miejscowość, parafia, dane personalne i działalność – wszystko się zgadza. Jego telefon jest wyłączony, wszystkie profile wykasowane.

To musi być on.

Ku mojemu zaskoczeniu media w Polsce kompletnie nie podchwyciły tematu. Następnego dnia tekst z „Gazety Wyborczej” umarł jak tysiące innych tekstów ginących śmiercią naturalną. Nie bez powodu wśród dziennikarzy krąży powiedzenie, że gazeta żyje jeden dzień.

Dla mnie ten temat też umarł. Przynajmniej na chwilę.

CZĘŚĆ DRUGA

KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ

ŚRODA, 4.09.2013, GODZINA 20.20.

Siedzę w reżyserce studia TVP Info i wydaję program publicystyczny „Minęła 20”. Goście w studiu rozmawiają, co się stanie z funduszami OFE, które rząd chce przenieść do ZUS-u. O tym, czy zyskamy, czy stracimy, dyskutują przedsiębiorca Jeremi Mordasewicz i ekonomista Piotr Kuczyński.

Trochę znudzony co chwila leniwie zerkam na depesze Polskiej Agencji Prasowej. W pewnym momencie zauważam, że wpada „czerwona depesza”. Czerwone oznaczają coś bardzo ważnego. Klikam na nią.

„Polski nuncjusz na Dominikanie abp Józef Wesołowski odwołany w związku z oskarżeniami o pedofilię” – krzyczy tytuł depeszy.

Informację tę potwierdził ksiądz Federico Lombardi, rzecznik Watykanu. Dodał też, że decyzję w sprawie nuncjusza podjął sam papież Franciszek.

Według depeszy Wesołowski ma przebywać na terenie Watykanu. Wiadomość bardzo szybko pojawia się na czerwonych paskach kanałów informacyjnych. Do dziennikarzy błyskawicznie przeciekają kolejne informacje. Wesołowski miał płacić za seks z nieletnimi.

I od razu przypomina mi się afera z księdzem Wojtkiem G. Ale im głębiej sięgam pamięcią, tym więcej szczegółów się zgadza. Przecież arcybiskup Wesołowski wielokrotnie odwiedzał księdza Wojtkę w jego parafii w Juncalito. Obaj księża dobrze się znali. Czy obaj zamieszani są w tę samą aferę? Czy działali razem, czy każdy na własną rękę? Czy wiedzieli o sobie?

Jeszcze przed zakończeniem programu dzwoni do mnie wydawca dnia. To najważniejszy wydawca w stacji informacyjnej. Od niego zależy, co danego dnia będzie głównym tematem oraz którym informacjom poświęcimy ile czasu.

– Ty znasz tego Wesołowskiego?

– Nie, nie znam. Wiem tylko, że przyjeżdżał do parafii księdza G. w odwiedziny.

– Może przyszedłbyś rano do studia i przypomniał aferę z księdzem G.? A może do rana uda ci się jeszcze coś ustalić? – zapytał, choć to było polecenie.

– Oczywiście. Będę – powiedziałem to, co chciał usłyszeć szef.

Od razu zadzwoniłem do Izy Rukat, znajomej kierowniczkę produkcji na Woronicza, która pracowała z nami przy reportażu i felietonach o księdzu z Juncalito.

– Iza, proszę cię, prześlij do nas na plac Powstańców [siedziba wszystkich programów informacyjnych TVP mieszcząca się w centrum Warszawy – przyp. aut.] wszystkie zdjęcia z Juncalito. Żebyśmy mogli już jutro rano je wykorzystywać – poprosiłem.

DRUGI PO BOGU

Sprawa arcybiskupa Józefa Wesołowskiego przez kilka tygodni nie schodziła z „jedynek” programów informacyjnych. Także gazety poświęcały jej bardzo dużo miejsca. Trudno się dziwić – o molestowanie nieletnich został oskarżony nuncjusz apostolski, pierwsza osoba po papieżu, a druga po Bogu. W dodatku Polak.

Dziennikarze prześcigali się w podawaniu coraz bardziej pikantnych szczegółów tej afery. Włoskie gazety pisały, że Wesołowski nadużywa alkoholu. To znów jakiś reporter przyłapał go popijającego w jednej z kawiarni cappuccino. Dominikańscy dziennikarze ujawniali zaś kolejne wstydlive szczegóły działalności arcybiskupa. Odtworzyli nagranie, jak nuncjusz apostolski pije kawę na popularnym bulwarze Malecon, słynącym z tego, że młodzi chłopcy przychodzą się tam prostytuować. A samo miejsce przyciąga wielu zagranicznych homoseksualistów i pedofilów. Przytaczali relacje chłopców, że Wesołowski był codziennym gościem na Maleconie. Że jednych chłopców całował, innym kazał się masturbować, a sam nagrywał filmy telefonem komórkowym. Całował podobno tych, których „kochał”. Niemalże każdy dzień przynosił nowe obrzydliwe szczegóły drugiej po księdzu G. afery pedofilskiej na

karaimskiej wyspie z udziałem polskiego duchownego. Przy okazji odżyła więc sprawa księdza padre Alberta.

PONIEDZIAŁEK, 23.09.2013.

Na okładce najnowszego „Newsweeka” tytuł: „Ich mroczne sekrety”. Główni bohaterowie – arcybiskup Józef Wesołowski i ojciec Wojciech G. – spoglądają z pierwszej strony.

Czytam obszerny tekst „Pedofil ważniejszy niż Bóg. Reportaż z Dominikany” Wojciecha Cieśli, reportażysty i dobrego dziennikarza śledczego. Poznaliśmy się kilkanaście lat temu, gdy pracował jeszcze w „Gazecie Wyborczej”.

Znając autora, wiedziałem, że to będzie mocny tekst. Zrobiłem kawę, umościłem się w swoim redakcyjnym fotelu i z wypiekami na twarzy zacząłem połykać zdobyte przez Wojtkę informacje w samym centrum zdarzeń – w Juncalito, Santiago i Santo Domingo.

Okazuje się, że dominikańscy dziennikarze pierwszy cynk o dziwnych spotkaniach arcybiskupa Wesołowskiego dostali już w 2012 roku. Wtedy też rozpoczęli śledztwo. Sprawę badała największa gwiazda dziennikarstwa śledczego na Dominikanie Nuria Piera, szefowa kanału informacyjnego NCDN. Nuncjusza na Maleconie miał zauważyć lokalny policjant i to wtedy najprawdopodobniej wszystko się zaczęło. Równoległe swoje postępowanie prowadzili prokuratorzy. Na kilka dni przed emisją reportażu Nuri Piery arcybiskup Wesołowski został wezwany w trybie pilnym do Watykanu. Pod pretekstem zakończenia misji na Dominikanie. Prawda jednak okazała się inna.

Zdecydowanie większą część artykułu autor poświęcił Juncalito i Wojciechowi G. To był pierwszy w Polsce tak dokładny tekst o stawianych mu zarzutach.

Historia zaczyna się od opowieści Carla, który kilkanaście dni przed powrotem G. na Dominikanę ujawnił, że przez kilka lat był molestowany przez duchownego. Że ten groził mu bronią i uprawiał z nim seks oralny. Zabierał do Polski, żeby i tam go wykorzystywać.

Wojtkowi Cieśli udało się dotrzeć do informacji o tym, że zakonnik molestował nie tylko Carla, ale też innych nieletnich.

Podał też sensacyjną informację: ksiądz Wojciech dzwonił z Polski do swojego diakona i prosił go, aby ten wyniósł z plebanii twarde dyski komputerów, pendrive'y i inne rzeczy, które mogą go skompromitować.

W tekście wypowiadała się prokurator Luiza Liranzo, od początku prowadząca śledztwo w sprawie molestowania dzieci przez padre Alberta. Opowiedziała o zabezpieczonych materiałach. Wspomniała, że już po wstępnej analizie wiadomo, że w komputerach i na płytach znajdowały się zdjęcia i filmy z dziecięcą pornografią. Prokurator była powściągliwa i nie chciała przesądzać o winie księdza. Jednak podkreśliła, że posiadany materiał pozwala postawić duchownemu zarzuty. Niestety, nie może tego zrobić, gdyż ksiądz ukrywa się w Polsce.

Mieszkańcy Juncalito w rozmowie z reporterem „Newsweeka” nie kryją, że czują się zawiedzeni postawą swojego proboszcza, choć z tekstu jasno wynika, że są podzieleni. Część mieszkańców nie wierzy słowom dzieci. Wierzą swojemu księdzu.

BÓG Z JUNCALITO

Mówią o nim jak o Bogu, nazywając go organizatorem wielu wydarzeń. Wspominają, jak trenował dzieciaki w siłowni, starając się prowadzić je dobrą drogą. Jednak przeciwnicy przypominają, że wielokrotnie obiecywał dzieciom wyjazdy do Polski. Europa była dla tych dzieciaków czymś tak egzotycznym, jak dla nas Karaiby. Kilkunastu ministrantów było już w Polsce z Wojciechem G. Podczas swojej pracy w Juncalito kilkakrotnie zabierał dzieci do swojego ojczystego kraju. Zawsze w nagrodę.

Prokurator Liranzo bada, skąd ksiądz miał pieniądze na to, by zabierać tyle osób do Europy. Koszt biletu dla jednej osoby to około 1500 dolarów amerykańskich. Sugeruje, by reporter przeliczył sobie, ile to jest w przypadku kilkunastu osób.

Rozmówcy reportera „Newsweeka” sugerują, że ksiądz G. mógł zostać wrobiony. Miał w Juncalito kilku wrogów. Według nich walczył w wiosce z narkomanią. Urządzał protesty, jak

choćby ten w Santiago w sprawie wybudowania drogi. Jeden z informatorów tygodnika mówi z kolei wprost, że G. wtrącał się za bardzo w lokalne sprawy mieszkańców, zanadto wkraczał w życie społeczne. Że z księdza i spowiednika stał się władcą, królem, a nawet Bogiem Juncalito.

Przeciwnicy G. mają mocne argumenty. Niektórym nie podoba się, że pił alkohol. Ponoć w sklepie często brał napoje wyskokowe „na zeszyt”. Chodził po wiosce z bronią, w uniformie przypominającym policyjny. Czasami miał też przy boku pałkę.

Siedząc w swoim fotelu, przecierałem oczy ze zdumienia. Przeczytałem tekst jeszcze raz i jeszcze raz. W porządku, byłem tam kilka miesięcy wcześniej, co prawda tylko kilka godzin, i nie zauważyłem nic podejrzanego. Może z wyjątkiem internatu dla chłopców. Ale nikt z wioski nawet krzywo nie spojrział na Wojtkę. Wszyscy kłaniali mu się z szacunkiem, uśmiechali się, pozdrawiali.

Tekst z „Newsweeka” zrobił jednak swoje. Afera pedofilska na Dominikanie z udziałem polskich duchownych znowu wróciła na czołówki serwisów i gazet. Dziennikarze zaczęli dociskać prokuraturę, która wcześniej umywała ręce, jakby nie doceniała wagi problemu. Przecież wszystko wydarzyło się na karaibskiej wyspie, z dala od naszych śledczych...

Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Chodzę po telewizji jak otepiały. Coś bym z tym zrobił. Gdybym pracował w gazecie, z pewnością napisałbym o tym tekst...

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

„Newsweek” publikuje drugą część reportażu o aferze pedofilskiej: „Wersja księdza Wojciecha”. Zaintrygowany tytułem, czytam i nie znajduję w artykule ani słowa wypowiedzi padre Alberta. W tym momencie wpadam na pomysł, by go odnaleźć. Wiem, że mam do przygotowania wieczorny program, ale ta sprawa wydaje mi się dużo ważniejsza. Przecież znam G., powinien ze mną porozmawiać. Tylko gdzie on jest?

Cały czas podglądam wszystkie trzy stacje informacyjne. Trafiam w końcu na wypowiedź policjanta:

– Nie wiemy, gdzie jest Wojciech G., ale jednocześnie musimy powiedzieć, że my nie prowadzimy przeciwko niemu żadnego śledztwa. Nie mamy żadnych dokumentów, z których wynikałoby, że zrobił coś złego.

Jak zawsze procedury – myślę. Tylko my, dziennikarze, nie mamy procedur.

Zaglądam jeszcze raz do „Newsweeka”. Gdzie konkretnie mieszka Wojtek? Szukam tej informacji, pamiętając, że to pod Krakowem. Jest. Modlnica. Dzwonię do biura numerów. Miła pani pyta, kogo szukam. Podaję nazwisko, choć zdaję sobie sprawę, że po tych wszystkich doniesieniach w infolinii mogą być wyczuleni. Na nas dziennikarzy oczywiście. Jak zawsze pani pyta o adres. Mówię, że nie znam.

– Ale to przecież mała wieś. Nie pamiętam numeru.

– Proszę poczekać.

– Nie mam nikogo zarejestrowanego pod Wojciech G. w Modlnicy – mówi telefonistka.

– To proszę mi podać numer do rodziny G. – proszę.

– No, ale jest kilku G. Nie wiem, czy to rodzina – oznajmia.

– Dobrze, proszę mi podać jeden numer. Zadzwoń, oni się tam na pewno znają, to mi podpowiedzą.

Po chwili dostaję siedmiocyfrowy numer stacjonarny do G. z Modlnicy. Chwila zastanowienia i wykręcani.

Po dwóch sygnałach słyszę w słuchawce głos starszej pani. Jestem niemal pewny, że to matka Wojtka. Co prawda nigdy z nią nie rozmawiałem, ale wiele na to wskazuje.

– Dzień dobry. Piotr Krysiak, TVP. Mam do pani gorącą prośbę, chciałbym porozmawiać z Wojtkiem.

– Co proszę, z kim pan chce rozmawiać? – pyta kobieta.

– Z Wojtkiem G., księdzem.

– Oj, to nie do tych G. się pan dodzwonił. A skąd pan dzwoni?

– Z Telewizji Polskiej.

– Nie, to nie ten numer – mówi, jakby chciała zakończyć rozmowę.

– A mogłaby mi pani podać do nich dobry numer? Bo gdzieś zgubiłem notes, w którym miałem wszystkie telefony. Znam

Wojtka. Robiłem o nim reportaż na Dominikanie. Muszę z nim porozmawiać – nie daję za wygraną.

– Wie pan, ja nie mogę. Tu mnóstwo ludzi teraz do niego dzwoni. Nie wiem, czy mogę tak podać, bo oni tam strasznie w domu teraz zdenerwowani są – zdradza nieco atmosferę, jaka panuje u sąsiadów.

– To może zrobimy tak. Pani zadzwoni do nich i powie im, że dzwoni Piotrek Krysiak z TVP i chce się skontaktować z Wojtkiem. On mnie zna i pewnie pozwoli pani podać ich numer – proponuję.

– W porządku.

– To ja oddzwonię do pani za chwilę – deklaruję.

– Proszę tak za pół godziny – kończy kobieta.

Rozłączamy się.

Całe pół godziny. Co robić przez te pół godziny? Ta niepewność nie daje spokoju. Z drugiej strony nie mam nic do stracenia. Krzywdy mu nie wyrządziłem, bez spotkania z nim nic nie mogę zrobić, nie pracuję w gazecie. On też nie ma nic do stracenia.

Dzwonię.

Jeden sygnał, nikt nie odbiera, drugi, nikt nie odbiera, a cisza między jednym a drugim sygnałem trwa jak całe pół godziny, które czekałem, żeby wreszcie zadzwonić i dowiedzieć się, czy Wojtek chce rozmawiać.

– Hało – słyszę w końcu w słuchawce.

Przedstawiam się jeszcze raz.

– O, to pan. Dobrze. Rozmawiałam z mamą Wojtka. Mówiła, żeby nie dawać numeru. – W tym momencie cały mój misterny plan się zawalił. – Ale prosiła, żebym wzięła pana telefon i Wojtek do pana zadzwoni.

Nie wierzyłem własnym uszom, ale nie zastanawiając się, głośno i wyraźnie podałem numer swojej komórki.

**BOJĘ SIĘ WYJŚĆ
Z DOMU**

No tak, przedtem czekałem pół godziny, a teraz nawet nie wiadomo, ile będę czekał – pomyślałem i wyszedłem z pokoju. Nie zdążyłem nawet zamknąć drzwi, kiedy moja komórka zaczęła wibrować. Spojrzałem na wyświetlacz – numer zastrzeżony.

– Halo.

– Cześć! – Rozpoznaję głos w słuchawce.

– Wojtek?

– Tak, Wojtek.

Chwilę milczę, bo szczerze mówiąc, nie wiem, jak zacząć tę rozmowę. Jeszcze pół godziny temu bardziej uwierzyłbym, że dodzwonię się do papieża Franciszka niż do księdza oskarżanego o pedofilię, skoro nawet policja nie wie, gdzie on jest, Dominikana planuje wysłać za nim list gończy, a dziennikarze właśnie zastawiają sidła. Poza tym sam nie wiem, czy on jest winny, czy nie. Jeżeli niewinny, to co powinienem powiedzieć człowiekowi wrabianemu w pedofilię? A jeśli winny, to jak rozmawiać z pedofilem?

– Jak się czujesz?

– Lepiej nie mówić – odpowiada stłumionym głosem. – Nie mogę normalnie żyć. I nie mam z czego żyć. Ukrywam się przed ludźmi. Nie mam dokąd wracać – tłumaczy padre Alberto.

– Wiesz, dzwonię do ciebie, bo przeczytałem artykuł w „Newsweeku”. Wcześniej słyszałem, że na Dominikanie oskarżają cię o pedofilię, ale nie było szczegółów. A teraz są już konkretne zarzuty. Zrobiłeś to? – Uff, wydusiłem to w końcu.

– Wrabiają mnie – pewnym głosem odpowiada Wojtek.

Rozmawialiśmy ponad dwie godziny. Na gorąco starałem się dowiedzieć wszystkiego, czego nie znalazłem w „Newsweeku”. Wojtek opowiadał składnie. Wszystko wydawało się logiczne. Zapewniał, że nie ukrywa się przed policją. Że był osobiście w komisariacie, a jego adwokat złożył w komendzie w Krakowie oświadczenie, gdzie G. przebywa, zostawił numer jego telefonu kontaktowego i zobowiązał się, że G. stawi się na każde wezwanie.

– Nic już z tego nie rozumiem. Przed chwilą widziałem w telewizji, jak rzecznik policji tłumaczył, że policja nie ma pojęcia,

gdzie jesteś – mówię.

– Piotrek, to nie ma sensu. Po co miałbym kłamać? – przekonuje ksiądz.

Kilkakrotnie podczas rozmowy zapewniam Wojtka, że po pierwsze jej nie nagrywam, co było zgodne z prawdą, a po drugie, że niczego nie wykorzystam w swoim programie bez konsultacji z nim.

Już po pierwszych kilku minutach rozmowy miałem wrażenie, że jego głos się zmienia. Barwa stała się cieplejsza, zdecydowana, nie robił przerw między zdaniami, żeby wyczuć, czy mu wierzę. W tym momencie przypominał już księdza z Juncalito, którego poznałem. Mówił tym samym głosem. Na początku rozmowy wsłuchiwałem się, czy mój rozmówca to faktycznie ten sam ksiądz Wojtek. Musiał uwierzyć, że znalazł słuchacza. Takiego, który nie ma wyrobionego zdania, nie jest przekonany o jego winie. Zaczął wierzyć, że staram się dociec prawdy. Ale przecież w Modlnicy nikt nie wierzy, że molestował dzieci, więc do czego ja mogę mu być potrzebny? Może w przeciwieństwie do znajomych z Modlnicy łączy nas coś jeszcze? Może to, że obaj trochę znamy Dominikanę i ludzi tam mieszkających, że obaj byliśmy w tym samym miejscu i że kiedy go poznałem, wiarygodnie oddałem to, co tam robił?

Choć w tym samym momencie przyszło mi do głowy także inne wytłumaczenie: może czuje, że wtedy udało mu się mnie nabrać, to i tym razem pójdzie łatwo? Może chce mnie wykorzystać?

Muszę kończyć. Mój program w proszku, a za dwie godziny wchodzimy na antenę. Nie mam nic do stracenia.

– Wojtek, mam propozycję. Udzielisz mi wywiadu?

W słuchawce zapada cisza. Żeby za długo nie myślał, zaczynam streszczać, jak to będzie wyglądało:

– Przyjadę do ciebie. Opowiesz swoją wersję wydarzeń. Po naszej rozmowie i po analizie tekstu z „Newsweeka” mam wrażenie, że sprawa nie jest taka oczywista. Może ktoś na Dominikanie próbuje cię wrobić? Ty tych ludzi znasz lepiej. Teraz ludzie znają jedną wersję. Wersję przedstawioną przez dziennikarza, który tam pojechał i, najlepiej jak mógł, zebrał swój materiał. Rozmawiał z wieloma osobami. Prokuratorami, dziennikarzami, ludźmi, ale także z osobami, które molestował

arcybiskup Wesołowski. Chcesz porozmawiać przed kamerą? – ponawiam propozycję.

– Ale czy to ma sens? Już ci powiedziałem, jak było – waha się Wojtek.

Przekonywanie go trwa kolejne pół godziny.

– Nie musisz podejmować decyzji od razu. Zastanów się spokojnie. Mamy czas. I tak do ciebie dzisiaj nie pojadę. Uważam, że powinieneś przedstawić swoją wersję, o ile to, co mi powiedziałeś, jest prawdą – dodaję.

– Dobrze, pomyślę – obiecuje ksiądz.

Na koniec podaje mi numer swojej komórki i umawiamy się na telefon następnego dnia. Z doświadczenia wiem, że nie ma się z czego cieszyć. Teraz w jego głowie ruszy lawina myśli. Za i przeciw rozmowie. Szybko znajdą się dobrzy i źli doradcy. Jedni go będą namawiać do próby oczyszczenia się publicznie, a inni będą przekonywać, że to nie ma najmniejszego sensu, bo wyrok i tak został już wydany.

TYLKO ON I DZIECI ZNAJĄ PRAWDĘ

Nie przestaję myśleć o tym, co powiedział mi padre Alberto. Jeszcze raz sięgam po tekst Wojtka Cieśli. I powoli czytając, porównuję podane w nim fakty z tym, co powiedział mi Wojtek. Na dwoje babka wróżyła. Nie mam pojęcia, co jest prawdą, a co nie. Równie dobrze prawdziwa może być wersja dominikańskich prokuratorów i pokrzywdzonych dzieciaków, którą opisał „Newsweek”, jak i wersja księdza.

Na każdy zarzut Wojtek ma wiarygodne wytłumaczenie. Jego argumenty trudno zbić zdaniem tekstu. Tylko G. i te dzieciaki znają prawdę.

Jak zawsze staram się za bardzo nie cieszyć i o podjętych rozmowach nie mówię nawet swoim przełożonym. Gdy będzie decyzja, to im powiem. Nikt by nie zrezygnował z takiej rozmowy, o ile rozmówca wyrazi na nią zgodę.

Jeszcze nie zdążyłem dojechać z pracy do domu, a już dzwoni telefon.

– Dlaczego oni mi to zrobili? Tyle serca tam zostawiłem. Myślałem tylko o nich. Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że strajkowaliśmy w sprawie drogi? Przecież nie musiałem tego robić. Mogłem siedzieć cicho w tym swoim Juncalito.

– Tym bardziej powinieneś przedstawić swoją wersję wydarzeń. Nic cię to nie będzie kosztowało – podtrzymuję rozmowę.

Tej nocy rozmawialiśmy jeszcze kilka razy. Powiedział, że konsultował się ze swoim prawnikiem i ten zdecydowanie odradził mu udzielania wywiadów. Ponownie wytoczyłem więc kilka swoich argumentów, które przemawiały za tym, aby publicznie opowiedział, co się stało w tej już słynnej w Polsce dominikańskiej wiosce. G. zadeklarował, że ostateczną decyzję podejmie sam do południa we wtorek.

WTOREK, 1.10.2013, GODZINA 11.40.

Dzwoni Wojtek.

– Okej, porozmawiamy. – Cieszę się, choć zdaje sobie sprawę, że to się może jeszcze zmienić. – Jak to zorganizujesz?

– Przyjadę do ciebie z kamerami. Operatorzy, oświetleniowiec, dźwiękowiec i ja. Możemy być jutro. Najlepiej byłoby jutro, bo w czwartek mam proces w sądzie. Dzisiaj już raczej nie zdążę.

– Dobrze. Może być jutro. O co będziesz pytał?

– O wszystko, co wiąże się z tą sprawą. Jak to było? Czy molestowałeś dzieci? Reszta pytań wyniknie z rozmowy i twoich odpowiedzi – oświadczam.

– Dobrze. Tylko będę musiał jeszcze raz porozmawiać z prawnikiem. Powiedział, że nie powinienem udzielać wywiadu, ale podjęcie ostatecznej decyzji pozostawił mnie.

– Rozumiem, że jesteś już zdecydowany? – szukam potwierdzenia.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale twoje argumenty mają sens. O której godzinie mógłbyś być u mnie? – pyta już konkretnie.

- Myślę, że wyjedziemy około południa, więc na szesnastą byśmy byli – proponuję.
- Okej.

HUŚTAWKI NASTROJÓW

Odkładałam słuchawkę i natychmiast wybieram numer dyrektora Syguta.

- Cześć, Tomek. Będę potrzebował na jutro dwie ekipy zdjęciowe. Dobrych operatorów, oświetleniowca i dźwiękowca. Na wyjazd do Krakowa. Aha, i musisz kogoś znaleźć na zastępstwo za mnie, bo nie będę mógł wydawać jutro „Minęła 20” – rzucam.

- No dobrze, ale co ty kombinujesz? – pyta dyrektor.

- Przekonałem księdza G. do rozmowy. Udzieli nam wywiadu. Tylko proszę cię, zostawmy to na razie w tajemnicy, bo różnie może być. Poza tym lepiej, żeby nikt o tym na razie nie wiedział.

- Jasne. Wszystko zostaje między nami. Ale co, zgodził się na sto procent? Przecież policja go szuka i nawet nie wie, gdzie jest – docieka dyrektor.

- Dla nas to nawet lepiej. Niech go szukają, a my tymczasem przeprowadzimy z nim wywiad – przekonuję.

- Dobrze. Masz wolną rękę. Skompletuj sobie ekipę i przywieźcie dobry materiał. Bądźmy cały czas w kontakcie. Gdyby coś się zmieniło, dawaj znać – powiedział dyrektor.

Z nim nigdy nie było problemu. Dyrektor TVP Info Tomek Sygut czuł newsa jak mało kto. Kilkanaście lat był dziennikarzem politycznym, więc doskonale znał robotę dziennikarza liniowego.

W redakcji od razu włączam telewizor. Nie myślę już o niczym innym, tylko o pytaniach do księdza. Wertuję jeszcze raz tekst Wojtka Cieśli. W Internecie zaczynam szukać materiałów dominikańskich dziennikarzy. Co jakiś czas spoglądam na ekran telewizora. Nie istnieje żaden inny temat. Dziennikarze

poszukują G., wypytyują policję, pokazują jego zdjęcie z listu gończego wystawionego przez Dominikańczyków.

Dzwoni ksiądz Wojtek. To pierwsza, ale nie ostatnia rozmowa, którą odbędę z nim do jutrzejszego ranka, w której delikatnie wycofuje się ze swojego zobowiązania.

– Jednak chyba nie będę rozmawiać. Co mi to da? Nic już nie zmienię. Muszę wszystko zostawić policji i prokuraturze. Nie wiem, czy oni przyjdą i mnie zatrzymają, czy jak to będzie. Czy ja się nie pogrążę tą rozmową – wymienia długą listę argumentów, które przemawiają za tym, żeby lepiej z dziennikarzami nie rozmawiać.

Więc ja znowu przytaczam argumenty przemawiające za tym, że powinien wreszcie przemówić i dłaczego. Wygląda to jak przeciąganie liny. Znowu sukces. Jeszcze raz udało mi się wytłumaczyć mu, dłaczego powinien mówić. Takich rozmów będzie jeszcze kilka.

Nie zważając już na to, czy się rozmyśli, czy nie, zamawiam na jutrzejszy dzień dwóch operatorów, trzy kamery, dźwiękowca, oświetleniowca i kierowców. Proszę o nieoznakowane samochody, żeby nie było z daleka widać, że telewizja przyjechała.

Podczas kolejnej rozmowy z Wojtkiem pytam o adres w Modlnicy, ale nie chce mi go podać. Wykręca się, coś płacze. Deklaruje, że gdy przyjedziemy do Modlnicy, to powie nam przez telefon, jak dojechać. Nie dociskam, bo co mi po adresie.

OBLĘŻONA TWIERDZA

Telewizyjni reporterzy dotarli już do Modlnicy. W serwisach informacyjnych pojawiają się pierwsze wypowiedzi sąsiadów i mieszkańców wsi. Wszystkie w obronie duchownego. Nikt nie wierzy w oskarżenia Dominikańczyków.

Ludzie są zbulwersowani tym, co opowiadają karaibskie dzieci.

– Wojtek je tu przywiózł, pieniądze w kościele dla nich dawaliśmy, a teraz taki pasztet. Jak można tak niewinnego

człowieka oskarżać? On tam z mafią walczył. To wszystko jest wysysane z palca – stwierdza wzburzona mieszkanka Modlnicy w TVP Info.

– Od dziecka go znam. Muchy by nie skrzywdził. Wszyscy go tu uwielbiają – mówi kolejna napotkana kobieta.

Nie zawsze ludzie są mili. Niektórzy odnoszą się do dziennikarzy agresywnie. W miasteczku zaczyna się roić od fotoreporterów. Są „Fakt” i „Super Express”. Dziś najbardziej pożądanym zdjęciem jest zdjęcie Wojciecha G. Nikt go w Polsce nie sfotografował, nikt nie opublikował jego aktualnego zdjęcia. Im ktoś się bardziej ukrywa, tym chęć ujęcia go na zdjęciu bądź filmie jest większa. Modlnica przeżywa prawdziwe obłędzenie.

Sprawa Wojtka wysuwa się na pierwszy plan, choć przecież nuncjusz arcybiskup Józef Wesołowski jest wyższy rangą w hierarchii kościelnej. Mało tego. Jeszcze nikt na takim stanowisku nigdy w historii Kościoła nie był oskarżany o pedofilię. Niektórzy dziwią się, dlaczego właśnie historii Wojciecha G. „uczepili” się dziennikarze. Jedni są przekonani, że to dlatego, że dla Kościoła będzie lepiej, jeśli wszyscy skoncentrują się na zwykłym księdzu, a nie wysokim rangą hierarsze. Moim zdaniem powód jest inny. Banalnie prosty. Arcybiskup Wesołowski jest nieuchwytny dla polskich dziennikarzy. Ukrywa się gdzieś w Watykanie albo w Rzymie. Szanse na jego odnalezienie są niewielkie. Koszty wyjazdu i poszukiwania Wesołowskiego w obcym kraju byłyby ogromne, a efekt raczej mizerny. Natomiast w kraju można próbować wywierać presję na policję, codziennie publikować czy emitować nowe informacje i starać się zainteresować sprawą nasze organy ścigania. Dla mnie najbardziej oczywisty jest inny powód, ale w tym momencie wydaje mi się, że nikt poza mną chyba o nim nie pomyślał.

Oprócz hierarchii obu księży jest jeszcze jedna sprawa, która je różni i zdecydowanie działa na niekorzyść księdza G. Według dominikańskich śledczych arcybiskup Józef Wesołowski płacił dzieciom, które molestował. Szukał ich w miejscu, które jest znane z prostytuowania się nieletnich, popularne wśród homoseksualistów i duchownych. Policja musiała o tym wiedzieć. Tym bardziej że Wesołowski pojawiał się tam niemal codziennie.

Tymczasem Wojciech G. miał molestować dzieciaki ze swojej parafii. Najpierw zdobywał ich zaufanie, zabierał na wycieczki, plażę, obiecywał wyjazdy, organizował zabawy, dawał prezenty, a potem podstępnie się do nich dobierał.

Niby te dwie sprawy się nie różnią, a jednak gdy o nich myślę, dochodzę do wniosku, że gdyby ktoś chciał się na kimś zemścić, to dużo łatwiej udałoby mu się spreparować sprawę nuncjusza Wesołowskiego niż G. Dzieciaki z Maleconu, na którym bywał Wesołowski, za kilkaset pesos opowiedziałyby wszystko o wszystkich. Mam duże wątpliwości, czy postąpiłyby tak dzieci z Juncalito. Oczywiście jeśli chodzi o samo molestowanie, to nie ma to żadnego znaczenia, kogo się molestuje – dziecko z patologicznej czy tak zwanej dobrej rodziny. Kara i konsekwencje powinny być takie same. Ale gdyby się jednak zastanawiać, czy któraś z tych spraw nie jest wymyślona i ukartowana, to raczej byłaby to sprawa Wesołowskiego.

WYWIAD ODWOŁANY

ŚRODA, 2.10.2013, GODZINA 10.

Jestem w drodze do pracy, skąd o dwunastej mamy wyjechać do Modlnicy. Dzwoni telefon. Zanim wyciągnę go z kieszeni, już wiem, kto dzwoni. I wiem po co. Wojtek.

– Cześć, Piotrek. Nie przyjeżdżajcie do mnie dzisiaj. Nie dam rady. Odłóżmy to na piątek – słyszę i nawet mnie to nie dziwi, bo to kolejny już telefon od wczorajszego wieczoru.

Zaczynam więc ponownie tłumaczyć Wojtkowi, że nie może tak co chwila zmieniać decyzji, bo przy nagraniu pracuje kilka osób, które w takiej sytuacji zostaną dziś bez pracy. Trochę naciągam rzeczywistość, ale powoli zaczyna mi brakować argumentów. Wiem, że gdybyśmy rozmawiali twarzą w twarz, przekonałbym go do rozmowy. Szczerze mówiąc, wolałbym nawet pojechać pod ten Kraków i na miejscu dowiedzieć się, że nie będzie tego wywiadu, bo inaczej rozmawia się twarzą w twarz niż przez telefon.

Tłumaczę więc, że rozmowę możemy nagrać dzisiaj, a wyemitować wtedy, gdy dokona autoryzacji i obaj uznamy, że to dobry moment.

– Słuchaj, ja tu żyć nie mogę. Mam pod domem kilkunastu dziennikarzy. Mama nie może wyjść z domu. Robią jej zdjęcia. Polują na mnie. Wozy transmisyjne stoją przed domem. Nadają na żywo. Sam już nie wiem, co robić... – Słyszę w słuchawce głos zdruzgotanego mężczyzny.

Staram się go uspokoić, ale sam nie wiem, co bym zrobił w takiej sytuacji.

– Wojtek, teraz nie ma już co się wycofywać. Podjąłeś decyzję, ja wszystko zorganizowałem. Nagramy rozmowę, zobaczymy, jak wyjdzie, i potem pomyślimy, co z tym zrobić – mówię zdecydowanie.

– No dobrze. To jak dojedziecie, zatrzymajcie się przy cmentarzu. Będziemy musieli pomyśleć, jak was dotransportować, bo tu naprawdę kłębi się od dziennikarzy – mówi na zakończenie.

Włączyłem radio w samochodzie. Trafiłem na wiadomości. Natychmiast zorientowałem się, dlaczego pod domem jego rodziców czekają dziennikarze i fotoreporterzy. Policja poinformowała, że ksiądz G. się nie ukrywa, tylko przebywa w swoim domu. W takiej sytuacji też bym tam pojechał. Z samochodu biegnę prosto do sali konferencyjnej, bo właśnie zaczyna się poranne kolegium. Wydawcą dnia jest Ewa Godlewska-Jeneralska, doświadczona dziennikarka i wydawczyni. Na takim kolegium są wydawcy wszystkich programów informacyjnych, czyli „Wiadomości”, „Panoramy”, „Teleexpressu”, publicystyki, TVP Info, portalu info i redakcji zagranicznej. Podczas omawiania wydarzeń Ewa wydaje polecenie, żeby jak najszybciej wysłać wóz satelitarny pod dom G. Producent mówi, że jest problem, bo wóz krakowski jest uszkodzony i do Modlnicy ściąga wóz z Zakopanego. Ale chłopaki potrzebują co najmniej dwóch godzin, żeby zameldować się w Modlnicy. Ewa kiwa głową i prosi, by się pospieszyli.

Pomyślałem, że to nie jest dobry pomysł, ale szybko ugryzłem się w język. Przecież nikt tutaj nie wie, że jadę na rozmowę z księdzem. Po kolegium zaczepiam Ewę koło gabinetu dyrektora.

– Ewuniu, nie stawiajmy wozu pod domem G. Zaraz wyjeżdżam do Krakowa. Mamy z nim ekskluzywny wywiad. Boję się, że jeżeli przed domem stanie jakiś lokalny reporter i zacznie po nim jeździć, a on zobaczy to w telewizji, będzie po rozmowie – mówię.

– Masz rację. Nie ma sprawy. Odwołuję wóz. Powodzenia – rzuciła Ewa.

CISZA PRZED BURZĄ

Droga do Krakowa wyjątkowo pusta. Słoneczna pogoda. Jedziemy w dwa samochody. W sumie sześć osób. To ostatni moment, żeby poukładać sobie tę historię w głowie. Na drogę wziąłem „Newsweeka”. To z niego Polacy dowiedzieli się o szczegółach sprawy. Oczekują odpowiedzi na te zarzuty. Podkreślani ważne tematy, o których chcę z nim rozmawiać. Na wszelki wypadek już nie dzwonię, bo znowu się rozmyśli...

Po trzech godzinach z hakiem jesteśmy prawie na miejscu. Zjeżdżamy z głównej drogi i po chwili mijamy znak z napisem „Modlnica”. Zatrzymujemy się przy cmentarzu. Wykręcam numer, ale nie odbiera telefonu. Raz, drugi, trzeci. Komórka Wojtka jest wyłączona.

– Świetnie, przejechaliśmy pół kraju, żeby wrócić bez niczego – mówię do swojej ekipy. Wszyscy wysiedli z samochodów, żeby rozprostować kości.

– Poczekajmy parę minut i zadzwonię jeszcze raz. – Próbuję udawać, że nic się nie stało.

Wypalamy po trzecim papierosie, ale Wojtek nie oddzwania. Mija piętnaście minut, wykręcam jeszcze raz.

– Halo – słyszę w słuchawce.

– Jesteśmy przy cmentarzu.

– Dobrze. Zjedźcie w dół, później skręćcie w prawo, w małą uliczkę. Poproście mamę i brata, żeby was wpuścili – instruuje nas Wojtek.

Oddycham z ulgą.

Szybko pakujemy się do samochodów i jedziemy zgodnie z instrukcją. Trochę błądzimy. Liczyłem na wozy transmisyjne, reporterów, którzy kłębią się w okolicach domu, a tu pusto, cisza. Zawracamy. Po kilkuset metrach widzę, że ktoś do nas macha. To mama Wojtka. Wjeżdżamy na teren posesji.

Skromny, nieotynkowany jednopiętrowy dom. Mama księdza kieruje nas na tył domu, żeby nikt nie widział, kto i po co przyjechał. Wszyscy są ostrożni, nie wiadomo dlaczego.

– Przed kim mamy się tak chować? – pytam, gdy tylko zaparkowaliśmy.

– Kilka minut przed waszym przyjazdem odjechał samochód Polsatu – oznajmia kobieta. – Cały dzień stali tu dziennikarze.

Dom ogrodzony jest niewielkim płotem. W dzień nikt z domu nie wychodził, bo nawet delikatne uchYLENIE drzwi skutkowało wycelowaniem kamer i obiektywów w ich stronę.

Pokój Wojtka to przybudówka na tyłach domu. W ogródku stoi karuzela, kamper i jakieś zabawki z wesołego miasteczka. Wyobraźnia zaczyna pracować jeszcze mocniej. Idealne miejsce dla małych dzieci. Szybko dowiaduję się jednak, że brat Wojtka założył objazdowe wesołe miasteczko i wędruje z nim po całym kraju. Wcześniej pracował w takim samym w Norwegii.

Po chwili otwierają się duże szklane drzwi. Wyłania się z nich dobrze mi znana postać – ksiądz Wojtek. Wygląda dokładnie tak samo, jak dziesięć miesięcy temu na Dominikanie. Mimo wybuchu afery prawie w ogóle się nie zmienił. No, może trochę przytył.

Przedstawiam mu całą ekipę i znikamy z nim w jego pokoju. Ma może 30 metrów kwadratowych. Zielone ściany ostro kontrastują z pomarańczową kanapą i fotelem. Obok kanapy mały stolik. Na nim gazety, tablet, kilka starych telefonów komórkowych. Na ścianie krucyfiks.

Siadamy na kanapie. Jest przybity, nie wie co robić. Przegląda esemesy w telefonie.

– Najpierw zadzwonił do mnie mój adwokat. Powiedział, żebym nie wracał na Dominikanę, bo został na mnie wydany wyrok śmierci. Poszedł do prokuratury, ale tam nie chcieli mu pokazać żadnych materiałów, żadnych dowodów. Czy to normalne? – pyta zakonnik.

– W Polsce prokurator też by nic nie pokazał twojemu adwokatowi na początku postępowania. Prokurator musi chronić świadka czy ofiarę i oczywiście musi zebrać inne dowody potwierdzające wersję zdarzeń. To raczej normalne. Gdyby pokazał wszystko twojemu adwokatowi, to dopiero byłoby dziwne – tłumaczę Wojtkowi.

– Reprezentuje mnie dwóch adwokatów. Kobieta i mężczyzna. Nie mam pieniędzy. Robią to za darmo. Musisz mnie zrozumieć, że bez nich nie jestem w stanie nic zrobić. Zaraz połączę cię z panią mecenas. Ona jest przeciwko tej rozmowie. Może tobie uda się ją przekonać... – Zaczynam rozumieć, że zaraz wszystko może runąć jak domek z kart.

Moja rozmowa z panią mecenas trwa kilkadziesiąt minut. Przekonuję ją, że nie przyjechałem, by wyrządzić księdzu krzywdę. Że moją rolą jest bycie pośrednikiem między widzem a pomówionym księdzem. Tłumaczę, że po przeczytaniu tekstów w „Newsweeku”, a później wysłuchaniu wersji Wojtka, sam nie wiem, czy oskarżenia są prawdziwe. Dobrze byłoby, żeby ludzie mogli wyrobić sobie sami zdanie na ten temat. W końcu zapraszam ją do domu Wojtka, żeby była podczas wywiadu.

– Jeśli uzna pani, że jakaś odpowiedź narusza jego dobre imię, będzie pani mogła interweniować – proponuję.

Bezskutecznie. Ostatecznie pani mecenas pozostawia decyzję księdzu.

Chłopaki wnoszą sprzęt do środka. W domu zaczyna się robić bardzo jasno. Stojąc na zewnątrz, mam wrażenie, że jestem na planie filmowym. To wina mocnych świateł, które rozstawił oświetleniowiec. Operator przesuwają łóżko, ustawia kadr. Na ziemi stoi już mały monitor do podglądu nagrania.

JESZCZE JESTEM KSIĘDZEM

Z pokoju Wojtka wychodzi się do małego przedpokoju. Leżą w nim jakieś ubrania, puste butelki. Przechodzimy do głównej części domu. Na wprost jest kuchnia, po lewej stronie łazienka.

Wchodzę, żeby zmienić ubranie. Po kilku minutach wracam do pokoju, by nałożyć puder Wojtkowi. On też się przebrał. Niebieska koszula, koloratka.

– Założę koloratkę, żeby było wiadomo, że jestem księdzem. Jeszcze nim jestem. Na razie mnie tylko zawiesili – mów i lekko podenerwowany.

Smaruję pudrem jego twarz i zakola. Chodzi o to, żeby nie odbijało się od nich światło.

Przypominam sobie, jak nagrywaliśmy go na dachu plebanii na Dominikanie. Co chwila musieliśmy przerywać, bo oblewał się potem. Było bardzo gorąco.

Dziś nie będziemy mogli przerywać.

Wracam do pokoju. Kamery gotowe, światło ustawione, mikroporty podpięte. Przez uchylone drzwi wchodzi Wojtek. Wskazuję mu miejsce na kanapie. Sam zajmuję fotel, sięgam po „Newsweeka”. Ekipa mówi, że wszystko gotowe. No to zaczy...

W tym momencie dzwoni jego komórka. Wojtek odbiera, wstaje i wychodzi.

– Ciekawe, kto tym razem? – zastanawiam się na głos.

Po kilku minutach wraca, a właściwie wychyla głowę przez uchylone drzwi i skinieniem zaprasza mnie do wąskiego korytarza. Z niego wchodzimy do większego przedpokoju, dzielącego kuchnię i sypialnię jego rodziców od pokoju gościnnego.

– Nie dam rady. – Ociera serwetką czoło. – Dzwonił mecenas Szreniawa i też mówił, żebym nie udzielał wywiadu.

Wiem, że albo zaczniemy nagrywać teraz, albo nic z tego nie będzie.

– Wojtek, bądź facetem. Zdecydowałeś się, przyjechaliśmy, wszystko jest już gotowe. Chodź do pokoju i nagrywamy. Będzie coś złe, to poprawimy. Jeśli nie dokonasz autoryzacji tego wywiadu, to nie będę mógł go wyemitować. Zatem nie ma zagrożenia, że wrócę do Warszawy i bez twojej zgody puszczę to wszystko w telewizji. Znamy się w końcu – mówię tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Chyba się mnie przestraszył, bo kieruje się do swojego pokoju. Idę za nim. Wchodzimy do środka, siadamy.

– Chłopaki, zaczynamy – mówię wkurzony.

I zawsze jak to w takim momencie bywa, rąbnęło światło. Oświetleniowiec uwija się jak w ukropie, zdając sobie sprawę, że rozmowa wisi na włosku i nawet najmniejsze opóźnienie może ją udaremnić.

– Gotowi – słyszę głos Marcina.

NIE MOLESTOWAŁEM TYCH DZIECI

Jeszcze w drodze do Modlnicy zastanawiałem się nad pytaniami. Wiedziałem, że jest co najmniej kilka takich, bez których nie mogę skończyć tej rozmowy. Ale wiedziałem też, że nie mogę zacząć strzelać do G. z armaty tuż po włączeniu kamer. Zwłaszcza że do ostatniej chwili próbował się od tej rozmowy wykręcić. Wiedziałem, że najpierw muszę go zmiękczyć, popytać, jak się czuje.

Miałem świadomość, że moja mimika też będzie ważna. Jeśli zobaczy we mnie kogoś, kto mu za grosz nie wierzy, wyjdzie z pokoju.

Byłem pewny, że nie mogę z nim prowadzić rozmowy, jakich setki czy tysiące prowadziłem z osobami, których nigdy wcześniej nie widziałem na oczy. Wtedy można walić prosto z mostu.

Tymczasem Wojtka poznałem dziesięć miesięcy wcześniej, i to wyłącznie z dobrej strony. Trudno byłoby mi przywalić mu od razu między oczy.

– Molestował ksiądz te dzieciaki?

– Nie. (cisza)

– A ksiądz jak widział w internecie, to rozpoznawał to jako swoje rzeczy?

– Nie, absolutnie.

– Mówię oczywiście o bieliźnie, bo zdjęć nikt nie publikował?

– Absolutnie... Absolutnie... Absolutnie nie^[1] – odpowiedział, kręcąc głową. A jednocześnie zaśmiał się.

Ale to nie był jego naturalny śmiech. Na pierwszym planie pojawiły się jego białe zęby. Jednak ten śmiech był lekko ironiczny, a nawet szyderczy. A to potrójne zaprzeczenie pozwalało podejrzewać, że nie jest do końca szczerzy.

Długo mu nie przerywałem, pozwalałem mu mówić. W końcu zamilkł. Zapadła przeraźliwa cisza. Spojrzałem mu w oczy. Krzyczały: Zadaj mi kolejne pytanie. Nie wiem, jak długo dam radę patrzeć na ciebie bez mrugnięcia okiem.

Wojtek ożywał się, kiedy pytałem go o Juncalito, o politykę na Dominikanie, o to, w jakich warunkach żyją tam ludzie. W końcu o to, co tam robił. Wtedy widziałem tego samego zakonnika co przed dziesięcioma miesiącami, który z pasją opowiadał mi, na czym polega jego praca, w jaki sposób pomaga tym ludziom i dlaczego. Wtedy miał naturalny wyraz twarzy, uśmiechał się od serca. Jego mimika była naturalna, a nie wymuszona. Jednak kiedy przechodziłem do kolejnego trudnego pytania, znowu się spinał. I nie wiedziałem, czy wynika to z bólu, jaki mu zadano kłamliwymi oskarżeniami, czy ze strachu przed przyszłością lub zderzeniem się z prawdą. Ku mojemu zdziwieniu ani razu podczas tej stuminutowej rozmowy nie pojawiła się na jego twarzy nawet kropla potu.

NIE PAMIĘTAM, CZY GO O TO PROSIŁEM

Jednym z kluczowych pytań było to o rozmowę telefoniczną z diakonem:

– Diakon twierdzi, że dzwonił ksiądz do niego, prosząc, żeby powynosił z parafii komputery i rzeczy, które mogą księdza kompromitować.

– Ja nie pamiętam, co ja dokładnie mogłem mówić. Fakt, że dzwoniłem do diakona, aby zapytać, czy takie doniesienie rzeczywiście było złożone. On mi wtedy powiedział, że o niczym nie wie. I to była jedyna rozmowa, jaką z diakonem pamiętam. Co dokładnie więcej, czy w nerwach, czy nie w nerwach, ja

dokładnie nie mogę określić, nie mogę powiedzieć, bo nie pamiętam.

– Pamięta ksiądz, czy ksiądz go o to prosił, czy...

– Ja pamiętam, że pytałem go... Pierwsze moje słowa, jak się do niego dodzwoniłem, zapytałem go czy słyszał coś o tym, że ktoś na mnie miał złożyć doniesienie. Ja miałem wylatywać na drugi dzień. Miałem wypożyczony samochód, by dojechać na lotnisko do Warszawy z tymi ludźmi, z którymi miałem wracać. I on mi powiedział, że on o niczym nie wie, ale ja już miałem wtedy informacje, że mam nie wracać na Dominikanę, gdyż grozi mi niebezpieczeństwo.

Nie wierzyłem mu. Nie wierzyłem, że choćby był najbardziej zdenerwowany, mógłby nie pamiętać, czy prosił swojego współpracownika o wyniesienie z domu rzekomych dowodów przestępstwa. Jeśli o to prosił. A jeśli nie prosił, to też byłby pewny, że nie prosił, bo nikogo nie molestował, a co za tym idzie w jego domu nie mogło być żadnych dowodów na to. To oczywiste. Wojtek po prostu nie chciał odpowiedzieć na to pytanie.

Za to chętnie opowiadał o tym, że na Dominikanie kilkakrotnie go napadnięto, że przystawiono mu nóż do szyi, że dwa razy ktoś przyłożył mu broń do głowy. Szczegółowo wyjaśniał, jak niebezpieczna jest Dominikana i jak ludzie są poszkodowani przez system. Bez ogródek opowiadał o tym, kto handluje narkotykami, i o tym, że dzieci są wykorzystywane do ich rozprowadzania. Długo mówił też o swoim programie walki z narkotykami, który miał zagrozić handlarzom, więc nie wszystkim się spodobał. W tym upatrywał przyczyn obrzucenia go kłamliwymi zarzutami o pedofilię.

Ze szczegółami opisał, jak dwa razy w drodze do Polski – na lotnisku we Frankfurcie i na lotnisku w Puerto Plata – celnicy znaleźli w jego bagażu ostrą amunicję. Ktoś miał mu ją podrzucić. Już wtedy ponoć interpretował to jako próby zastraszenia. Twierdzi, że komuś zależało na tym, by nie wracał na Dominikanę.

Ludzie mieli mu grozić i ostrzegać, że rządzić może sobie w swoim kraju, a nie w Juncalito. Żeby się opamiętał. Ale on się tym nie przejmował i robił swoje.

Na tego typu pytania odpowiadał bez zastanowienia, szybko i nad wyraz wiarygodnie. Kiedy jednak poruszałem sprawę molestowania, zwalniał. Jakby się zastanawiał. Miałem wrażenie, że myśli trzy razy, zanim wypowie zdanie. I bardzo sprawnie miesza rzeczywistość z kłamstwem. Czasami pytałem o coś dwa razy, licząc na to, że się zapomni, odpowie inaczej. Ale nie.

Tylko raz przerwaliśmy rozmowę. Żeby zmienić w kamerach dyski. Każdy z nich może pomieścić do 90 minut rozmowy. Ale nawet podczas tej kilkunastosekundowej przerwy nie ruszył się z miejsca. Siedział wyprostowany i wpatrzony we mnie. Tak jakby każdy najdrobniejszy ruch czy zmiana pozycji mogły wpłynąć na jego wiarygodność.

Nie przekonała mnie też opowieść o Carlu, chłopcu, który pierwszy oskarżył go o molestowanie seksualne. Zeznał, że między nim a księdzem dochodziło do seksu oralnego, że G. kazał mu zakładać bikini, stringi. To był ten chłopiec, który w 2010 roku przyjechał z Wojtkiem do Polski. Tym razem też miał przylecieć, ale Wojtek go nie zabrał, bo – jak twierdził – skarżył się na niego diakon.

– Długo przed tym wyjazdem dowiedział się, że nie przyleci?

– Trzy miesiące... Cztery miesiące... Około czterech miesięcy.

– Miał do księdza żal? Do księdza? Do diakona?

– Nigdy mi tego nie powiedział. Diakonowi też tego nie sugerował. Wydaje mi się, że tak jak każde dziecko, jak mu się coś obieca, a potem słowa nie dotrzyma, to może mieć żal.

– Dlaczego diakon twierdził, że on jest nieodpowiedzialny?

– Dlatego, że zasypiał, że często sam diakon musiał za niego kościół otwierać. Sam diakon dzwonił dzwonami.

– A ile Carlo ma lat?

– Nie wiem. Szesnaście... piętnaście... Nigdy go o to nie pytałem. Nie wiem.

MODLĘ SIĘ ZA TE DZIECI

Myślę, że ksiądz doskonale wiedział, ile Carlo ma lat. W końcu miał jego paszport. Byli razem w Polsce trzy lata wcześniej. A jeśli rzeczywiście nie wiedział, mógł szybko obliczyć. To śmierdziało na kilometr. Tak jakby duchowny chciał wyprzeć wszystko, co wiązało się z oskarżeniem. Zapomnieć o wszystkim. Może bał się, że jeśli puszcza mu nerwy, przestanie się kontrolować i powie coś, co go zdradzi?

Z kamienną twarzą patrzył na mnie, kiedy czytałem z „Newsweeka”, jakie dowody zabezpieczono na plebanii: dwie pary damskich stringów, dziwne srebrne rajstopy, żółte bikini.

– Ksiądz pewnie widział to, w gazetach było...

– Ja to widziałem tylko i wyłącznie w gazetach. Widziałem to w Internecie.

Według prokuratury przeciwko zakonnikowi zeznawało czworo nieletnich. Wojtek wie tylko o Carlo. Nie domyśla się, które z dzieci mogły złożyć pozostałe.

– A co dziś ksiądz powiedziałby tej czwórce dzieci?

– Cały problem w tym, że ja dzieci za nic nie winię. Bo to są, tak jak ludzie na Dominikanie, ofiary systemu. Chorego systemu, w którym najważniejsza jest partia, do której się przynależy. W której najważniejszy jest honor. Jeżeli czują się skrzywdzone w jakikolwiek sposób przez moją osobę, żeby mi wybaczyły. A ja za nie się modlę i zawsze się będę modlił.

– Skończyliśmy – powiedziałem i z ulgą wstałem z fotela.

– To żeś mnie wymęczył – stwierdził Wojtek

W pokoju panował półmrok. Paliły się tylko telewizyjne lampy. Chyba wszyscy odetchnęli z ulgą, że to już koniec. Myślę, że każdy z nas był na swój sposób zmęczony. I każdy z innego powodu.

KĄŻDY MA PRAWO DO AUTORYZACJI

Dopiero włączenie domowego światła zmieniło atmosferę. Zniknęła siekiera od blisko dwóch godzin wisząca w powietrzu. Wszyscy zrzuciliśmy robocze ciuchy i zaczęliśmy rozmawiać swobodnie.

Chłopaki zaczęli szybko zwijać sprzęt. Dochodziła dwudziesta trzecia. Czekala nas droga do Warszawy.

Mama Wojtka przyniosła dwa talerze kanapek. Nikt nie odmówił. Byliśmy głodni. Każdy dostał też herbatę lub kawę.

Dom rodzinny Wojtka – podobnie jak ten na Dominikanie – był otwarty. Kiedy skończyliśmy nagranie, na Wojtka czekało już kilku ministrantów i miejscowy ksiądz. Przyszli w odwiedziny, a jednocześnie przynieśli Wojtkowi pieniądze, które udało im się zebrać za zrobione przez siebie różańce w formie bransoletek. Każdy z nas mógł wziąć sobie taki na pamiątkę.

Z młodzieżą z Modlnicy Wojtek też miał dobry kontakt. Widać było, że w tym domu są nie pierwszy raz, dobrze się znają, lubią. Pytali, jak mu poszła rozmowa, i zapewniali, że nie wierzą w te wyssane z palca bzdury.

– Znamy go od wielu lat – mówił kilkunastoletni chłopiec. – Zналиśmy go, zanim pojechał na Dominikanę. Przecież gdyby coś było nie tak, pierwsi byśmy wiedzieli. To się kupy nie trzyma.

Żegnając się, powiedziałem Wojtkowi, że zadzwonię do niego następnego dnia i dogadamy szczegóły autoryzacji. Opowiedziałem mu krótko o procesie produkcyjnym, uprzedziłem, że nie ma szans, żebyśmy wyemitowali całe sto minut. Zapewniałem go, że zmontowaną rozmowę prześlę mu Weetransferem. Jeśli będzie miał uwagi, skontaktujemy się i naniesiemy zmiany. Każdy ma prawo do autoryzacji.

Wyjeżdżamy po północy. W samochodzie cisza. Nikt nic nie mówi, jakby dopiero teraz każdy z nas próbował analizować to, co nagraliśmy. Tuż przed wylotówką zatrzymujemy się na stacji benzynowej. Emocje puszczaają. Stajemy w kółku i zaczyna się dyskusja.

– Wierzysz mu? – pyta mnie Paweł, jeden z operatorów.

– Nie wiem. A wy, chłopaki? – odbijam piłeczkę.

Okazuje się, że połowa z nas wierzy księdzu. Najbardziej krytyczny wobec niego jest Michał, także operator. Dość prowokacyjnie pyta Pawła, któremu niedawno urodził się syn:

– Oddałbyś ma swoje dziecko pod opiekę?

– Oddałbym – odpowiada bez zastanawiania się.

Przyglądam im się uważnie, bo chyba sam nie do końca wiem, czy wierzę Wojtkowi. Włączam komórkę, którą wyłączyłem tuż po wejściu do domu księdza. Kilkadziesiąt nieodebranych połączeń, kilkanaście esemesów.

– Dobra, chłopaki, jedziemy, bo ja to dzisiaj chyba nie pośpię – rzucam i wsiadamy do samochodów.

Najpierw oddzwaniem do dyrektora.

– Kurwa, co się z wami dzieje. Już zacząłem się zastanawiać, czy coś się wam nie stało. Z nikim nie ma kontaktu. Opowiadaj. Macie rozmowę?

– Mamy, mamy. Sto minut – mówię zadowolony z siebie.

– Sto minut? Co my z tym, kurwa, zrobimy? – pyta.

– Zmontuję. – Nie ma innego wyjścia.

DŁUGA NOC

CZWARTEK, 3.10.2013, GODZINA 16.

Wbiegam do pracy prosto z sądu. Wiem, że zmontowanie rozmowy zajmie mi co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście godzin. Najpierw trzeba całość jeszcze raz obejrzeć, potem wybrać fragmenty, ułożyć je w całość. Idę do dyrektora zapytać, ile minut ma mieć ta rozmowa. Piętnaście. Trochę to mało, ale nie narzekam. Później będę negocjował. Proszę o stanowisko montażowe wyłącznie dla mnie i o dobrego montażystę.

– Bierz, kogo chcesz. Masz wolną rękę – słyszę.

Do pracy zabieram się wspólnie z Robertem Rzepnikowskim, dziennikarzem TVP Info. To z nim odwiedziliśmy wtedy Wojciecha G. na Dominikanie. Siadam do przesłuchania rozmowy i wybrania najważniejszych fragmentów.

Dla dziennikarza nie ma nieważnych fragmentów. Wszystko jest ważne. Zawsze miałem problem ze skracaniem swoich

materiałów. Najchętniej bym ich nie skracał. Ale kto wytrzymałby sto minut rozmowy choćby i z Barackiem i Obamą? A co dopiero z księdzem oskarżanym o molestowanie? Pewnie nikt oprócz księdza i mnie.

Dopiero przed drugą nad ranem mamy podmontowaną całość. To jeszcze nie jest materiał do emisji, ale spokojnie można go wysłać do autoryzacji. Do Wojtka i jego adwokata.

Jak najszybciej informuję go, że wysłałem im materiał mailem. Wojtek przypomina mi, że nie mogę wypuszczać rozmowy, dopóki nie autoryzuje jej jego adwokat. Umawiamy się, że jego prawnik jak najprędzej da mi znać, czy według niego ta rozmowa może zostać wyemitowana. Zastrzegam, że najpóźniej do dziesiątej przed południem muszę mieć odpowiedź.

Wojtek dzwoni już po dwudziestu kilku minutach. Jest zadowolony z tego, co zobaczył. Mówi, że nic by nie zmieniał. Ostateczną decyzję ma jednak podjąć prawnik.

Sęka w tym, że nie odbiera telefonu ani od Wojtka, ani ode mnie. Na wszelki wypadek wysłałem mu esemesa z informacją, że wywiad znajduje się już w jego poczcie. Ale nie dostaję informacji zwrotnej.

MILCZENIE JEST ZŁOTEM

Próbuję jeszcze raz około czwartej nad ranem, ale mecenas nie odpisuje na esemesy. Zresztą, kto normalny o tej porze nie śpi? Około piątej nad ranem kończymy montaż. Rozmowa ma 23 minuty. Płytę ze zgranym materiałem wsuwam przez szparę pod drzwi gabinetu dyrektora. Nie mam zamiaru zrywać się za kilka godzin tylko po to, żeby przekazać ją oficjalnie.

Wracam do domu, ale nie chce mi się spać. Na wszelki wypadek wrzucam swoją kopię do DVD i oglądam nagranie jeszcze raz. Chcę się upewnić, czy nie pominąłem jakiegoś ważnego wątku. Sprawdzam też, czy nie ma błędów w montażu. Muzyka podłożona, wizytówki zrobione. Błędów – nawet jeśli są – już nie widzę.

Świta. Patrzę na zegarek. Minęła szósta. Mogę zadzwonić do Wojtka. Odbiera. Pytam, czy udało mu się skontaktować z adwokatem Szreniawą.

– Umówiłem się z nim na telefon o ósmej – mówi Wojtek.

– Powiedz mu, że to bardzo ważne. Niech obejrzy i jak najszybciej da znać, czy według niego powinienem coś poprawiać – proszę go.

Nastawiam budzik na ósmą piętnaście i próbuję się zdrzemnąć. Budzik zadzwonił, nim zdążyłem zasnąć. Jeszcze raz wybieram numer Wojtka.

– Rozmawiałem z nim, powiedział, że do dziewiętej da znać – mówi.

Idę spać.

PRZYJEŹDŹAJ DO FIRMY

Przed jedenastą budzi mnie telefon od Tomka Syguta.

– Gdzie ty jesteś? Przyjeżdżaj tu jak najprędzej. Tomek Sandak [dyrektor Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, czyli szef wszystkich programów informacyjnych TVP – przy. aut.] obejrzał rozmowę. Chce ją puścić jeszcze dziś. Wskoczy o 19.57, zaraz po „Wiadomościach”, w ramach programu „Dziś Wieczorem” – mówi jednym tchem.

– Ale Tomek, ja nie mam jeszcze autoryzacji. Bez tego nic nie możemy zrobić. Adwokat księdza G. nie odpowiada – mówię.

– Przyjeżdżaj na plac. Jak najszybciej – kończy.

Szybki prysznic i jadę. Z samochodu dzwonię jeszcze raz do Wojtka. Pytam, co z autoryzacją. Przecież nie wyemituję niczego bez ich akceptacji. W końcu obiecałem.

– Nie mam kontaktu ze Szreniawą. Powiedział, że obejrzy i się odezwie, ale chyba jest w sądzie – mówi. Zaczynam podejrzewać, że nie dostanę autoryzacji. Że jego obrońca nie chce dopuścić do emisji tej rozmowy.

W pracy idę prosto do dyrektorów. Mają gabinety naprzeciwko siebie.

– Okej. Bardzo dobra robota. Gratulacje – słyszę na dzień dobry.

– Wiem, że mamy supereksklusiwa, ale nie mamy autoryzacji – mówię stanowczo.

– A kiedy będziesz ją miał? – pyta Sygut.

– Czekam od drugiej w nocy – odpowiadam.

– Trudno. Nie będziemy czekać wiecznie. O trzynastej puszczamy zwiastuny. Idź na montaż i przypilnuj, żeby dobrze wyglądały – podejmuje decyzję dyrektor Sandale i wychodzi z pokoju.

– Ale nie możemy wyemitować tej rozmowy bez autoryzacji – mówię do Syguta.

– Dzwon do nich i powiedz, że muszą autoryzować – kwituje.

Łapię za słuchawkę.

– Halo, halo – krzyczę, bo mecenas Szreniawa odebrał telefon, ale się nie odzywa. – Panie mecenasie!

Adwokat się rozłącza, po czym znowu nie odbiera komórki. Jestem pewny, że robi to celowo.

Zbliża się dwunasta. Mam niewiele czasu. Niespełna godzinę. Punktualnie o trzynastej zostanie wyemitowany pierwszy zwiastun zapowiadający wieczorny wywiad. Dzwonię do G.

– Wojtek, musicie autoryzować rozmowę. My ją puszczamy dziś wieczorem – mówię.

– Jak to? – pyta zdenerwowany. – Miałeś czekać, aż autoryzujemy. Tak, ale umawialiśmy się, że twój prawnik autoryzuje ją do dziesiątej. A on unika rozmów, nie odbiera telefonu. Od początku był przeciwny i myślę, że robi to celowo – tłumaczę, a cenne minuty uciekają.

Mając cały czas Wojtka na linii, biegnę do Roberta, który montuje zwiastuny wywiadu. Nie ma łatwej roboty. Za jego plecami trzech dyrektorów, szef i wydawca „Wiadomości”. Robert tłumaczy coś montażyście. Widać, że obaj są lekko stremowani gośćmi za plecami.

Wychodzę na korytarz. W rozmowie z Wojtkiem zaczynam używać najcięższych argumentów. Mówię, że to on musi podjąć decyzję. Że nikt za niego tego nie zrobi.

O 12.58 udaje mi się go przekonać. Zdążam go jeszcze zapytać, czy mogę pokazać jego twarz, czy woli, żebym ją zakrył.

– Nie chcę zakrywać twarzy. Mówię prawdę. Dlaczego mam się chować? – decyduje Wojtek.

Dwie minuty później na antenie TVP Info pojawia się pierwszy zwiastun rozmowy i czerwony pasek z informacją, że Wojciech G. udzielił nam ekskluzywnego wywiadu, w którym odnosi się do stawianych mu na Dominikanie zarzutów. Informację podchwytyją wszystkie stacje, portale i gazety. Sprawa polskich księży pedofili na Dominikanie powraca na długie miesiące.

PIĄTEK, 4.10.2013, GODZINA 19.57. Program „Dziś Wieczorem”, TVP Info.

PIOTR KRYSIAK Prokuratura na Dominikanie oskarża księdza o molestowanie nieletnich. Ponoć zgłosiło się trzech chłopców, którzy złożyli zeznania. To są chłopcy, którzy mieszkali u księdza w parafii?

KSIĄDZ WOJCIECH G. Z tego co ja wiem, są mieszkańcami parafii. Ale nie wiem dokładnie którzy, z tego względu, że ja się nawet nigdy nad tym nie zastanawiałem. Ja się za te dzieci modlę. Proszę Pana Boga, że jeżeli cokolwiek złego w moim kierunku czuli, żeby mi wybaczyli, ale z drugiej strony wiem, że nie zrobiłem nic złego w stosunku do tych dzieci. Modlę się za nich jak kapłan. Jako człowiek.

Znam bodajże jednego chłopca, który na mnie złożył zażalenie do prokuratury. Nie wiem, kim są inni dwaj.

P.K. Kojarzy ksiądz chłopca, który występuje w mediach pod pseudonimem Carlo?

W.G. Kojarzę. On był ministrantem. Był odpowiedzialny za kościół. Był odpowiedzialny za dzwonienie dzwonami, otwieranie drzwi. W tym roku miał lecieć do Polski. Nie poleciał z tego względu, że diakon uznał, że jest nieodpowiedzialny. Więc podjąłem decyzję, że go do Polski nie wezmę. Bardzo chciał do Polski lecieć, ale nie przyleciał w tym roku.

P.K. Długo przed tym wyjazdem dowiedział się, że nie przyleci?

W.G. Trzy miesiące... Cztery miesiące... Około czterech miesięcy.

P.K. Miał do księdza żal? Do księdza? Do diakona?

W.G. Nigdy mi tego nie powiedział. Diakonowi też tego nie sugerował. Wydaje mi się, że tak jak każde dziecko, jak mu się coś obieca, a potem słowa nie dotrzyma, to może mieć żal.

P.K. Dlaczego diakon twierdził, że on jest nieodpowiedzialny?

W.G. Dlatego, że zasypiał, że często sam diakon musiał za niego kościół otwierać. Sam diakon dzwonił dzwonami.

P.K. A ile Carlo ma lat?

W.G. Nie wiem. Szesnaście... piętnaście... Nigdy go o to nie pytałem. Nie wiem.

P.K. Bo zdaje się, że to jest główny ksiądz oskarżyciel. Prokuratura na Dominikanie ujawniła, że chciał się zabić. I w swoich zeznaniach w obecności psychologa powiedział, że dotykał go ksiądz od czterech lat. A prokurator streściła dziennikarzom zeznanie Carla: „Opowiedział, że na plebanii musiał się przebierać w damskie stringi. Że ksiądz się przy nim onanizował, że kazał mu tańczyć w żółtym bikini. Kazał masturbować siebie. Robił zdjęcia komórką. Kilka razy doszło do seksu analnego. Raz, żeby go zmusić do posłuszeństwa, ksiądz przyłożył mu pistolet do głowy. Mówił, że ma kontakt z Bogiem”^[2].

W.G. Wydaje mi się, że żadne moje słowo, czy tak było, czy tak nie było, nie będzie dla ludzi wiarygodne z tego względu, że jestem księdzem. Jestem człowiekiem. A ludzie dzisiaj wierzą dzieciom, które zeznają. I ja mogę powiedzieć, że jestem niewinny i te oskarżenia, które chłopiec podany tutaj o imieniu Carlo kieruje pod moim adresem, są całkowicie zmyślane. Z jakiego względu nie wiem. Kto za tym wszystkim stoi, kto tym kieruje, też nie wiem. Wiem jedynie jedno, że jeżeli jest to jego jakiś wewnętrzny żal za to, że do Polski nie poleciał, a wydaje mi się, że może tak być, to jest to jedna strona medalu. A jeżeli jest kierowany przez inne osoby, które chcą się zemścić za to, co w mojej działalności w wiosce im się nie podobało, to może być druga strona medalu. Nie wiem, czy ten chłopiec jest kierowany

zemstą osób trzecich. Czy jest po prostu sam na mnie zły i chce mi to powiedzieć.

W dzisiejszych czasach ciężko się bronić przed takimi zarzutami. I wolałbym się nie bronić w prasie, w mediach, bo media runie już skazały. Ja jestem człowiekiem przekreślonym moralnie w społeczeństwie, nie tylko dominikańskim, ale też polskim, w którym przyjdzie mi też prawdopodobnie żyć. Jestem człowiekiem totalnie zniszczonym przez ludzi, którzy nie mając żadnych dowodów w ręce, i to wszystko jest podawane jako fakt stwierdzony.

P.K. Molestował ksiądz te dzieciaki?

W.G. Nie. (cisza)

P.K. To wszystko na Dominikanie zaczęło się, kiedy ksiądz był w Polsce. Właściwie kilka dni przed powrotem na Dominikanę.

W.G. Dokładnie, ja miałem wynajęty samochód. Miałem wrócić na Dominikanę. W Polsce wtedy były ze mną trzy osoby. Szef grupy ratunkowej – dorosły człowiek, ustalaliśmy szczegóły kolejnych szkoleń w Polsce, bo na ten rok chciałem wziąć kolejnych ludzi do Polski. Załatwić jakichś sponsorów. Po to on tu leciał, żeby było łatwiej spotkać się z kimś odpowiedzialnym, kto mógłby zdobyć fundusze. Było też dwóch ministrantów – sekretarz parafii ze swoim siostrzeńcem ośmioletnim.

Ja o całej sprawie dowiedziałem się z ostrzeżeń, że mam nie wracać, bo na mnie jest wydany wyrok śmierci. Że mam nie wracać, bo ktoś na mnie czeka. Zacząłem się zastanawiać, o co chodzi.

P.K. Ale powiedzieli księdzu wprost, o co ksiądz jest oskarżony? Co tam się dzieje?

W.G. Dopiero jak zadzwoniłem do diakona...

P.K. Diakon twierdzi, że dzwonił ksiądz do niego, prosząc, żeby powynosił z parafii komputery i rzeczy, które mogą księdza kompromitować.

WG. Ja nie pamiętam, co ja dokładnie mogłem mówić. Fakt, że dzwoniłem do diakona, aby zapytać, czy takie doniesienie rzeczywiście było złożone. On mi wtedy powiedział, że o niczym nie wie. I to była jedyna rozmowa, jaką z diakonem pamiętam. Co dokładnie więcej, czy w nerwach, czy nie w nerwach, ja

dokładnie nie mogę określić, nie mogę powiedzieć, bo nie pamiętam.

P.K. Pamięta ksiądz, czy ksiądz go o to prosił, czy...

W.G. Ja pamiętam, że pytałem go... Pierwsze moje słowa, jak się do niego dodzwoniłem, zapytałem go, czy słyszał coś o tym, że ktoś na mnie miał złożyć doniesienie. Ja miałem wylatywać na drugi dzień. Miałem wypożyczony samochód, by dojechać na lotnisko do Warszawy z tymi ludźmi, z którymi miałem wracać. I on mi powiedział, że on o niczym nie wie, ale ja już miałem wtedy informacje, że mam nie wracać na Dominikanę, gdyż grozi mi niebezpieczeństwo.

P.K. Zdaje się, że chyba wiedział, bo uczestniczył chyba w rewizji w księdza domu?

W.G. Jeżeli uczestniczył w rewizji w moim domu, to musiał wiedzieć, na pewno musiał wiedzieć. Aczkolwiek nie uczestniczył żaden inny ksiądz.

Dziwi mnie w ogóle, że nikt na mnie nie czekał. Bo jeżeli byli świadkowie, jeżeli byli pokrzywdzeni, jeżeli rzeczywiście mieli mieć jakieś zgromadzone dowody, czy podrzucone, czy coś i... Mnie miesiąc czasu nie było w domu. Ja wyleciałem w kwietniu. Miałem wracać następnego dnia, po tym jak się dowiedziałem. Nawet przebukowałem bilet, żeby nie pokazywać się prasie, bo nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Miałem wylądować w Santo Domingo. Nie dałem rady jednak wylecieć, bo pogróżki się ponawiały. Mój adwokat też się ze mną kontaktował. Mówił, żeby nie wracać. Że jest to wszystko w bardzo złym stanie. Poza tym ktoś jest na mnie zły i ktoś chce mi zrobić krzywdę. To było dla mnie, nie wiem, jakbym spadł z dziesiątego piętra. Na główkę skoczył. To był ogromny cios, bo tego się nigdy nie spodziewałem. Nie wiem, czułem się zdruzgotany. Wiedziałem, że będę miał wielki problem. Aczkolwiek chciałem wrócić. Cały czas myślałem o tym, aby wrócić, aby stawić temu czoła. Jednak wszyscy moi przyjaciele, wszyscy, którzy mnie znali, ci, którzy na Dominikanie mieszkają, i ci, którzy z Dominikany wrócili, znają tamtejszą sytuację, po prostu mi odradzali. Stwierdziłem, że mam moralne prawo do obrony własnego życia. I nie wrócę tam. A jeżeli jest cokolwiek przeciwko mnie, to mogą mi to udowodnić, jeżeli jakiegokolwiek dowody są realne.

P.K. A ksiądz domyśla się, co może być powodem tych oskarżeń?

W.G. (cisza) I tak, i nie. Z jednej strony wydaje mi się, że pewne działanie, które grupa Jedność, Siła i Bezpieczeństwo mogła podjąć na Dominikanie. Stworzyliśmy pewien program pilotażowy oczyszczania wioski. To się spodobało niektórym władzom policyjnym na Dominikanie, ale nie musiało się spodobać wszystkim. Część ludzi była zadowolona z tego, że wprowadzamy porządek w Juncalito. Ale drugiej części stanowczo to przeszkadzało. Może chodzi o narkotyki. Może chodzi o pewne relacje, które miałem z wieloma politykami. Mój dom był regularnie odwiedzany przez polityków wysokich rangą – Marino Collante, prawą rękę prezydenta, przez drugiego co do wielkości policjanta w Dominikanie – Garcia Cuevas.

P.K. Myśli ksiądz, że ten program antynarkotykowy mógł doprowadzić do tego, że jakaś grupa, środowiska czy konkretne osoby próbowały uszyć tak wielką prowokację?

W.G. Wiadomo, kto kieruje narkotykami na Dominikanie, wiadomo, kto te narkotyki rozprowadza. Wiadomo, że nawet w najmniejszej społeczności można żyć z narkotyków. Jeżeli odcina się pewne źródło dochodów grupie groźnej, bo grożono mi wiele razy na Dominikanie. Sam byłem napadnięty przynajmniej ze sześć, siedem razy, miałem raz nóż przy szyi, dwa razy pistolet przy głowie. Byłem wyciągany z samochodu. Zmieniałem samochód, zostałem napadnięty nożem też. Samo to, że wiemy, jak reagują ludzie, którzy sprzedają narkotyki w Polsce, na świecie i są zagrożeni, do jakich rzeczy się posuwają.

Ja jeszcze raz mówię, mój dom był otwarty. Do mojego domu każdy mógł wejść. W momencie kiedy byłem w Polsce, do domu mieli dostęp wszyscy z grupy ratunkowej, mieli dostęp ludzie z grupy Jedność, Siła i Bezpieczeństwo. W domu moim przebywało wiele osób. Nawet do mojego sejfu trzy osoby, cztery osoby w wiosce znały kod. Z tego względu, że w sejfie były zgromadzone także takie rzeczy jak GPS, jak sprzęty drogie, które używaliśmy w poszukiwaniu, w ćwiczeniach, które użytkowaliśmy w akcjach ratunkowych. I do tego sejfu każdy miał dostęp, jeżeli chciał. Przez miesiąc czasu można podrzucić wszystko. Jeżeli ktoś chce coś znaleźć, to znajdzie nawet bombę atomową, czy co tylko

będzie chciał, w takim domu, który przez miesiąc jest opuszczony.

P.K. Ale mówiliśmy o tym, że to jest bardzo biedny kraj, większość ludzi jest biednych. Czy te dzieciaki, czy młodzież w Juncalito stać było na to, aby kupować narkotyki?

W.G. Mnie obowiązuje tajemnica spowiedzi. Ja wszystkiego mówić nie mogę. Nawet gdybym miał za to iść do więzienia, gdyby to mi pomogło, tego nie powiem. Ale to, co wszyscy wiedzieli w Juncalito i co nie wynika z tajemnicy spowiedzi, to jest sprawa tego typu, że dzieci wielokrotnie nie tylko w Juncalito, ale w innych miejscach, były używane do tego, żeby te narkotyki rozprowadzać. O tym mówili wszyscy, o tym wszyscy wiedzieli. Każdy w Juncalito wiedział, kto sprzedaje, i każdy wiedział, kto mu może przynieść. I w pewnym momencie ucieliśmy te drogi, ucieliśmy te powiązania. I to się mogło komuś nie spodobać.

P.K. Dlaczego, w takim razie księdza zdaniem prokuratura nie poczekała, aż ksiądz wróci? Nie zatrzymała księdza na lotnisku, nie zawiozła do domu, nie przeprowadziła rewizji w domu przy księdza udziale? W rezultacie nie zatrzymała księdza, nie aresztowała tymczasowo i nie przedstawiła zarzutów.

W.G. To jest dobre pytanie i chyba nawet do samej prokuratury z Santiago. Wydaje mi się, że gdyby to było w Polsce, toby się tak właśnie stało. Skoro ktoś ma, rzekomo, zgromadzony materiał dowodowy, jeżeli ma pokrzywdzonych, jeżeli ma świadków, jeżeli wie, gdzie to wszystko można znaleźć, i wie, że osoba wraca za dwa dni, za trzy dni, za tydzień, to czemu... (uśmiech) Sam się zastanawiam, czemu nie czekali?

P.K. Może bali się, że diakon na przykład wyniesie jakieś kompromitujące księdza rzeczy?

W.G. Nie wiem, czego się bali. Być może bali się tego, że wrócę. A może komuś zależało na tym, żebyśmy nie wrócili...

P.K. Wśród tych dowodów, tych rzeczy zabezpieczonych, są „dwie pary damskich stringów, dziwne spodnie legginsy w kolorze srebrnym i – jak twierdzi prokuratura – osiemdziesiąt siedem tysięcy zdjęć z pornografią dziecięcą...”^[3]. Ksiądz pewnie widział to, w gazetach było...

W.G. Ja to widziałem tylko i wyłącznie w gazetach. Widziałem to w Internecie. Nie widziałem tego jako dowód w sprawie, z tego względu, że mój adwokat, który się zgłosił do prokuratury na Dominikanie, nie został mu pokazany żaden materiał dowodowy. Więc nie wiem, skąd prasa ma te materiały dowodowe, bo mój adwokat tych materiałów nie widział. Kiedy zapytał, powiedziano, że nie mogą mu tego udostępnić.

RK. A ksiądz jak widział w Internecie, to rozpoznawał to jako swoje rzeczy?

W.G. Nie, absolutnie...

P.K. Mówię oczywiście o bieleźnie, bo zdjęć nikt nie opublikował.

W.G. Absolutnie... Absolutnie... Absolutnie nie.

P.K. Oprócz tego co wymieniałem, znaleziono w sejfie dwa pistolety. Pojawiają się różne wersje: jeden lub dwa pistolety. Skąd ksiądz miał pistolety i po co księdzu były?

W.G. Te pistolety, jeżeli to są te, które w sejfie miały być... jeden z nich to jest zwykła wiatrówka na wkłady CO₂, z której sobie strzelałem do celu. A drugi pistolet dostałem razem z legitymacją majora policji. Bo byłem kapelanem policji w Juncalito i wójt po prostu poprosił... dał mi ten pistolet i ten pistolet miałem.

P.K. Nie wierzy ksiądz w sprawiedliwość na Dominikanie? Że dowiódłby tego, że to jest nieprawda?

W.G. Jestem głęboko przekonany, że na Dominikanie nie miałbym żadnej możliwości oczyszczenia się z tych zarzutów. Dlatego że gdyby było inaczej, ci ludzie poczekaliby, aż wrócę, i te dowody przedstawili mi w twarz. Które rzekomo mieli u mnie znaleźć. A oni po prostu nie czekali na to. Oni czekali, że ja nie wrócę. Oni nie chcieli, żebym ja wracał. Komuś przeszkadzałem... od samego początku.

P.K. Jeden z chłopców zeznał też, prawdopodobnie, że był też molestowany przez księdza podczas pobytu w Polsce. Rozumiem, że też tutaj, gdzie my dzisiaj jesteśmy. To jest ten sam chłopiec, o którym mówiliśmy wcześniej? To jest też Carlo?

W.G. Nie wiem, bo nikogo nie molestowałem w Polsce. Nie wiem, który chłopiec to mówi. Nie mam dostępu do dowodów w sprawie, do przesłuchań. W związku z tym nie wiem, który to

chłopiec mówi. A też nie przypominam sobie takiej sytuacji w Polsce.

P.K. On twierdzi, że spaliście w kamperze przed domem, nie w domu...

W.G. Zostawmy to polskiej prokuraturze, bo jeżeli dojdzie do tego procesu w Polsce, to wtedy będę mógł się na ten temat wypowiedzieć. I świadkowie tych wydarzeń, bo te dzieci spały nie tylko u mnie w domu, ale też w innych miejscach. W Polsce tylko dwa razy były dzieci poniżej osiemnastego roku życia. Za pierwszym i za ostatnim razem. Tylko i wyłącznie.

RK. Miał ksiądz problemy podczas powrotów z Dominikany do Polski już nie raz?

W.G. Moje problemy zaczęły się na Dominikanie dokładnie w 2010 roku. Już zacząłem otrzymywać pierwsze pogróżki: nie jeździj sam, bo wypadki krążą po ludziach. Że rządzić możesz sobie we własnym kraju, a nie tu. Kolejne już takie mocniejsze ostrzeżenia były przy przekraczaniu granicy, rok temu w maju. Na lotnisku we Frankfurcie zostały znalezione w moim bagażu podręcznym, z którym leciałem z Dominikany, pięć nabojów ostrych do pistoletu do broni ręcznej. Zostałem za to ukarany mandatem w wysokości stu euro. Doprowadzony przez brygadę antyterrorystyczną do tak zwanego pokoju zwierzeń.

RK. Po co księdzu były te naboje?

W.G. (parsknięcie) Ja ich nie miałem ze sobą. Ja ich nie brałem. Nie wiem, skąd się wzięły. Trzeba się zastanowić, jak one w ogóle z Dominikany wyleciały. Komuś zależało już wtedy, żebym na Dominikanę nie wracał. A drugi wyjazd, to był kolejny z rzędu, we wrześniu 2012 roku. Wylatywałem z Puerto Plata i w moim bagażu podręcznym znaleziono nie pięć, tylko pięćdziesiąt naboji do pistoletu. Musiałbym być samobójcą albo totalnym idiotą, żeby coś takiego ze sobą brać na pokład samolotu.

RK. Ksiądz żyje pod tą presją. Od kilku tygodni w Polsce właściwie nie mówi się o niczym innym. Tylko o księdzu i arcybiskupie Wesołowskim...

W.G. W Polsce od kilku tygodni mówi się, że ja się ukrywam. Wcale się nie ukrywałem. Od samego początku byłem do dyspozycji policji. Nie zgłosiłem się na prokuraturę, bo nie

nakazano mi się zgłosić. W momencie kiedy pojawił się list gończy na stronie Interpolu, kiedy policja pierwszy raz zwróciła się do mnie, tutaj, po wizycie w domu, o kontakt, mój adwokat skontaktował się z policją. Ja też miałem kontakt. Została sporządzona notatka z tego.

Ja się nie ukrywam. Ukrywałem się przed prasą, bo się nie dało żyć.

P.K. A co dziś ksiądz powiedziała by tej czwórce dzieci?

W.G. Cały problem w tym, że ja dzieci za nic nie winię. Bo to są, tak jak ludzie na Dominikanie, ofiary systemu. Chorego systemu, w którym najważniejsza jest partia, do której się przynależy. W której najważniejszy jest honor. Jeżeli czują się skrzywdzone w jakikolwiek sposób przez moją osobę, żeby mi wybaczyły. A ja za nie się modlę i zawsze się będę modlił.

Miło wspominaam każdą chwilę z Juncalito. Bardzo się cieszę, że tam mogłem być, że mogłem z nimi pracować. I wydaje mi się, że ze złym człowiekiem nikt nie chciałby przebywać cały dzień w jego domu. Nikt nie chciałby lecieć z nim do Polski.

Wydaje mi się, że jeżeli byłem zły, to za mną sto osiemdziesiąt osób by nie chodziło wte i wewte. I (paauza) nie wiem, co mogę więcej powiedzieć. Jeżeli przepraszam, to przepraszam za moją naiwność, mój brak odpowiedzialności w tym, że za bardzo tym ludziom zaufałem. Nie skrzywdziłem tych dzieci. A jeżeli je skrzywdziłem, to tylko i wyłącznie w takim wymiarze, że być może za bardzo zaufałem... wszystkim tym ludziom na Dominikanie.

P.K. Jak wygląda dziś księdza życie?

W.G. Jak w więzieniu. Nie mogę wyjść na ulicę. Nie mogę swobodnie się poruszać, nawet będąc, póki co, w Polsce człowiekiem wolnym.

Dlatego że wszędzie jest pokazana moja twarz. Moi rodzice są zdruzgotani. Moje życie prywatne też legło w gruzach.

P.K. Wychodzi ksiądz z domu?

W.G. Teraz nie. Teraz się boję wyjść z pokoju. Teraz się boję wyjść gdziekolwiek, z tego względu, że jak widzę w gazecie nagłówki: „Dorwać go!” i komentarze w Internecie: „żywego lub

martwego”, pan redaktor wyszedłby w takiej sytuacji? Pokazał się światu?

P.K. Nie boi się ksiądz, że któregoś dnia zapukają policjanci z nakazem, przyjdą i zabiorą księdza?

W.G. Pewnie, że się boję. Wszystkiego w życiu trzeba się bać. Tylko głupi się nie boi, prawda? Ja cały czas żyję tym. Nie mogę spać. Nie mogę jeść, mimo że gruby jestem. Cały czas żyję tą informacją, że któregoś dnia zapuka policja i zawsze się denerwuję, jak przychodzą, bo nie wiem, co będzie dalej. Tym bardziej za coś, czego nie zrobiłem, prawda? Boję się tego momentu, ale jestem też ufny w to, że prawda wyjdzie na jaw. Jestem przekonany, że się skończy dobrze. Nie może się skończyć inaczej, jeżeli wiem, że jestem niewinny w tej sprawie. Dla mnie jest najważniejsze to, co wie o mnie Bóg, bo on zna prawdę. A jeżeli komuś bardzo na tym zależy, żeby zniszczyć moje życie, to i tak znajdzie na to sposób. Moje życie się nie kończy tu. Moje życie się kończy gdzie indziej.

CZĘŚĆ TRZECIA

POTRÓJNE ZAPRZECZENIE I PRAWDZIWE KŁAMSTWA

Wojtek był zadowolony z tej rozmowy. Wydaje mi się, że dostał dużo telefonów zapewniających, że wypadł bardzo wiarygodnie. Sam zresztą miałem takie odczucie, że ludzie – podobnie jak ja, kiedy słuchałem jego wersji zdarzeń – uwierzyli mu. Bo mówił sugestywnie i wiarygodnie. Jego wersja była równie prawdopodobna jak wersja oskarżenia. Miałem wrażenie, że po tej rozmowie szala przechyliła się zdecydowanie na jego stronę.

Ile razy ktoś mnie pytał, czy mu wierzę, za każdym razem odpowiadałem, że to nieważne, czy ja wierzę, czy nie. Mówiłem, że moją rolą było bycie pośrednikiem między oskarżanym księdzem a widzami. Każdy sam mógł sobie wyrobić zdanie.

Tak też było. W Internecie pojawiło się wiele komentarzy zarówno tych, którzy mu wierzyli, jak i tych, którzy nie wierzyli. Po kilku dniach na YouTube pojawiła się analiza behawioralna zachowania księdza Wojciecha G. podczas wywiadu w TVP Info. Jej autor – Piotr Marszałkowski, specjalista komunikacji niewerbalnej – zwrócił uwagę na nienaturalne zachowania księdza G.

Dostrzegł brak spójności między słowami a zachowaniem księdza. Według niego najważniejsze pytanie pada w czwartej minucie wywiadu:

– Molestował ksiądz te dzieciaki?

– Nie. (cisza)

Marszałkowski tłumaczy, że dla niewprawionego oka to pytanie i odpowiedź nie zawierają nic szczególnego. I pokazuje kilka przykładów zachowań osób, które mijają się z prawdą, znane w USA pod nazwą „radość z oszukiwania”.

– Jest to szczególna emocja, której nie odczuwają osoby niewinne. Osoby niewinne w większości wypadków na fałszywe oskarżenia reagują gniewem i strachem. „Radość z oszukiwania” wynika z wewnętrznej dumy. Pojawia się w sytuacji, gdy osoba koloryzująca rzeczywistość zauważa, że słuchający

sfabrykowanej opowieści daje wiarę jej słowom. Wtedy na twarzy oszukującego pojawia się mikroekspresja radości lub pogardy – tłumaczy Marszałkowski i prezentuje kilka przykładów z amerykańskich mediów.

– Dodatkowo utwierdza mnie w moich przekonaniach permanentny kontakt wzrokowy z rozmówcą, bo taki kontakt pojawia się bardzo często w przypadku wyuczonych kłamstw – mówi Marszałkowski. – A ma on dwa cele. Po pierwsze w naszej kulturze uznaje się osoby utrzymujące kontakt wzrokowy za bardziej autentyczne, dlatego często jest wykorzystywany przez osoby, które chcą, by ich słowa wypadały wiarygodnie. Drugim celem bywa obserwacja osoby, której opowiada się nie do końca autentyczną opowieść, w celu weryfikacji jego reakcji, by mieć absolutną pewność, czy nasza historia została uznana za wiarygodną. Ksiądz posiada pewną reakcję obronną w przypadku stresu, jaką jest maska uśmiechu. A więc uśmiechają się same usta, bez aktywacji mięśni oczu. Jednak w tym przypadku, w tym pytaniu i odpowiedzi emocja jest całkowicie autentyczna.

Specjalista radzi, by zwrócić uwagę na zmarszczki w okolicach powiek. Zastanawia się, co powodują tę reakcję.

Drugi ważny moment, na który należy zwrócić uwagę, to ten kiedy czytam księdzu listę przedmiotów zarekwizowanych podczas rewizji.

– Pod koniec wyliczanki na ułamek sekundy pojawia się na ekranie twarz pana Wojciecha i, co ciekawe, pojawia się tam delikatny pionowy ruch głowy, tak zwane potakiwanie. Jestem ciekawy, czy jest to potakiwanie wynikające z nawiązania relacji z dziennikarzem przed wywiadem, czy jest to nieświadome potwierdzenie. Kolejny element, na który chciałem zwrócić uwagę, to wymiana zdań pod koniec czternastej minuty rozmowy. Pojawia się tam interesująca konstrukcja zdaniowa, która zakończona jest pewną charakterystyczną ekspresją mimiczną. Pojawia się tam potrójne zaprzeczenie, które jest absolutnie nienaturalne. Jest to taka siłowa forma obrony, próba przekonania, że nie miało się z tym nic wspólnego.

Chodzi o ten fragment:

- Molestował ksiądz te dzieciaki?
- Nie. (cisza)
- (...)
- A ksiądz jak widział w Internecie, to rozpoznawał to jako swoje rzeczy?
- Nie, absolutnie...
- Mówię oczywiście o bieliźnie, ho zdjęć nikt nie publikował?
- Absolutnie... Absolutnie... Absolutnie nie.

Żeby udowodnić swoją tezę, Marszałkowski przywołuje fragment wywiadu z byłym prezydentem USA Bille Clintonem, który zaprzeczał romansowi z Moniką Lewinsky. Piotr Marszałkowski pokazuje fragment tej rozmowy.

Specjalista zauważa, że właśnie po tym przywołanym fragmencie wywiadu z księdzem G. duchowny na koniec przygryza wargę. Świadczy to o tym, że powiedział coś, o czym nie powinien mówić, że coś mu się wymknęło.

– Po wielokrotnym obejrzeniu tego wywiadu muszę powiedzieć, że ksiądz Wojciech G. jest niesamowicie opanowany w obliczu tak twardych zarzutów. Na koniec chcę podkreślić, że elementy zachowania, o których mówiłem, wskazują tylko i wyłącznie na niespójność między słowami a mową ciała. Nie można ich uznawać za permanentne i niepodważalne wskazówki, które świadczą o kłamstwie. Są to wskazówki, które powinny nas zmusić do dalszych dociekań, dalszych analiz danych fragmentów wypowiedzi – kończy swą analizę Piotr Marszałkowski.

ORTEGA UJAWNIA PEDOFILSKIE ZDJĘCIA

SOBOTA. 5.10.2013.

Do Polski przylatuje Alicia Ortega, dziennikarka śledcza, która ujawniła pedofilię ojca G. na Dominikanie. Przywozi ze sobą niektóre zdjęcia rzekomo zabezpieczone w komputerze

duchownego. W mediach pojawia się informacja, że po południu Ortega będzie zeznawała w warszawskiej prokuraturze. W charakterze świadka.

Najpierw dziennikarka odwiedza Kraków i Modlnicę, gdzie próbuje porozmawiać z Wojtkiem. Jednak duchowny nie zgadza się na spotkanie.

Ortega zeznała w prokuraturze, że rozmawiała z pokrzywdzonymi dziećmi i ich rodzinami. Zapewniła, że rodziny nie chcą od księdza żadnych pieniędzy. Chcą wyjaśnić całą sprawę. Zapewniła prokuratorów, że wierzy w relację dzieci. Na dodatek widziała zdjęcia z pornografią dziecięcą. I mimo że nie ma na nich fotografii G. wykonującego czynności seksualne, to niektóre zdjęcia z pewnością zostały zrobione na jego plebanii.

Udaje mi się zdobyć te fotografie. Są obrzydliwe. Oprócz zdjęć są też filmy z pornografią dziecięcą. Występują w nich dziewczynki i chłopcy. Na niektórych widać, że mężczyzną, który uprawia seks z nieletnimi, z pewnością nie jest Wojciech G. Rozpoznaję to po sylwetce mężczyzny, jego budowie. Jestem pewny, że część filmów wykonano w pokojach hotelowych. Plebania G. tak nie wygląda.

ZDJĘCIE Z SYPIALNI?

Niestety, w czasie wizyty na plebanii nie byłem w sypialni Wojtka i internacie dla chłopców. Jednak jedno zdjęcie zwraca moją szczególną uwagę. To fotografia, na której kilkuletni chłopiec uprawia seks oralny z mężczyzną, którego twarzy nie widać. Widać za to bardzo dużą część pokoju. Jest on do złudzenia podobny do pokojów gościnnych, w których Wojtek chciał ulokować mnie i Roberta.

Dzwonię do Wojtka. Mówię, że widziałem zdjęcia Alicii. Zdradzam, że pomieszczenie na jednym ze zdjęć jest do złudzenia podobne do pokoju na plebanii. Proponuję mu, że wyślę tę fotografię mailem, a on mi powie, czy to ten pokój.

– Nie wysyłaj mi nic mailem. Nie chcę mieć takich zdjęć. Potem prokuratura powie, że oglądałem jakąś pornografię dziecięcą – mówi kategorycznie.

Wpada mi do głowy inny pomysł. Wydawca przed chwilą prosił, żebym wszedł do studia i skomentował to, co mówi dominikańska dziennikarka. Mogę przecież w trakcie rozmowy pokazać to zdjęcie, a Wojtek może wysłać mi esemesa, czy to jego pokój. Chwilę to trwa, bo trzeba pozakrywać na zdjęciu fragmenty pornograficzne. Wojtek przystaje na propozycję.

Wchodzę do studia, po kilku minutach rozmowy prezentuję fotografię, która wzbudziła moje wątpliwości. Łóżko, ściana, na niej korkowa tablica. Pod nią stolik z komputerem.

Rozmawiam na antenie i co chwila spoglądam na swoją komórkę, którą trzymam między nogami. Nie ma nic. Żadnej wiadomości. Wydawca co chwila krzyczy mi do ucha: „Odpisał ci?”. Co kilka zdań powtarzam na antenie, że czekamy na odpowiedź księdza. W końcu przychodzi: „To nie jest mój pokój”.

Wszystko wskazuje na to, że utknąłem w martwym punkcie. Jeszcze tego samego dnia Alicia Ortega udziela nam wywiadu, za który chce tylko jednej rzeczy: wywiadu z ojcem G. i zgody na wykorzystanie go w swojej telewizji. Dostaje, co chce.

Zeznania Alicii Ortegi w prokuraturze nie okazały się przełomowe. Zrelacjonowała swoje rozmowy z molestowanymi dziećmi i ich rodzicami. Zapewniła, że im wierzy, ale materiału dowodowego nie posiada. Nie pokazała fotografii, które udało się jej zdobyć. Pewnie ktoś ją uprzedził, że w Polsce za posiadanie pornografii dziecięcej grozi wysoka kara.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie zwróciła się do swoich kolegów z Dominikany o pomoc prawną. Chodzi o przesłanie do Polski zeznań ofiar oraz dysków zabezpieczonych na plebanii księdza Wojciecha.

Skoro dziennikarka z Dominikany przyjechała do Polski, to czemu nie pojechać do nich i nie spróbować ustalić czegoś więcej? W końcu poznałem tam kilkanaście osób z Juncalito. Znam najbliższych współpracowników Wojtka. To mała wioska. Na pewno wszyscy o wszystkim wiedzą.

Siadam przed komputerem i zaczynam pisać maila do dyrektora Sandaka.

Opisuję pomysł, staram się przekonująco argumentować. Zdaję sobie sprawę, że wyjazd sporo kosztuje.

PONIEDZIAŁEK, 7.10.2013, GODZINA 14.

Mam dzień wolny, więc śpię trochę dłużej. Jak co dzień „rano” odpalam służbowego maila. Nie spodziewam się odpowiedzi. Szczerze mówiąc, zapomniałem, że wysłałem maila z pomysłem. Przeglądam pocztę i czytam: „Jedź”.

Tylko jedno i aż jedno słowo.

**CZĘŚĆ
CZWARTA**

MOJE ŚLEDZTWO W JUNCAUTO

PONIEDZIAŁEK, 14.10.2013, GODZINA 15, LOTNISKO PUERTO PLATA.

Po siedemnastu godzinach lotu wraz z operatorem Krzysztofem Kołosionkiem jesteśmy u celu. No, prawie. Zatrzymujemy się w Cabarete. Choć to nie po drodze, ale właśnie tu wynajęliśmy tłumacza, który będzie z nami przez tydzień. Jest Polakiem. Ma około trzydziestki. Na Dominikanie mieszka od kilku lat. Znają go tu wszyscy. Pracuje w meksykańskim barze. W wolnym czasie uczy charytatywnie wuefu w pobliskiej szkole dla biednych dzieci. Najczęściej gra z dziewczętami w piłkę nożną. Mówi po hiszpańsku, a to urzędowy język na Dominikanie. Ponieważ ma na imię Krzysztof, jest teraz w ekipie dwóch Krzyśków. Tłumacz zostaje więc Krisem.

Nie mam planu. Z nikim się wcześniej nie umówiłem. Wyjazd stał pod znakiem zapytania, bo okazało się, że mój paszport jest nieważny. Na szczęście urzędniczki wyrobiły mi tymczasowy dokument w jeden dzień. Najważniejsze, co powiedzą nam ludzie z Juncalito.

Wyjeżdżamy tam następnego dnia o szóstej rano. Choć do wioski mamy 120 kilometrów, to podróż wlece się prawie sześć godzin. Już z daleka dostrzegam wieżę kościoła w Juncalito, ale nie są już już białe. Kościół został odnowiony. Teraz jest pomarańczowy.

Zatrzymujemy się u podnóża wioski, tuż obok remontowanego ambulatorium. Koło – tak nazywam operatora – przygotowuje sprzęt, ja się przebieram. Nagle dostrzegam pięciu starszych mężczyzn. Idą w kierunku centrum Juncalito.

– Kris, spytaj ich, czy znają rodziców wykorzystywanych dzieci. Może wskażą nam adres – proszę.

OJCIEC CARLA

Jeden z mężczyzn wskazuje nam mijającego nas kolegę. Niskiego siwego mężczyznę po pięćdziesiątce – jego zniszczone ręce zdradzają, że od lat pracuje fizycznie. Pomarszczona słońcem twarz nie wygląda przyjacielsko, właściwie jest on zaprzeczeniem Dominikańczyka.

– To od jego syna wszystko się zaczęło.

Próbuję go gonić.

– *Hola, hola!* – wołam. To po hiszpańsku „dzień dobry”. – Jesteśmy z polskiej telewizji, chcieliśmy porozmawiać o tym, co się stało. O tym, co robił tu padre Alberto – zagajam.

Ale mężczyzna ani myśli się zatrzymywać.

– Nie będę z wami rozmawiał, bo przyjechaliście go bronić. Nie wierzycie, że krzywdził nasze dzieci – wypalił.

– Wprost przeciwnie. Przyjechaliśmy tutaj, żeby pokazać, jak było naprawdę – próbuję się tłumaczyć, ale mężczyzna nawet nie przystaje.

Wracając do auta, słyszę, że dzwoni moja komórka. Podbiegam, patrzę na wyświetlacz i nie wierzę własnym oczom.

– Cześć! Dojechałeś już do Juncalito? – pyta Wojtek.

– Właśnie dojeżdżamy. Jesteśmy przy ambulatorium. Spotkaliśmy ojca Carla, ale nie chciał z nami rozmawiać – odpowiadam.

– Mówiłem ci, żebyś tam nie jechał. Oni ci nic nie powiedzą. A jeśli już. to coś złego o mnie. Tam wszyscy są teraz w zмовie. Nikt nie może mnie bronić, bo jeśli broni, to znaczy, że jest zły – zapewnia Wojtek.

Jedziemy pod górę, mijamy kościół i parkujemy przy plebanii. Zatrzymuję auto w tym samym miejscu co w styczniu. Idziemy pod kościół, rozstawiamy kamerę, zaczynamy się rozglądać. Mija kilkanaście minut, nim informacja o naszym przyjeździe rozchodzi się po mieście. Za chwilę rozmawiam już z młodym chłopakiem, który zna Wojtkę. Ba, nie tylko go zna, ale był sekretarzem parafii – Ambioris Espinal, szczupły chłopak z kilkudniowym zarostem na twarzy i delikatnie przyciętą bródką.

Okazuje się, że w kwietniu i maju 2013 roku był z Wojtkiem w Polsce. Wtedy, kiedy ktoś z Dominikany ostrzegł księdza o

oskarżeniach w sprawie molestowania.

Ambioris jest nieufny. Widzę, że krępuje go rozmowa na ulicy. Co chwila obraca się i spogląda, czy ludzie widzą, że z nami rozmawia. Jestem przekonany, że nie zgodzi się na nagranie przed kamerą.

Na wszelki wypadek, wyjeżdżając z Polski, odwiedziłem Wiedźmę. W środowisku telewizyjnym wszyscy go znają. Z jego usług korzystają wszystkie polskie telewizje. Jest mistrzem, jeśli chodzi o ukryte kamery. Potrafi wmontować je wszędzie. W branży pracuje, odkąd pamiętam, czyli co najmniej piętnaście lat. Kiedy tylko musiałem nagrać coś po kryjomu, zawsze się z nim kontaktowałem. Miał kamery w guzikach, w koszulach, okularach, zapalniczkach, zegarkach, telefonach, marynarkach, czapkach, parasolkach i długopisach. W paczkach papierosów. Jednym słowem – we wszystkim. Jeśli była taka potrzeba, montował je w pomieszczeniach, samochodach, na ulicy, a nawet w komunikacji miejskiej. Najważniejsza dla niego była informacja, w jakich warunkach będziesz nagrywał. Na Dominikanę zalecił mi kamerę w tak zwanej nerce. Bardzo dobrze zbiera dźwięk i ma dość dobry obiektyw. Na wszelki wypadek dorzucił jeszcze długopis z kamerą (na wizytę w prokuraturze) i okulary z kamerą. Te ostatnie były najsłabsze, bo niezbyt dobrze rejestrowały dźwięk. Na wszelki wypadek na rozmowę z Ambiorisem założyłem „nerkę”.

KTOŚ GO OSTRZEĞŁ

– To było dwudziestego siódmego maja. Dzień przed powrotem na Dominikanę. Wojtek odebrał telefon. Potem był strasznie zdenerwowany. Wydzwaniał do różnych ludzi, ale nie wiem, o czym rozmawiał, bo mówił cały czas po polsku. Ale wiadomo było, że coś się stało – opowiada Ambioris.

– Ale powiedział wam, o co chodzi?

– Nie. Nie mówił, tylko załatwiał jakieś sprawy przez telefon – mówi Ambioris.

W parafii pracuje od kilku lat. Został jej sekretarzem. Podlegali mu wszyscy ministranci. Na plebanii miał swoje minibiuro. Teraz sobie przypominam, że gdy byłem w styczniu, to właśnie on przechadzał się po kościele, a gdy było trzeba, bił w dzwony. Nawet wykorzystaliśmy ten fragment w reportażu.

– Dwudziestego ósmego maja Wojtek odwiózł nas na lotnisko w Warszawie. Mój paszport, bo byłem nieletni, i mojego siostrzeńca przekazał w ręce Braulia, szefa grupy ratunkowej. Powiedział, że źle się czuje i zostanie w Polsce. Że wróci na Dominikanę szóstego czerwca. A gdyby ktoś pytał, dlaczego nie wrócił, mamy powiedzieć, że źle się czuł – wspomina Ambioris.

– Znasz może Carla? – pytam.

Ambioris wskazuje nam mieszkanie Carla. Drewniany domek, dosłownie kilka metrów od kościoła, dach pokryty blachą. W domu ciemno, obok wejścia stoi czarny bujany fotel. Matka Carla jest gospodynią, ojciec stolarzem, a właściwie złotą rączką. Wszystko potrafi zrobić. Pomagał w kościele. Jak coś się popsło, to nie trzeba go było namawiać. Brał narzędzia i naprawiał. Można powiedzieć, że z Wojtkiem był zaprzyjaźniony. Chętnie posyłał do niego Carla, nawet ponaglał, gdy widział, że się ociąga. Matka – atrakcyjna kobieta około czterdziestki. Miła i sympatyczna. Na nasz widok uśmiecha się, staje przed domem nieco zawstydzona. Carlo ma także rodzeństwo.

– Carlo czuje się już lepiej. W wiosce wszyscy wiedzą, że to od niego się zaczęło. On nie ma z tym problemu. Teraz już normalnie o tym mówi – zapewnia Ambioris.

Mówię, że próbowaliśmy porozmawiać z jego ojcem, ale nie chciał.

– Może spróbowałbyś go przekonać, że nie przyjechalibyśmy bronić księdza, tylko poznać prawdę – proszę delikatnie.

Ambioris znika w drzwiach domu Carla. My zostajemy w altance przed kościołem.

– Ojciec Carla powiedział, że musi się zastanowić. Może później do was wyjdzie. Ale na rozmowę z Carlem raczej nie macie szans – relacjonuje po powrocie Ambioris.

Nie pozostaje nam nic innego, jak cierpliwe czekać.

Na początku, zaraz po wybuchu tej afery, wioska była podzielona. Większość mieszkańców nie wierzyła, że padre

Alberto molestował dzieci. Ludzie protestowali przed kościołem i na ulicach.

– Musisz zrozumieć, że niektórzy traktowali go jak Boga. Nikt przed nim nie zrobił tyle dla tej wioski – tłumaczy Ambioris.

CARLO ZWIERZYŁ SIĘ PRZYJACIÓŁCE

Mieszkańcy Juncalito zablokowali kościół i powiedzieli, że nie wpuszczą tu żadnego innego księdza. Niewiele brakowało, a dochodziłoby do rękoczynów. Wtedy też prokuratura zorganizowała kilka otwartych spotkań. Najpierw odbyło się ono w grupie Jedność, Siła i Bezpieczeństwo, której współzałożycielem był padre Alberto. Zajmowała się ona sprawami lokalnej społeczności: budową drogi, problemem narkotyków, bezpieczeństwem. Byli w niej samorządowcy, burmistrz, chłopaki ze szwadronu ratunkowego. Piętnaście–dwadzieścia osób. Mieszkańcy zaczęli słuchać prokuratorów. Powoli atmosfera się uspokajała.

Ale wróćmy do 22 maja 2013 roku. Na spotkanie grupy Jedność, Siła i Bezpieczeństwo jeden z jej członków przyprowadził swoją żonę. Nauczycielkę. I ona opowiedziała o tym, co tydzień wcześniej miał jej zdradzić Carlo. Przez kilka dni zastanawiała się, co zrobić z tym problemem. W końcu zwierzyła się mężowi. I tak trafiła na spotkanie grupy Jedność, Siła i Bezpieczeństwo.

– Wtedy wspólnie podjęliśmy decyzję, że nie ma na co czekać. Postanowiliśmy zgłosić sprawę prokuraturze – wspomina jeden z członków grupy.

Zorganizowali kolejne spotkanie i ułożyli plan działania. Po kilku dniach wsadzili Carla do samochodu i pojechali do prokuratury w Santiago. Tam złożyli zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa.

– Prokuratorzy prosili wszystkich o dyskrecję. Wiedzieli, że padre Alberto ma niebawem wrócić na Dominikanę. Wiedzieli

też, że ma tu wielu przyjaciół. Chyba bali się przecieku – mówią nam jeden z mieszkańców Juncalito.

REWIZJA NA PLEBANII

Jednak informacja musiała się błyskawicznie rozejść po wiosce, skoro ktoś uprzedził duchownego. Kiedy samolot, którym miał wrócić padre Alberto, leciał nad Oceanem Atlantyckim, prokuratorzy zdecydowali się na przeszukanie plebanii padre Alberta. W asyście policji, diakona Sergia Rodrigueza, Carmen i Denny'ego Rodrigueza, członka grupy ratowniczej, weszli na plebanie.

Spędzili tam parę godzin. Zabezpieczyli kilka par stringów niewielkich rozmiarów, komputery, damską bieliznę.

– Pani prokurator powiedziała nam na koniec, że od tej pory nikt nie może wchodzić na plebanie – opowiada mi Denny Rodriguez.

Kiedy samolot ląduje na lotnisku w Puerto Plata, na padre Alberta czeka już policja i prokurator. Niestety, okazuje się, że zakonnik nie wrócił na wyspę. Policjanci od razu rozmawiają z Braulim, Ambiorisem i jego ośmioletnim siostrzeńcem Dalvinem. Wszystkich ich wiozą do prokuratury w Santiago. Tam przesłuchują i wręczają kolejne wezwanie, na następny dzień.

– Dopiero jak dojechałem do Juncalito, dowiedziałem się, co się stało – mówi Ambioris.

Przerywamy rozmowę, bo w naszym kierunku idzie ojciec Carla.

– Nie wiem, co mogę wam powiedzieć. My mu tu wszyscy ufaliśmy. A potem okazało się, że on takie rzeczy robił. A teraz uciekł stąd i nie możemy nawet z nim porozmawiać. Zostawił nas samym sobie – krzyczy, mocno gestykułując.

– Jest pan pewien, że on to wszystko zrobił? – pytam, choć wiem, że to może być moje ostatnie pytanie.

– Oglądałem te zdjęcia w prokuraturze. Widziałem tylko część i nie chciałem więcej oglądać. To było obrzydliwe. Nie chciałem patrzeć na to, jak mój syn był molestowany. – Mężczyzna

denerwuje się coraz bardziej. – A on sobie teraz w Polsce siedzi. Nie ponosi za to wszystko żadnej odpowiedzialności. Nasze życie się zawaliło. Wszyscy wszystko tutaj wiedzą. Jak my mamy żyć?

Zostawia nas i wraca do domu, cały czas mówiąc do siebie i machając rękami. Nawet nie zdążyłem zapytać go, jak czuje się Carlo i czy możemy z nim porozmawiać.

MISJA PSYCHOLOGÓW

Nieoczekiwanie do wioski przyjeżdża samochód z Santiago. Wsiadają z niego kobieta i mężczyzna. Ambioris, który cały czas kręci się w naszym towarzystwie, informuje nas, że są z prokuratury. Wpadają tu co jakiś czas i sprawdzają, jak się czuje Carlo i jak radzą sobie z problemami pozostali mieszkańcy wioski. Oboje są psychologami. Zostali tu wydelegowani po wybuchu afery. Otoczyli opieką rodziny molestowanych dzieci i same ofiary. Na początku zamieszkali w Juncalito. Brali udział w spotkaniach. Rozładowywali napięcie między mieszkańcami.

– Widziałam twoją rozmowę z Wojciechem G. – mówi na powitanie Mildred Dolores Mata, krępa, szpakowata pani psycholog.

Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to dobrze. Ojciec Carla nie był z niej zadowolony.

Mildred miała dostęp do wszystkich dokumentów prokuratury. Widziała tysiące filmów i zdjęć zabezpieczonych w komputerach duchownego. Musiała obejrzeć te obrzydliwe pedofilskie zdjęcia, bo została wydelegowana do odszukania dzieci z fotografii. Wydaje się, że skoro są zdjęcia, to łatwo rozpoznać dzieci, ale niestety, to nie było proste. Część ludności Juncalito mieszka w górach. Niektórzy mają do wioski nawet kilkanaście kilometrów. Mieszkańcy centrum nie widzieli części z nich nigdy w życiu.

To Mildred jeździła po górach i szukała ofiar pedofila. Kiedy się z nią widziałem, spotkała się zaledwie z sześciorgiem dzieci z fotografii, które zabezpieczono na plebanii. Szukała dalej.

Mildred zgadza się na rozmowę przed kamerą, ale od razu zastrzega, że nie może nam wszystkiego powiedzieć. Śledztwo trwa, sprawa jest rozwojowa. Opowiada głównie o pracy, jaką musiała włożyć, żeby ludzie zaczęli normalnie rozmawiać o tym, co się wydarzyło.

– Zorganizowaliśmy pogadanki o życiu seksualnym. Dla dorosłych. I oddzielne spotkania dla dzieci – opowiada Mildred.

Udaje mi się ją nakłonić, by powiedziała nam kilka słów o Carlu.

– Na początku było z nim bardzo źle. Myślał, że każdy z jego rodziny umrze. Był oziębiały. Niby cię słuchał, a był gdzieś daleko stąd. W ogóle nie reagował. Dziś, po rozmowach z psychologiem, jest dużo lepiej. Uśmiecha się, wychodzi z domu – mówi z dumą.

DZIAŁAŁ W PEDOFILSKIEJ SZAJCE

Pytam ją o zdjęcia. Odwraca głowę.

– Jednemu dziecku, najmłodszemu, zrobił około trzystu zdjęć. To są zdjęcia w różnych pozach seksualnych. Po co robiłby tyle zdjęć jednej osobie? Moim zdaniem ksiądz wysyłał te zdjęcia do Polski, działał w jakiejś pedofilskiej szajce handlującej dziecięcą pornografią – snuje domysły Mildred.

Prokuratura w jednej z hipotez także zakłada, że padre Alberto handlował dziecięcą pornografią albo wymieniał się nią. Na celowniku śledczych znaleźli się inni polscy duchowni oraz znajomi padre Alberta, którzy mieszkają na Dominikanie i którzy go odwiedzali. Albo on ich.

Dzięki Mildred udaje mi się wejść do domu Carla. Jego matka serdecznie zaprasza i proponuje herbatę. Niestety, nie mówię po hiszpańsku, co bardzo utrudnia mi pracę. Jestem przekonany, że gdybym mówił w tym języku, nakłoniłbym ją do dłuższej rozmowy. Podtrzymujemy konwersację o niczym. Nie chcę być bezczelny. I tak mam sporo szczęścia, że spotkałem Mildred, a ojciec Carla gdzieś poszedł.

Po domu kręci się najmłodsza siostra chłopca. Mildred siada w bujanym fotelu i mam wrażenie, że pyta o sytuację w domu –

jak radzą sobie z problemami i czy u Carla wszystko w porządku.

W tym momencie do domu wchodzi Carlo. Młody, wysoki, atrakcyjny szesnastolatek o latynoskiej karnacji. Bardzo delikatny i – co widać na pierwszy rzut oka – bardzo wrażliwy. Uśmiecha się, siada obok matki. Wie, że jesteśmy z telewizji, jest ciekawy, o czym mówimy. Wymienia kilka zdań z Mildred, wypija herbatę i znika.

Mam wrażenie, że w wiosce wszyscy już wiedzą, że przyjechaliśmy, ale to dobrze. Nie trzeba się nigdzie ruszać. Dla niepoznaki rozbiliśmy plenerowe studio przed kościołem, ale nagrywamy wszystko ukrytymi kamerami.

Po pierwsze mieszkańcy nie godzą się na występy przed kamerą, a po drugie są bardziej naturalni, gdy nie widzą obiektywu. Podstępnie raczej nie wyczuwają. Może to nie fair, ale inaczej wróciłbym z niczym. Gdybym pisał tekst do gazety, nie musiałbym się zachowywać jak szpieg.

Powoli udaje mi się poznać innych świadków molestowania przez padre Alberta. Przynajmniej prób molestowania.

– Jeden z chłopców grał sobie na plebanii na akordeonie. Padre Alberto podszedł do niego, usiadł obok i zaczął go dotykać. Chłopiec się nie przestraszył, tylko wypalił do niego: A co mnie ksiądz dotyka. Wiem, że ksiądz jest sprytny, ale ja nie dam się obmacywać. Co, ksiądz jest pedałem? Wtedy Padre Alberto odsunął się, wstał i powiedział, żeby się tak do niego nie odzywał, bo inaczej będzie musiał porozmawiać z jego matką. Nastolatka to nie przestraszyło, wyszedł z plebanii i sam o wszystkim opowiedział matce. Zabroniła mu chodzić do kościoła. Nie musiała. Padre Alberto zawiesił go w funkcji ministranta – opowiada mi kolejny mieszkaniec Juncalito.

MILCZENIE DIAKONA

Spaceruję po wiosce, zatrzymuję się koło plebanii. Bardzo mi zależy, żeby wejść do środka. Wiem, że nie znajdę już żadnych dowodów, ale chcę rzucić okiem na pokój padre Alberta. I pamiętam o prośbie jednego z polskich prokuratorów, który

pracuje przy sprawie, żeby sprawdzić, czy w internacie były gniazda internetowe. Kiedy wyjeżdżałem z Polski, prokuratorzy tkwili w martwym punkcie. Nie dysponowali niczym oprócz zeznań trojga dziennikarzy, w tym moich, które niewiele mogły wnieść do sprawy.

Plebania jest otwarta, zaglądam przez drzwi. Przed komputerem siedzi Ambioris. Pytam, czy cały dom jest otwarty. Badzi, by wejść na górę i poprosić gosposię, żeby nas wpuściła. Jednak nikt tam nie otwiera.

Ambioris jest dość życzliwy i uczynny jak większość Dominikańczyków. Proponuje, że zadzwoni do diakona i zapyta, czy może tu przyjechać. Tak, z diakonem Sergio Rodriguezem powinienem odbyć długą rozmowę. Okazuje się jednak, że nie tylko nie porozmawiam z diakonem, ale w ogóle nie wejdziemy do środka, bo diakon nie chce przyjechać. Na wszelki wypadek biorę numer jego komórki. Będę próbował przekonać go do rozmowy.

Idę w głąb wioski. Te same spękane betonowe uliczki, blaszane domki, dużo barwnych roślin, palmy, bananowce. Pranie rozwieszone na sznurkach łożoce w rytm hulającego wiatru. Starsi ludzie siedzą na krzesłach przed swoimi „posiadłościami”. Samochodów prawie nie ma. Czasem ktoś przemknie rowerem, częściej ryczą silniki zdezelowanych motorów, na których jeżdżą głównie młodzi ludzie. Chociaż czasem można wypatrzeć jadącą na motorze czteroosobową rodzinę albo umorusanych w smarze dwóch mężczyzn, a między nimi pralkę starą jak nasza frania. Tak, tak, to nie żart. Na tych motorach Dominikańczycy robią nawet przeprowadzki.

ROZPOZNALIŚMY NA ZDJĘCIACH DŁOŃ

Idąc w stronę kościoła, spotykam Denny’ego Rodrigueza. Na szczęście mnie rozpoznaje. I nie jest negatywnie nastawiony. Witam się z nim i pytam, czy zechce odpowiedzieć na kilka pytań. Wyprzedzając moje kolejne pytanie, zgadza się, ale mówi,

że absolutnie bez kamery. Nie chce rozmawiać ani na ulicy, ani przed kościołem. Zaprasza mnie do domu. Poznają jego żonę i roczną córeczkę. Siadam na kanapie.

– Długo nie mogliśmy uwierzyć, że to wszystko prawda – zaczyna swoją opowieść. – Tyle lat razem pracowaliśmy. Codziennie byłem w jego domu, jeździliśmy razem w góry, na plażę. Nigdy nie zauważyłem nic podejrzanego. No, może oprócz alkoholu. Trochę mnie zdziwiło, że ksiądz pije piwo i whisky. Ale on mi tłumaczył, że w jego kraju jest taka kultura. Że duchowni w Polsce spożywają alkohol. Więc się przyzwyczailiśmy.

To właśnie Denny miał kluczę od plebanii i domu księdza, kiedy ten wyjechał do Polski.

– Jak dwudziestego ósmego maja przyjechała policja i prokurator, poprosili mnie, żebym otworzył dom. Wszyscy mieli na rękach gumowe rękawiczki. Od razu zabrali komputery. Nie widziałem, czy je włączali, czy nie. Powiedzieli, że od tej pory nikt nie może wchodzić do domu – wspomina Denny.

– Powiedz, czy widziałeś te zdjęcia, które prokuratura zabezpieczyła w komputerze padre Alberta?

– Tak. Jak prokuratorzy nas przesłuchiwali, to pokazywali nam niektóre zdjęcia. Były okropne. To były zdjęcia z dziećmi. One uprawiały seks z dorosłymi.

– Czy widziałeś na nich padre Alberta uprawiającego seks z dziećmi?

– Nie, takich nie. Nie było na nich jego twarzy, ale widziałem zdjęcia rozebranych dzieci z naszej wioski.

– I jesteś pewien, że były zrobione przez padre Alberta albo u niego w domu?

– Wiesz, dobrze znam ciało padre Alberta. Widziałem go wielokrotnie bez koszulki. Razem pływaliśmy i podczas ćwiczeń często się rozbieraliśmy. Jak jechaliśmy z dziećmi na plażę, to tam też się rozbieraliśmy. Na jednym zdjęciu pokazanym przez prokuratorów rozpoznałem rękę padre Alberta.

Rozemocjonowany Denny Rodriguez podnosi głos, gestykuje, ale już wiem, że to standardowe zachowanie Dominikańczyków. Pokazuje dokładnie część przedramienia, którą widział na zdjęciu, i zapewnia, że to była ręka padre Alberta. Według niego na tym zdjęciu ksiądz dotyka członka jednego z chłopców z Juncalito.

W pewnym momencie do domu wchodzi Braulio. Wiem, że się bardzo przyjaźnią. Zresztą obydwaj wystąpili w naszym styczniowym reportażu. Denny przypomina, że Braulio był w Polsce podczas ostatniego wyjazdu z księdzem. On także twierdzi, że ręka na jednym ze zdjęć, które okazali im prokuratorzy, to ręka padre Alberta. Wspomina też, że gdy tylko wyładował w Puerto Plata, policja zawiozła go do prokuratury w Santiago.

– Pytali, co się działo w Polsce, kto się zgodził, żeby pojechało tam dziecko. Pytali, gdzie ono spało i z kim. Na szczęście ośmioletni Dalvin cały czas był z Ambiorisem, bo to jego siostrzeniec. Chłopaki nie rozstawali się nawet na chwilę i spali w jednym pokoju. Wydaje mi się, że w Polsce nic złego nie mogło się wydarzyć – zapewnia Braulio.

Próbuję dowiedzieć się od nich więcej. Dopytuję, ile dzieciaków było molestowanych seksualnie przez padre Alberta. Szybko przekonuję się, że nie znają odpowiedzi na to pytanie. Nawet się cieszę, bo to tylko świadczy o tym, że raczej nie kłamią.

– Zdjęcia pornograficzne prokuratorzy pokazywali przede wszystkim rodzicom ofiar. My widzieliśmy raczej takie „delikatne”, i tylko kilka, tak jak to z ręką padre Alberta – mówi Braulio.

PONAD PRAWEM

– Chodźcie wciąż do kościoła? – próbuję zmienić temat.

– Teraz, wiesz, nie jest już tak, jak kiedyś. Padre Alberto był na miejscu. Msze odbywały się regularnie. Teraz zastępuje go Jimmy Drabczak, też polski kapłan, ale nigdy nie wiadomo, kiedy się pojawi. Czasami diakon odprawia mszę. Ale to już nie to samo – mówi Denny Rodriguez

– Ludzie się buntowali, nie chcieli innego księdza. Chcieli, żeby wrócił padre Alberto. Ale wiesz, z czasem coraz więcej spraw wychodziło na jaw. I te zdjęcia. Wszyscy w Juncalito je widzieli. A jeśli nie widzieli, to słyszeli o nich. I jeszcze ta twoja rozmowa. Ludzie się wściekli, że padre Alberto kłamie. Że nas

oskarża! Mówi, że nam zaufał, a my go oszukaliśmy. To również ludzi rozwścieczyło – dodaje Braulio.

Z Jimmym Drabczakiem, który mieszka w Janico, 30 kilometrów poniżej Juncalito, też chciałem się spotkać. Ale nie chciał. Choć był w domu, udawał, że go nie ma. Swym współpracownikom zabronił nas wpuszczać. Gdy zapytaliśmy, dokąd pojechał, mówili, że do Juncalito. Ale w Juncalito nie było go od kilkunastu dni. Telefonu od nas też nie odbierał. Raz udało nam się dodzwonić z obcego numeru. Odebrał, ale kiedy usłyszał, że to Polacy z TVP, natychmiast się rozłączył.

To właśnie w parafii Drabczaka w 2006 roku wikary Wojciech G. rozpoczął pracę na Dominikanie. Co jakiś czas jeździł do Juncalito odprawiać msze. Już wtedy zaprzyjaźniał się z mieszkańcami, namawiał dzieciaki, by zostawały ministrantami, pomagał ludziom, zdobywał ich zaufanie i sympatię. Po niecałych trzech latach, w 2009 roku, oficjalnie został proboszczem i zamieszkał w Juncalito na dobre. Szybko poczuł się tu jak u siebie, a wkrótce zaczął zachowywać się tak, jakby stał ponad prawem.

– Miał zawsze w domu dwie butelki whisky – opowiada mi jeden z mieszkańców. – Pił ją nawet podczas mszy. Ludzie tutaj bardzo go lubili, ale nie rozumieli, dlaczego prowadzi samochód po alkoholu i słucha w nim bębniącej muzyki. Często przyjeżdżali do niego w odwiedziny Polacy. Wspólnie gotowali, zdarzało się, że razem pili.

Zaczyna się robić późno. Wiem, że powrót po ciemku nie wchodzi w grę. Droga jest zbyt niebezpieczna, żadnych latarni. Czasami zdarza się, że samochód potrafią zablokować własnym autem owinięci arafatkami czarnoskórzy mężczyźni z bronią. Czasem żeby tylko postraszyć, a czasem, żeby obrabować. Mamy ze sobą sprzęt, nie ma co ryzykować. W wiosce nie ma żadnej restauracji, a wszyscy jesteśmy głodni. O hotelu nie wspomnę. Denny proponuje nocleg w jego domu, ale ma małe dziecko, żonę... Nie chcemy robić problemu. Lepiej podjechać do hotelu w Santiago, zwłaszcza że musimy porozmawiać z prokuratorką prowadzącą śledztwo, która urzęduje właśnie w Santiago. Do Juncalito jeszcze wrócimy.

Pakujemy sprzęt. Jedziemy szybko, żeby zdążyć przed mrokiem.

– No, Piotruś, jak na pierwszy dzień pracy to sporo ci się udało dowiedzieć – mówi Koło.

Tak, głowa pęka mi od nowych informacji. Najważniejsze, że dotarliśmy do świadków, którzy powiedzieli prokuratorom, że na jednym ze zdjęć rozpoznają rękę padre Alberta. Jeśli tylko prokuratura potwierdzi ich wersję, to nasze dziennikarskie śledztwo ruszy do przodu.

– No, trochę mamy – odpowiadam. – Ale ty też nie marnowałeś czasu. Juncalito mamy ograne z dołu, z góry, z boku.

Kris, nasz tłumacz, też jest zadowolony, więc przy najbliższym wiejskim sklepie prosi, żebyśmy się zatrzymali, bo musi ugasić pragnienie. Nie musimy pytać czym, bo na Dominikanie wszyscy gaszą pragnienie lodowatym lokalnym piwem presidente. Dominikańczycy szaleją na jego punkcie. Produkują nawet lody o smaku presidente. A piwo można kupić w butelkach o objętości od 0,2 do 1,5 litra.

W Janico złapała nas potężna burza. Woda jak rwący potok spływała ulicami, momentami sięgając nam prawie do połowy drzwi od samochodu. Jeszcze raz spróbowaliśmy się spotkać z księdzem Jimmym Drabczakiem, ale znów nie otworzył nam drzwi. Jego współpracownicy twierdzili, że wyjechał, choć auto stało na terenie parafii.

Z samochodu zadzwoniliśmy do rzeczniczki ministra sprawiedliwości Dominikany, żeby umówić spotkanie, ale Francisco Dominquez Brito wyjechał z kraju na kilka dni. Wracał w dniu, gdy my wyjeżdżaliśmy do Polski.

NIE PROWADZĘ JUŻ TEGO ŚLEDZTWA

Udało nam się też dodzwonić do prokurator Luizy Liranzo z Santiago, która od początku prowadziła śledztwo w sprawie padre Alberta.

– Nie mogę się z wami spotkać. Zresztą ja już nie prowadzę śledztwa w tej sprawie – powiedziała prokurator Liranzo.

Dziwne. Jeszcze tydzień temu wypowiadała się w dominikańskich mediach, a dziś już nie prowadzi sprawy... Szybko wszedłem w Internet, ale nie znalazłem żadnej wzmianki o zmianie prokuratora. Postanowiliśmy sprawdzić w prokuraturze, kto prowadzi śledztwo.

Od rana nie możemy dodzwonić się do kogokolwiek z prokuratury, kto mógłby z nami porozmawiać o sprawie padre Alberta. W poszukiwaniu angażujemy nawet rzeczniczkę ministra. Może ona pomoże? Bezskutecznie. Nie ma co tracić czasu w Santiago. Ruszamy do stolicy Republiki Dominikany – Santo Domingo.

Miasto leży po drugiej stronie wyspy, oblewają je ciepłe wody Morza Karaibskiego. Mamy do pokonania niecałe 150 kilometrów. Tym razem jedziemy autostradą.

Kris zna w Santo Domingo kilka osób, które mogą pomóc. Przede wszystkim prawników, między innymi jedną z najlepszych kancelarii prawniczych na Dominikanie – Guzman Ariza. Kancelaria nie jest bezpośrednio zaangażowana ani w sprawę padre Alberta, ani nuncjusza Wesołowskiego, jednak obie sprawy są tu tak głośne, że właściwie wszyscy o nich mówią.

– Najlepiej byłoby dla nas, żeby padre Alberto wrócił na Dominikanę i odpowiadał przed naszym wymiarem sprawiedliwości. Tu popełnił przestępstwa, więc i tu powinien za nie odpowiadać. Zdajemy sobie sprawę, że to prawie niemożliwe, ale nasz rząd czyni wszystko, by ściągnąć padre Alberta. Myślę, że szanse są niewielkie, ponieważ nie mamy z Polską podpisanej umowy o ekstradycji, ale trzeba próbować – mówi mecenas Guzman Ariza. – U nas za posiadanie pornografii dziecięcej grozi kara czterech lat więzienia. A za molestowanie seksualne nieletnich – dwudziestu.

ŚLEDZTWO NURII PIERY

Najpotężniejsza na Dominikanie dziennikarka Nuria Piera wie o wszystkim, co dzieje się w kraju. Ta ponadpięćdziesięcioletnia piękna i elegancka kobieta ciesząca się statusem gwiazdy odniosła już setki sukcesów. To właśnie ona wyśledziła arcybiskupa Wesołowskiego i pierwsza opublikowała materiały o aferze pedofilskiej, ale Wesołowski zdążył wylecieć do Watykanu. Poza tym, że jest jedną z dwóch najlepszych dziennikarek śledczych na wyspie, jest szefową kanału informacyjnego NCDN.

Niczym hollywoodzka gwiazda każe nam czekać na siebie blisko godzinę, po czym pojawia się w karminowej sukni, telewizyjnym makijażu i starannie ułożonych włosach. Siada, a gdy tylko zadaje jej pierwsze pytanie po polsku, chwytą mnie za rękę i mówi „*claro, claro*” (tak, tak). Mam wrażenie, że każdy dziennikarz pyta ją o to samo: „To ty wyśledziłaś nuncjusza Wesołowskiego?”.

– Dostaliśmy informację, że nuncjusz często pojawia się na Maleconie. Wszyscy tutaj wiedzą, po co się tam chodzi. Zaczęliśmy węszyć. W tym samym czasie moi dziennikarze trafili na ślad padre Alberta w prokuraturze w Santiago. Ale my nadal zajmowaliśmy się Wesołowskim. Jeden z chłopców opowiedział nam, że arcybiskup przychodzi na bulwar Malecon, że chce, by się chłopcy przy nim masturbowali, uprawia z nimi seks oralny, czasami zabiera do domu. Płaci za to 1500 pesos [ok. 30 dolarów USA – przyp. aut.]. Kiedy jednak zastawiliśmy na niego pułapkę, uciekł do Watykanu – wspomina Nuria.

– Zastanawiam się, czy sprawa nuncjusza nie jest spreparowana. Rozumiem, że sprawę padre Alberta trudno wymyślić, w końcu on nie płacił dzieciom, tylko zdobywał ich zaufanie, a potem wykorzystywał. W przypadku Wesołowskiego jest inaczej. Przychodził w miejsce, gdzie młodzi chłopcy oferują usługi seksualne – dolewam oliwy do ognia.

– To nieprawda, że padre G. nie płacił – wypala lekko zdenerwowana Nuria Piera. – Dawał prezenty. To też forma płacenia, tyle że po cichu. Sprawa nie w tym, czy ktoś płacił, czy nie. W obu przypadkach doszło do krzywdzenia dzieci.

– Znasz obie sprawy. Rozmawiałaś z molestowanymi dziećmi. Ile z nich zeznało przeciwko Wesołowskiemu?

– Z tego co wiem, prokuratura dysponuje zeznaniami trzech chłopców, którzy obciążają Wesołowskiego. Prawdopodobnie jest ich więcej, bo w ten proceder był też zaangażowany diakon nuncjusza. To on miał mu wynajdować ofiary. Teraz siedzi w więzieniu. Ale na razie zeznaje trzech chłopców. Poznałam jednego, który uprawiał seks z Wesołowskim. Kiedy pokazałam mu jego zdjęcie, powiedział: Nie wiedziałem, że on jest księdzem. Myślałem, że jest staruszkciem, który płaci za takie rzeczy – opowiada Nuria.

– Myślisz, że padre Alberto też jest winny?

– Nie mam wątpliwości. W jego komputerze znaleziono ponad 90 tysięcy zdjęć i filmów. Jeśli ktoś ma takie rzeczy w komputerze, to znaczy, że jest pedofilem. Wiele osób widziało te filmy. Jestem przekonana, że jest winny.

– Trudno będzie sprowadzić padre Alberta z powrotem na Dominikanę, podobnie jak Wesołowskiego.

– Nieważne, w którym kraju, ważne, żeby obaj trafili do więzienia – wyznaje Nuria.

Po zakończeniu rozmowy wykorzystuje swoje kontakty, żeby ułatwić nam spotkanie z prokuratorem, który prowadzi śledztwo w sprawie padre Alberta. Od początku jest jednak zniesmaczona tym, że bardziej interesuje nas jakiś ksiądz bez stanowiska niż nuncjusz apostolski. Jej zdaniem powinniśmy zajmować się Wesołowskim.

Z pomocy nici, jak przypuszczaliśmy. Minister sprawiedliwości jest za granicą, a Nuria z nikim niższym rangą nie rozmawia. Na pożegnanie wręcza nam płytę i mówi:

– Możecie wykorzystać to w polskiej telewizji. To rozmowa z diakonem nuncjusza Wesołowskiego. Siedzi w więzieniu, tylko mnie udało się tam wejść i z nim porozmawiać.

Bardzo to miłe z jej strony. Tyle że za moment poprosiła, żebyśmy przesłali jej rozmowę z księdzem Wojciechem G. w dobrej jakości.

ZAPROSZENIE DO PROKURATURY

To jakiś absurd. Przelecieliśmy prawie 10 tysięcy kilometrów, a prokurator, który prowadzi sprawę, nie chce się z nami spotkać. Koledzy Krisa, naszego tłumacza, organizują nam wywiad z Ricardem Nivesem, dziennikarzem radia Z101 digital, największą gwiazdą publicystyki na Dominikanie. Każdego poranka jego audycji słucha 6 milionów Dominikańczyków, czyli 60 procent obywateli. Liczą się z nim wszyscy: politycy, biznesmeni, inni dziennikarze. To jedna z najbardziej wpływowych osób na wyspie.

– Pójdźcie do niego. Wtedy prokuratura sama do was zadzwoni i zaprosi na spotkanie. To niesamowity gość – mówi znajomy Krisa.

Nie zastanawiamy się długo, nie mamy nic do stracenia. O siódmej wyjeżdżamy z hotelu. Radio mieści się kilka kilometrów dalej. Jesteśmy przed czasem. Siadamy w holu i czekamy. W końcu inspicjent prowadzi nas do studia. Okrągły stół, przy nim pięciu dziennikarzy. Cichutko zajmujemy miejsce i czekamy, aż skończą się reklamy.

– Mamy dzisiaj gości. Gości z Polski – zapowiada prowadzący.
– Choć żeby tu dotrzeć, przebyli prawie dziesięć tysięcy kilometrów, nikt z naszych rządzących nie ma zamiaru odpowiedzieć na ich pytania.

W studiu rozpętuje się burza. Każdy chce się dowiedzieć, co my tu właściwie robimy, więc tłumaczę po kolei. Opowiadam, jak to było, gdy Alicia Ortega przyjechała do Polski. Widzę ich wzburzenie. Czuję, że chcą pomóc. Przynajmniej tyle. Jest piątek, a w poniedziałek wracamy do Polski. Albo dziś, albo w ogóle. Rozmowa trwa jakieś 15 minut. Goście wsłuchują się w nasze zarzuty. Po audycji nagrywamy jeszcze krótki wywiad z gospodarzem programu.

Kilka minut później przekonujemy się, co to znaczy popularność. W hotelu witają nas prawie z kwiatami. „O, to wy z Polski. Byliście w radiu. To niesamowite”. W kraju, w którym nie wszyscy potrafią czytać i pisać, sześć z dziesięciu milionów ludzi słucha tej audycji. Nim zdążymy wrócić do łóżek, dzwoni moja komórka. Odbieram, ale ktoś chce rozmawiać wyłącznie po hiszpańsku. Beznamiętnie oddaję telefon Krisowi.

– Chyba do ciebie – mówię.

– Dzwoniła pani z prokuratury. Jutro o dziesiątej rano mamy spotkać się z prokuratorem Luizą Liranzo. – Kris sam ledwo wierzy w to, co mówi.

– Jak to, przecież nie prowadzi już tego śledztwa?

– No... właśnie prowadzi. Po naszej wizycie w radiu kazali jej z nami porozmawiać – mówi.

– Przecież jutro sobota. Na Dominikanie to niemal dzień świąty!

– Mamy być jutro i tyle. Chcesz czy nie?

– No jasne, że chcę – odpowiadam, nie kryjąc satysfakcji.

Muszą być na nas niezłe wkurzeni.

Za chwilę dzwoni kolejny telefon.

– Alicia Ortega słuchała audycji. Jest chora i nie może się z wami spotkać osobiście, za co przeprasza, ale ułatwiła wam kontakt z Liranzo – mówi słodki głos w słuchawce.

Myślę, że nie ułatwiła, ale załatwiła.

ŻYCIE NA BULWARZE MALECON

– To nasz ostatni dzień w Santo Domingo. Pojedźmy zatem na ten słynny Malecon.

Bulwar ciągnie się przez kilka kilometrów. Rzeczywiście robi wrażenie. Po jednej stronie morze, po drugiej rząd malowniczych domów. Jedne odrestaurowane, inne w dramatycznym stanie, jeszcze inne – opuszczone – wyglądają, jakby się miały zawalić. W oddali widać płynące statki. Na plaży ani jednego turysty z rozłożonym leżakiem. Woda i plaża brudne jak cholera. Właściwie nikt się tu nie kąpie – oprócz okolicznych mieszkańców, dla których kąpiel tu stanowi poranny lub wieczorny prysznic. Kilka knajpek, w których można się napić piwa czy zjeść lunch. W jednej z nich rozpoznaję tę z reportażu Nurii, w której siedział arcybiskup Wesołowski. Na końcu bulwaru kamienne schodki i zejście na plażę. Wracamy po kamerę i schodzimy na dół.

Na jeszcze kilka minut temu pustej plaży pojawia się kilkunastu młodych chłopców. Widząc kamerę, zaczynają się popisywać. Rozbierają się i wbiegają do wody. Za chwilę jeden z nich wyskakuje z morza i biegnie w naszym kierunku, zsuwając bokserki i wymachując do kamery swoim przyrodzeniem. Prowokują. Zaczynamy z nimi rozmawiać. Wszyscy twierdzą, że znają nuncjusza, że go tu widywali. Ale kiedy wypyujemy o szczegóły, kłamstwo zdradza tych, którzy nie mają pojęcia o sprawie. Tylko dwóch poprawnie opisało wygląd Józefa Wesołowskiego, wiedziało, jak się ubiera, znało markę i kolor jego samochodu. Żaden z nich nie przyznał się, że „coś” z arcybiskupem robił. Za to każdy z nich wie, że arcybiskup zabierał do samochodu ich kolegów i tam pstrykał im zdjęcia lub ich masturbował. Jednego z nich znaleźliśmy.

– Zobaczył, jak się kąpię, zawołał mnie, zapytał o imię i dał sto pesos. Innego dnia poszliśmy do jego jeepa. Odjechaliśmy kawałek, po czym się zatrzymał. Wziął komórkę i powiedział, żebym się masturbował. Zrobiłem to. Zaczął mnie nagrywać, a podczas masturbacji zaczął mnie całować. Na koniec dał mi tysiąc pesos – opowiada chłopiec.

– On tu przychodził prawie codziennie. Przechadzał się, czasami błogosławił ludzi, schodził na plażę. Nie widziałem, żeby coś z kimś robił – mówi drugi chłopiec.

Trzeci od początku wyrywa się do rozmowy. Jest bardzo śmiały. Nie ma dwóch przednich zębów. Widać, że rówieśnicy go szanują.

– Wiadomo, że to jest miejsce dla homoseksualistów. Przychodzi tu bardzo dużo białych. Płacą, oglądają i odchodzą. Dzieciaki zostają. Daj mi trzysta pesos, a spędzisz ze mną godzinę. Jestem w stanie zrobić wszystko – reklamuje się z wybrakowanym uśmiechem.

Rano znów jedziemy do Santiago.

Przed dziesiątą jesteśmy przed prokuraturą, a właściwie przed zamkiem, w którym urzędują miejscowi prokuratorzy. Gdyby tak polscy śledczy to zobaczyli. Prawdziwy pałac, zresztą tak się nazywa: Palacia de justicia de Santiago.

Wielkie gmaszysko. Sale o wysokości co najmniej 4 metrów. Gabinet Liranzo składa się z kilku pokoi. Jej pokój pęka w szwach od rzędów książek prawniczych. Piękne ciemnobrązowe biurko. I ona – czterdziestoletnia atrakcyjna pani prokurator o ciemnobrązowych oczach i pięknie uczesanych włosach. Wita nas z uśmiechem na twarzy. Sprawia wrażenie osoby bardzo miłej, choć znając historię umawiania wiana nas na tę rozmowę, trudno mi uwierzyć, że marzyła o wywiadzie w sobotnie przedpołudnie.

– No dobrze, najpierw nagrajmy to, czego potrzebujecie, a potem sobie porozmawiamy.

Onieśmiela nas swoją stanowczością, choć tak naprawdę uknuła całkiem dobry plan.

Nie znamy jej i też mamy ograniczone zaufanie. Jedna kamera nagrywa oficjalnie, a trzy po cichu. Mamy nadzieję, że nam się nie wywinie.

Liranzo prowadziła już sprawy o molestowanie i ma opinię bardzo dobrego prokuratora. Kamera ją delikatnie zawstydza, jednak bardzo pilnuje się, odpowiadając. Trudno streścić tę blisko czterdziestominutową rozmowę, podczas której na nasze pytania słyszeliśmy najczęściej:

– Nie mogę odpowiedzieć, jest na to za wcześnie.

Podkreśla jednak, że jest pewna, że to, co ustaliła, wystarczyłoby, żeby postawić księdzu G. zarzuty i skierować do sądu akt oskarżenia.

– Mamy dowody w postaci ekspertyz lekarskich, rozmów ofiar z psychologami i zeznań dzieci. Wszystkie te dowody potwierdzają, że doszło do molestowania. Zabezpieczyliśmy też dowody rzeczowe w postaci fotografii i filmów wideo zawierających pornografię dziecięcą – recytuje jak wyuczony wiersz. – Mamy mocne graficzne dowody przeciwko księdzu G.

Z rozmowy wynika, że śledczy nie zakończyli jeszcze postępowania. Mam wrażenie, że prokurator nie mówi nam wszystkiego nie dlatego, że nie chce, ale dlatego, że na wiele pytań nie zna jeszcze odpowiedzi.

– Postawiliśmy kilka hipotez. Teraz musimy je potwierdzić albo wykluczyć. To dla nas bardzo ważna sprawa. Śledztwo nadzoruje sam minister sprawiedliwości Francisco Dominique Brito. On ostatecznie oceni zebrane przez nas dowody. Zdajemy

sobie sprawę, że ksiądz G. nie wróci na Dominikanę, ale będziemy kontynuowali nasze śledztwo, bo chcemy dowieść winy lub niewinności duchownego. Mogę też wam powiedzieć, że będziemy ściśle współpracowali z polską prokuraturą – mówi Luiza Liranzo.

Na rozmowę mniej oficjalną pani prokurator nie ma już czasu. Zaraz po wyłączeniu przez nas kamery mówi, że musimy wyjść, bo ma zaplanowane inne czynności.

TO CZŁOWIEK SEKSUALNIE CHORY

24.10.2013, GODZINA 6.00.

W TVP Info po raz pierwszy emitujemy reportaż z ustaleniami naszego śledztwa. Informujemy, że dotarliśmy do świadków, którzy na zdjęciach pornograficznych rozpozнали rękę księdza G.

Kolejny raz sprawa pedofilii wchodzi na czołówki. I jak bumerang powraca pytanie, co w tej sprawie udało się ustalić polskim prokuraturom. Czy nadal dysponują tylko wycinkami z gazet i przesłuchaniami dziennikarzy? Z Dominikany nadal nie dotarły żadne dokumenty, a wiadomo, że bez tego ani rusz. Jednak polscy prokuratorzy zaczęli dyskretnie sprawdzać karierę księdza Wojciecha G. Interesowali się tym, co i gdzie robił, zanim wyjechał na misję.

Po emisji rozmów z Brauliem i Dennyem zadzwonił do mnie Wojciech G. Z pewnością miał do mnie żal, że ujawniłem ich opowieści, ale od razu wytłumaczyłem mu, że jestem od tego, by przedstawiać sprawę z każdej strony. Mam nawet wrażenie, że to uszanował, ale nadal się bronił:

– Piotrek, oni nie mogli znać mojego ciała. Nawet jak jechaliśmy na plażę, to ja nigdy nie kąpałem się nago. Zawsze zakładałem piankę – przekonywał Wojtek.

Umówiliśmy się, że odwiedzę go w jego rodzinnym domu w Modlnicy w najbliższy wolny weekend.

O 19.57 w programie „Dziś Wieczorem” emitujemy dziesięciominutową rozmowę Nuri Piery z diakonem arcybiskupa Józefa Wesołowskiego. Francisco Javier Occis Reyesa został aresztowany na Maleconie, gdy przyjechał tam z Wesołowskim, jednak nuncjusz miał immunitet dyplomatyczny, więc policja nie mogła go zatrzymać. Diakon zdradził, że był w stosunkach intymnych z Wesołowskim. Zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, poszedł na współpracę z policją i oprócz Wesołowskiego obciążył jeszcze innych księży. W rozmowie ujawnił też związki Wesołowskiego z księdzem G.

„– Jak poznałeś nuncjusza Wesołowskiego?

– Poznałem go w Casa San Paulo. To było podczas zajęć z filozofii czy teologii. Dał mi swoją wizytówkę i powiedział, żebym zadzwonił. Więc zadzwoniłem. Zaprosił mnie do nuncjatury i tak zaczęła się nasza znajomość. Na początku była to dobra i szczerza znajomość. Niby taka zwykła, ale dla mnie wyjątkowa – ja byłem zwykłym studentem, zwykłym człowiekiem, który przygotowywał się do kapłaństwa.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Jakieś dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata.

– Myślisz, że on wykorzystywał dzieci?

– To był człowiek seksualnie chory. Tu chodziło o coś więcej niż dzieci, o cokolwiek, co by zaspokoiło jego apetyt seksualny. Miał pewien specyficzny typ upodobań. O tym mi opowiadał.

– Co to było?

– Dzieci w wieku czternastu–szesnastu lat, tak to określał, i najlepiej jeśli były to dzieci białe. Ale jego zaspokajało cokolwiek, jakakolwiek osoba.

– Czy miałeś relacje seksualne z księdzem?

– Tak.

– Utrzymywał cię?

– Tak, ale nie był rozrzutny. Dawał mi jakieś pięć–dziesięć tysięcy pesos. Raz dał mi bardzo dużą kwotę, bo miałem problem w domu. Moja matka była chora. Myślałem, że umrze, i trzeba było zapłacić za jej leczenie.

– I on za to zapłacił?

– Tak. Wziąłem od niego czterdzieści tysięcy pesos.

- Jak to wzięłeś?
- Poprosiłem, żeby mi dał. Na początku nie chciał mi ich dać.
- Naciskałeś na niego?
- Tak mniej więcej. Poprosiłem, żeby mi dał czterdzieści tysięcy pesos, którymi zapłaciłem za leczenie mojej matki.
- A skąd brał pieniądze?
- Miał pieniądze. Był w stanie je załatwić. Nie wiem, czy ze względu na swoje stanowisko dyplomatyczne, czy dzięki wpływom, ale załatwił pieniądze. Jednak zazwyczaj nie był rozrzutny.
- Twoje relacje seksualne z nim były normalne, jak z każdą inną osobą, czy miały jakiś dziwny wymiar?
- Miały dziwny wymiar.
- Wykraczały poza normalne relacje?
- Tak.
- Na przykład jak?
- Różne dziwne rzeczy. W sumie jakakolwiek pozycja seksualna, która by go zadowoliła.
- Ile trwała twoja relacja z nim?
- Półtora roku, dwa lata. Nie wiem dokładnie.
- W innych krajach robił to samo?
- Jak go spytałem, czemu tak krótko był w Boliwii i czemu stamtąd wyjechał, to powiedział mi, że to kwestie polityczne. Nie chciał nic więcej powiedzieć. Był osobą bardzo zamkniętą, w tym sensie, że nie mówił dużo. Tłumaczył, że to dlatego, że jest dyplomatą, nie lubi zbyt dużo mówić, szczególnie o rzeczach, które mogły go skompromitować. Uważał bardzo, na przykład z rozmowami przez telefon. Mówił mi: Nie dzwoń do mnie, nie dzwoń do mnie. Czuł, że ktoś go może nagrywać, że ktoś go może śledzić.
- Jakie dowody masz na to, że to wszystko prawda? Jakies zdjęcie z nim?
- Nie, nie mam zdjęcia z nim, jedynym dowodem jest sam Kościół, bo wypytywali mnie o relacje z nim.
- Kościół, kto?
- Mój biskup.
- Który biskup?
- Biskup Nicanor.
- Rozmawiał z tobą, zanim trafiłeś do więzienia?

- Tak, już dawno temu. Już parę lat temu.
 - Dwa lata temu?
 - Kilka lat temu. Zapytał mnie, jakie miałem relacje z nuncjuszem.
 - A ty powiedziałaś mu prawdę?
 - Nie powiedziałem prawdy, bo się bałem.
 - Aie to znaczy, że coś podejrzewali?
 - Tak mi się wydaje.
 - Wiemy, że nuncjusz pił. Narkotyzował się?
 - Ze mną nie. Ja nie lubię narkotyków, więc powiedziałem mu to.
 - Ale lubił narkotyki?
 - Tak wywnioskowałem, ale nigdy przy mnie tego nie robił.
- Wydaje mi się, że palił.
- Marihuanę?
 - I mocniejsze rzeczy.
 - Mocniejsze? Kokainę?
 - Ale mówię szczerze, nigdy przy mnie tego nie robił.
 - To skąd wiesz?
 - Wiem.
 - A skąd brał narkotyki?
 - Z ulicy. Tam gdzie sobie spacerował.
 - Czyli był alkoholikiem, narkotyzował się i był pederastą?
 - Pederastą. Nasza relacja trwała rok czy dwa i któregoś dnia zaprosił mnie, żebym z nim poszedł na miasto. Tylko żeby było jasne: ja nie załatwiałem mu dzieci, on wychodził i ich szukał. Ktoś mi powiedział, że on wychodził na ulicę i się upijał, więc zapytałem go, dlaczego to robi. Przecież był postacią publiczną i jego rola dyplomatyczna nie pozwalała mu na chodzenie samemu po ulicy, i to po alkoholu. Więc tego dnia wyszliśmy, poszliśmy do centrum Santo Domingo coś zjeść i on mi powiedział, że zainteresował się młodym białym chłopcem piętnasto-, szesnastoletnim. Powiedział mi: Podoba mi się ten chłopak, i zapytał mnie: Ile to będzie mnie kosztować? Powiedziałem mu, że tyle i tyle.
 - Tyle i tyle, czyli?
 - Tysiąc, pięćset pesos, to zależy. Ale z czasem on się coraz bardziej deprawował i szukał na ulicy kogokolwiek. Nocą, wieczorami szedł na Malecon czy w inne miejsca i czasem ja go

stamtąd zabierałem. Mówiłem mu, że go zabiją, że niszczy wizerunek Kościoła. Wiedziałem, że jeżeli coś mu się stanie, to zaczął wszystko sprawdzać.

– A brał te dzieci do nuncjatury?

– Nie mam pewności.

– Ale ciebie tak?

– Tak, zabierał mnie tam.

– I tam mieliście relacje?

– Tak, tam.

– A dokąd zabierał dzieci?

– Dzieci brał do Juan Dolio, tam jest dom nuncjatury.

– Ale nie było tam osób, które pracowały na miejscu?

– Tak, były.

– I nie zdawały sobie sprawy z tego, że zabiera tam dzieci?

– Na pewno robił to dyskretnie. Ja nigdy z nim nie poszedłem do tego domu. Złe się z tym czułem. W miarę jak go lepiej poznawałem, zacząłem zdawać sobie sprawę, że jest psychicznie chory. A poza tym mógł zabrać dzieci do jakiegoś domu, do motelu, tak naprawdę gdziekolwiek.

– Podobno organizował orgie, w których brały udział dzieci?

– Tak, tak.

– Ale wiesz to, bo ci powiedzieli, czy brałeś w nich udział?

– Nie brałem udziału w tych orgiach. Ale wiem, bo o tym się mówiło.

– Jaka była relacja księdza Wesołowskiego z księdzem z Juncalito?

– Nuncjusz często jeździł do Juncalito, często się odwiedzali. Są przecież Polakami, mówią wspólnym językiem.

– Jak to możliwe, że Kościół o tym nic nie wiedział? Czy wiedział, ale nic nie robił?

– Myślę, że ze strachu, niektórzy ludzie wiedzieli, ale się bali.

– Ile dzieci mu przyprowadziłeś?

– Trochę.

– To byli czyściciele butów?

– Nie. Ja mu mówiłem, że czyściciele butów, że to nie ten poziom, ale on lubił takie biedne dzieci. Złe się z tym czułem.

– To jakie dzieci mu przyprowadzałeś?

– Dzieci dobrze wyglądające, białe. Mówił mi: O, białe, dobrze.

– Ale białe dzieci są przecież w szkołach?

– To byli biali chłopcy.
– To skąd ich brałeś?
– Skądkolwiek się dało w stolicy.
– Grozili ci?
– Nie w bezpośredni sposób. Ale moja matka dostała wiadomość.

– Co jej powiedzieli?
– Powiedziała mi, że mówię zbyt wiele i że cała prawda nie powinna ujrzeć światła dziennego. Ja to odczytałem jako pogrózkę. Odczułem to jako nacisk, żebym zachował milczenie. Ze wstydu i strachu nic nie powiedziałem.

– Jak cię zatrzymali, to duchowny się z tobą nie kontaktował?
– Nigdy. Nie miałem komórki, nie miałem kontaktu z rodziną.
– Ale jak cię zatrzymali, to policja widziała Wesołowskiego?
– Tak. Zaparkował wtedy samochód po drugiej stronie ulicy.
– Policja nie wiedziała, że to nuncjusz?
– Policja wiedziała.

– Czemu nie ujawnisz pozostałych księży dla dobra Kościoła?
– Przekazałem władzom parę nazwisk osób, które były zamieszane w podobne sprawy. Myślę, że prokuratura prowadzi odpowiednie śledztwo. I jeśli cokolwiek się stanie, to mają nagrane moje zeznania. Powiedziałem też to tobie i mówię to w sposób otwarty. Ale nie mogę się teraz zamienić w bat na Kościół, który będzie wszystkich wydawał, bo ludzie uznają, że robię to, bo jestem poza Kościołem, albo dlatego, że jestem zagrożony. Ja jednak uznałem, że skoro przydarzyło mi się takie nieszczęście, to przynajmniej powiem prawdę.

– Prawda w twoim przypadku jest taka, że załatwiałeś małych. Że wykorzystywałeś ich. Że załatwiałeś je kapłanowi. Masz przed sobą trudne chwile.

– Tak.

– A Wesołowskiego tu nie ma.

– Wesołowskiego tu nie ma i nie będzie.

– A ty jesteś.

– Ja tu jestem i zostanę tu, dlatego poprosiłem władze o pomoc. Odpowiedzieli mi: Pomożemy ci, jeśli będziesz współpracować w tej delikatnej sprawie.

– Inni księża, o których mówisz, że wiesz, wiesz, bo powiedział ci Wesołowski, czy byłeś z nimi?

– Nie, nie. Nie byłem z nimi, ale wie o tym dużo osób w Kościele.

– A Kościół wie i zachowuje milczenie?

– W tym kraju znamy się wszyscy.

– Skąd wiesz o tych księżach? Ktoś ci powiedział?

– Wiem, bo po pierwsze mi powiedzieli, po drugie widziałem zachowania, ich podejście i to, jak traktują dzieci.

– Ty miałeś tylko relacje z Wesołowskim czy też z innymi kapłanami?

– Tak, z innymi, znajomymi.

– Innymi kapłanami?

– Tak.

– A z tych, o których wiesz, że są homoseksualni i wykorzystują dzieci, któryś ma wyższe stanowisko niż nuncjusz?

– Nie. Są niżej w hierarchii.

– Myślisz, że kardynał wiedział wszystko o nuncjuszu?

– Szczerze?

– Tak.

– Nie, nie wiedział. Nie miał pojęcia, do jakiego stopnia ten się zdegenerował.

– Ale wiedział, że jest homoseksualny?

– Wiedział, że ma skłonności homoseksualne.

– Czy Wesołowski miał tu jakiegoś innego przyjaciela oprócz księdza z Juncalito?

– Miał paru przyjaciół.

– Jakich?

– Ale mówisz o...?

– Przyjaciół kapłanów.

– Miał paru przyjaciół... (śmiech)".

CZĘŚĆ PIĄTA

WEEKEND W MODLNICY

6.11.2013, GODZINA 11.

Rozmawiam przez telefon, jednak widzę, że znajomy prokurator próbuje się do mnie dodzwonić. Rozłączam się i wybieram jego numer.

– Słuchaj. Właśnie przyszły materiały z Dominikany. Około trzystu stron, wszystko po hiszpańsku – mówi.

– To nie przysłali wam przetłumaczonych? – pytam.

– Nie. Wszystko po hiszpańsku, ale wygląda na to, że spełniają one wszystkie prawne wymogi. Teraz będziemy musieli to przetłumaczyć.

Gdy tylko się rozłączyliśmy, natychmiast dzwonię do redakcji i proszę, żeby jak najszybciej podali tę informację na czerwonym pasku.

Temat księdza G. znowu wraca, a najważniejsze pytanie to: Co znajduje się w materiałach i czy rzeczywiście obciążają one duchownego? Prokuratorzy powołują tłumaczy przysięgłych, żeby przetłumaczyli dokumenty. Każdy z nich dostaje część materiałów.

Wpadam na pomysł, żeby odwiedzić księdza G. w Modlnicy. Tak jak się umawialiśmy – w pierwszy wolny weekend. W duchu myślę, że może to jest właśnie ten moment, kiedy pęknie i zechce mi coś zdradzić. Przeszło mi nawet przez myśl, że może się przyzna.

Wojtek podtrzymuje zaproszenie. Umawiamy się, że przylecę w piątek, 15 listopada.

Samolot ląduje w podkrakowskich Balicach około dwudziestej drugiej, z lotniska do Modlnicy mamy z 10 minut samochodem. Jest cholernie zimno. Wojtek czeka na mnie tuż za halą przylotów. Ma na sobie ciemną kurtkę, czapkę i kaptur naciągnięty na głowę – od razu widać, że nie chce, aby ktoś go rozpoznał. Sam ledwo go odnajduję. Nie wygląda dobrze.

– Co u ciebie? – pytam.

– Czekam. Wiesz, teraz było trochę spokoju. Ludzie przywykli do tego, że tu jestem, więc już się tak nie gapią. Ale cały czas się boję, że ktoś mnie rozpozna, gdy jadę gdzieś dalej. Boję się wejść na stację benzynową. Jak już muszę, to zakładam okulary przeciwsłoneczne, czapkę albo kaptur – opowiada.

– A jak twoi rodzice?

– Wciąż to przeżywają, choć tyle czasu nic się nie wydarzyło, że może już będzie spokój – mówi z nadzieją w głosie.

– W zeszłym tygodniu przyszły materiały z Dominikany – przypominam.

– No właśnie, ciekawe, co w nich jest. Nic nie wiesz? – pyta.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że są teraz tłumaczone. Pewnie trochę to potrwa. Jest tego ponad trzysta stron – mówię.

– No to znowu się zaczniesz, jak to przetłumaczą – niepokoi się.

– Nie sądzę. Prokuratura jest szczelna w tej sprawie. Nic nie przecieka. Ale ty powinienesz wiedzieć, co tam jest – prowokuje.

– Tam może być wszystko – stwierdza.

Do domu wchodzimy po cichu, bo rodzice Wojtka już śpią.

– Mama przygotowała kolację. Może coś zjesz? – pyta.

– Chętnie – odpowiadam i idę rozpakować rzeczy.

Wojtek ulokował mnie w pokoju gościnnym vis-à-vis sypialni jego rodziców. Skromny przytulny pokój z widokiem na podwórko. Rozkładałam rzeczy, choć lekko podenerwowany zastanawiam się, jak rozpocząć rozmowę. Cały czas myślę, w jaki sposób najskuteczniej go podejść. Dziś teoretycznie mogę sobie pozwolić na więcej niż podczas wywiadu. Teraz mam znacznie więcej informacji.

– Jak było na Dominikanie? – pyta Wojtek.

– W porządku, ale dużo pracy.

– Coś się zmieniło w Juncalito?

– Tak, ale to już pewnie widziałeś w telewizji. Kościół odmalowali. Teraz jest pomarańczowy. Plebania stoi, jak stała. Nie wpuścili mnie jednak do środka. Carmen nie chciała rozmawiać, diakon podobnie. To on nie pozwolił nam wejść do domu – wspominam.

– Ciekawe czemu – zastanawia się Wojtek.

– Wiesz, Jimmy też nie chciał z nami rozmawiać. Z tego co wiem, bardzo rzadko pojawia się w wiosce. Teraz nie ma tam

mszy regularnie. Ale widziałem Carla. To taki nieśmiały chłopak, prawda? – zagaduję.

– He, he, he, bardzo śmiały ogólnie. Często dawał popalić – mówi.

Cały czas nie daje mi spokoju to, co padre Alberto zrobił z laptopem, który miał na Dominikanie, i z dwoma telefonami, których tam używał. Gdyby je przekazał prokuratorom, z całą pewnością mogliby stwierdzić, czy miał tam jakieś pedofilskie filmy lub zdjęcia albo czy takie oglądał. Właściwie to mógłby być dowód na jego korzyść, gdyby się okazało, że nic takiego tam nie ma. W końcu nikt inny tak dobrze nie wie, czy tam coś było, jak sam Wojtek.

– Nie mam ani laptopa, ani komórek – wyznaje.

– A co z nimi zrobiłeś?

– Sprzedałem.

– Gdzie sprzedałeś?

– Na targu, tu pod Krakowem.

– Komu sprzedałeś?

– A jakimś Ukraińcom?

– Masz umowę?

– No coś ty.

– Czyli nikt nie potwierdzi, że je od ciebie kupił?

– Nie sądzę. Piotrek, ja nie mam z czego żyć. Nigdzie nie pracuję, rodzice też. Mają emeryturę. Jestem księdzem. Nic nie mam. Żadnej pensji, nic. Ci z zakonu pytali, czy nic mi nie potrzeba, ale nie chciałem pomocy. I ten laptop, i te telefony to było starocie. Wziąłem za to wszystko kilkaset złotych na życie – przekonuje Wojtek.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że to pogarsza twoją sytuację? Myślisz, że prokurator uwierzy, że sprzedałeś dowody na targu?

– Nie miałem wyjścia. Z czegoś trzeba żyć – tłumaczy.

– Kiedy to sprzedałeś?

– A jakoś w czerwcu. Na początku tego wszystkiego – mówi.

Nie wierzę mu. Nawet idiota – wiedząc, że ma pod ręką coś, co może pośrednio świadczyć o jego niewinności – nie pozbyłby się dowodów dla kilkuset złotych. Oczywiście gdyby tam nic nie było, ale tego się już nigdy nie dowiem. Mam jednak wrażenie, że G. nie sprzedał ani telefonów, ani laptopa. Moim zdaniem

zniszczył sprzęt właśnie po to, by nikt nie mógł sprawdzić, co tam było.

– Piotrek, powiedz, co dalej ze mną będzie?

– No, na twoim miejscu nie spodziewałbym się teraz wezwania do prokuratury. Dopiero gdy przetłumaczą te materiały, zdecydują, co dalej robić. Być może będą musieli je uzupełnić albo nawet pojechać na Dominikanę, żeby osobiście i w obecności polskiego psychologa przesłuchać poszkodowanych. Jak już prokurator będzie wszystko wiedział, to podejmie decyzję. Ale jeśli będzie miał obciążający cię materiał dowodowy, to któregoś ranka przyjadą policjanci i cię zatrzymają. Zrobią przeszukanie i zawiozą cię do komendy – mówię zgodnie z prawdą.

– Przecież zgłaszam się na policję. Jestem na każde wezwanie. Myślisz, że mnie zatrzymają?

– Za te przestępstwa grozi dość wysoka kara. W takich przypadkach zwykle prokurator wystawia nakaz zatrzymania. Ale ja nie wiem, co na ciebie mają – dodaję.

– Bardzo się boję o rodziców. Jak oni to wszystko przeżyją... – mówi w pełni świadomy tego, co ma się zdarzyć.

Rano mama Wojtka przygotowuje śniadanie. W kuchni stoi mały telewizorek – cały czas włączone TVP Info.

– Tylko to oglądam. Rano wstaję i się zastanawiam, czy jak pójde do kuchni i włączę telewizor, to znowu czerwone paski z G. będą. Już jestem tym zmęczona. Tyle czasu to trwa i końca nie widać. Przecież gdyby był winny, toby już dawno po niego przyszli – twierdzi matka duchownego.

CO BĘDZIE DALEJ?

W tonie jej głosu słyhać, że liczył na moje potwierdzenie, że jej syn jest niewinny. Ja jednak mówię, że to nie koniec. Że kolejne czerwone paski pojawią się, gdy materiały z Dominikany zostaną przetłumaczone, a potem kiedy prokurator podejmie decyzję, co dalej robić. Staram się nie owijać w bawełnę. Wiem, ile już przeszli.

– A co tam mówią na Dominikanie? Był pan jakoś niedawno?
– wypytuje pani Elżbieta.

– Tam to już raczej wszyscy uwierzyli, że Wojtek jest winny. Trudno znaleźć kogoś, kto wierzyłby jemu, a nie dzieciakom – odpowiadam.

Zasmucona kobieta podaje mi herbatę. Do kuchni wchodzi Wojtek.

– Pojedziemy dziś do moich znajomych z Myślenic. Jak chcesz, to oni ci poopowiadają, jak to tu było, gdy przyjeżdżałem z Dominikańczykami. Gdzie kto spał. Sam usłyszysz, co oni o tym myślą – proponuje Wojtek.

Mężczyzna jest byłym strażakiem. Dzieciaki bardzo dobrze wychowane. Przychodzą się przywitać. Wchodzimy do pokoju gościnnego. Wojtka wszyscy traktują z atencją. Są dla niego bardzo mili, powiedziałbym nawet, że delikatni. Z tego, co się miało wydarzyć, raczej nieudolnie żartują. Przecież znają go tyle lat. Zresztą strażak był z synem na Dominikanie. Gdyby cokolwiek było nie tak, na pewno by zauważył.

Rozmawiamy trochę o sytuacji ekonomicznej na wyspie, o biedzie, o tych ludziach. O tym, co Wojtek tam zrobił i co jeszcze miał do zrobienia. Jego przyjaciele są przekonani, że prawda zwycięży i że okaże się, że to wszystko to tylko paskudna prowokacja, a Wojtek zostanie oczyszczony z zarzutów.

Po jakimś czasie dołączają do nas dwaj krakowscy księża. Gdyby ktoś mi nie powiedział, że to kapłani, w życiu bym się nie zorientował. Bardzo wygadani, ale skoncentrowani raczej na swoich krakowskich sprawach. W winę Wojtka nie wierzą, ale od tematu uciekają. Szybko schodzimy na rozmowę o świętej pamięci Janie Pawle II oraz Stanisławie Dziwiszu, metropolicie krakowskim.

Przed północą wracamy do Modlnicy. Nie udało mi się nic wyciągnąć z Wojtka. Jest bardzo ostrożny. Kupiłem piwo, próbowałem go namówić, żebyśmy się napili, ale odmówił. Podobnie jak pierwszego dnia. Trochę to niepodobne do kogoś, kto miał mieć w domu zawsze dwie butelki whisky i pić nawet w trakcie odprawiania mszy. Albo w ogóle nie pije, albo się boi, że po alkoholu za dużo powie – pomyślałem.

Rano Wojtek pokazuje mi mieszkanie swojego brata Grzegorza, starszego o sześć lat. Mieszka z żoną i dwiema córkami na pierwszym piętrze domu. To właśnie na chrzciny jednej z nich przyleciał ostatnio z Dominikany. Mieszkanie – z oddzielnym wejściem – jest świeżo wyremontowane.

– Ta część była dla mojego brata. Dół miał być dla mnie, ale ja byłem w Warszawie, a potem pojechałem na misję. Gdyby nie to wszystko, pewnie i tak nie wróciłbym do domu. Powinienem też wyremontować swoją część, ale pieniędzy nie ma, a teraz to i głowy bym do tego nie miał – tłumaczy.

Grzesiek po szkole pracował w Instytucie Fizyki Jądrowej w Krakowie. Był stolarzem. Jednak w pewnym momencie stwierdził, że w Polsce nie jest łatwo, i postanowił wyemigrować. Najpierw tralił do Szwecji, potem do Norwegii i Finlandii. Pracował tam w wesołym miasteczku. Do Polski wrócił w 2002 czy 2003 roku. Otworzył własne wesołe miasteczko, które cały czas prosperuje.

W domu Wojtka nigdy się nie przelewało. Mama z zawodu jest cukiernikiem, ale całe życie była kucharką. Ojciec pracował jako szklarz i stróż. Często nadużywał alkoholu. W domu wielokrotnie dochodziło do awantur. Zdarzało się, że używał przemocy w stosunku do żony. Wojtek fizycznie jest bardziej podobny do ojca. Ma jeszcze siostrę, ale jej nie poznałem.

W szkole podstawowej uczył się bardzo dobrze. Pierwsze klasy kończył z czerwonym paskiem. Później równolegle chodził przez trzy lata do szkoły muzycznej. Należał do harcerstwa i był ministrantem. W dzieciństwie chciał być księdzem. Pod koniec podstawówki przeżywał jednak fascynację wojskiem.

Potem poszedł do liceum. Nie zdał do drugiej klasy. Zgodnie z obowiązującymi wtedy zasadami nie mógł powtarzać roku. Przeniósł się do Niższego Seminarium Duchownego Księży Michałków w Wieliczce. Zamieszkał też w internacie. Tam uczył się już dobrze.

W liceum miał sporo kolegów. Spotykał się z dziewczynami. Zdarzyło się, że z trzema jednocześnie. Ale to związek z czwartą dziewczyną był najpoważniejszy. Trwał półtora roku. Myśleli o solne na serio, jednak nie uprawiali seksu. Związek się rozpadł, gdy zdecydował się pójść do seminarium.

Marzenia z dzieciństwa przetrwały: Wojtek swoją przyszłość widział tylko w armii lub w Kościele. O tej pierwszej nie miał co marzyć. Podczas wojskowej komisji lekarskiej okazało się, że ma niedomykalność zastawki serca, otrzymał więc kategorię E.

Zostało wyższe seminarium. Wybrał Kraków. Pierwszy rok był najtrudniejszy – nowicjat polegał na życiu w odosobnieniu. Wojtek mieszkał wtedy w celi zakonnej. Nie miał z tym jednak żadnych problemów. Później rozpoczął studia. W roku 2000/2001 został skierowany na praktyki pedagogiczne do specjalnego ośrodka szkolno- wychowawczego pod Warszawą.

CZĘŚĆ SZÓSTA

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Radosław Cieśliński, mniej więcej czterdziestoletni prokurator. Sprawa Wojciecha G. nie jest jego pierwszą sprawą przeciwko pedofilowi. Podobnie jak Luiza Liranzo ma spore doświadczenie. Podczas rozmowy opowiada, że dotąd tylko raz pedofil przyznał mu się do molestowania nieletnich. W przypadku padre Alberta nie liczył na to, że podejrzany się przyzna.

Cieśliński pracuje w wydziale śledczym, jednym z najbardziej elitarnych wydziałów Prokuratury Okręgowej.

– Nie prowadziłem tej sprawy od początku. Dołączyłem do zespołu w październiku, czyli ponad miesiąc po wszczęciu śledztwa – mówi pewnym tonem. – Zaczęliśmy pracę od drobiazgowego prześledzenia zawodowej drogi Wojciecha G. To rutynowe działanie.

Przełom w sprawie nastąpił w pierwszej połowie grudnia. Prokuratorzy zadbali jednak o to, by nic nie wyciekło do dziennikarzy. Wtedy też śledczy dostali przetłumaczony na język polski materiał dowodowy z Dominikany. Znalazły się tam zeznania kilkunastu chłopców, którzy oskarżali duchownego o molestowanie, oraz ich badania lekarskie, opinie psychologiczne, zeznania rodziców chłopców i inne ustalenia dominikańskich prokuratorów.

Na podstawie wyłącznie tych materiałów prokuratorzy mogliby postawić kilka zarzutów Wojciechowi G. Po analizie dokumentów zwrócili się do prokuratury dominikańskiej o uzupełnienie niektórych z nich.

Każda taka prośba wiązała się z co najmniej kilkutygodniowym oczekiwaniem na odpowiedź. Warszawscy śledczy zastanawiali się, czy pojechać na Dominikanę i osobiście przesłuchać niektórych pokrzywdzonych. Taki wyjazd wymagał jednak znacznych nakładów finansowych i ostatecznie z niego zrezygnowano.

– Nie stać nas na to było. Zwłaszcza że polscy śledczy mieli swoje ustalenia, które potwierdzały winę duchownego. Materiał z Dominikany też był bardzo wiarygodny. Nie mieliśmy wątpliwości, że podejrzany popełnił przynajmniej część zarzucanych mu czynów – mówi jeden z prokuratorów.

ZATRZYMANIE

– Stawiając zarzuty, musi mieć pan pewność, że materiał, którym pan dysponuje, obroni pan w sądzie. Musiałem też być pewny, że niezależnie od wyjaśnień Wojciecha G. zgromadzone przeze mnie dowody wystarczą na zastosowanie wobec podejrzanego aresztu tymczasowego – mówi prokurator Cieśliński.

Decydując się na zatrzymanie, Cieśliński nie miał wątpliwości, że duchowny dopuścił się molestowania co najmniej dwóch dominikańskich chłopców. I między innymi takie zarzuty zdecydował się postawić. Decyzję o ich przedstawieniu wydał już 13 lutego 2013 roku. Cztery dni później pojechał po G. osobiście, w asyście policjantów.

– Mieliśmy wszystko dobrze rozpracowane. Wiedzieliśmy, o której godzinie wstają domownicy, gdzie jest jego pokój. Nie chcieliśmy robić zamieszania. Pojawiliśmy się w Modlnicy o ósmej – opowiada Cieśliński. – Kiedy weszliśmy, był lekko zaskoczony, ale miałem też wrażenie, że czuje ulgę. Jakby ucieszył się, że to się już stało. Czuję, że był gotowy na spotkanie ze mną i dobrze przygotowany do składania wyjaśnień. Ja też się do tego przygotowałem. Powiem panu, że pierwszy raz miałem taki przypadek, że osoba, która nie jest jeszcze nawet oskarżona, udziela wywiadu, w którym odpiera zarzuty. Jemu ten wywiad zdecydowanie nie pomógł. Inaczej było ze mną. Obejrzałem go kilka razy, analizowałem wielokrotnie. Dzięki temu doskonale wiedziałem, jak się będzie tłumaczył i bronił. Była tylko jedna rzecz, której się nie spodziewałem...

Poranną wizytą policji i prokuratora zaskoczeni byli też rodzice Wojtka. Najbardziej mama, choć po zatrzymaniu syna to ojciec próbował popełnić samobójstwo. W samą porę bliscy go odnaleźli i udaremnili próbę.

– Dlaczego osobiście pojechał pan dokonać zatrzymania?

– Wie pan, ta sprawa była dość głośna. Od wielu lat pracuję z tymi samymi policjantami. Ufamy sobie. Jednak wiedziałem, że na miejscu mogą pojawić się dziennikarze, bo sprawa była wyjątkowo medialna. W takiej sytuacji chciałem osobiście z nimi porozmawiać – mówi. – Musiałem też zobaczyć, czy Wojciech G. ma na rękę znamię, które widziałem na dominikańskich fotografiach zabezpieczonych w jego komputerze. To była pierwsza rzecz, na którą zwróciłem uwagę po wejściu do jego pokoju. Znamię było. Byłby spory problem, gdyby go nie miał.

Prokurator szybko zdecydował o wysłaniu podejrzanego do Warszawy. Wraz z policjantami został w domu na przeszukaniu. Funkcjonariusze zabezpieczyli około dziesięciu zdjęć z jego prywatnego archiwum. Byli na nim różni chłopcy. Z domu rodzinnego księdza zabrali też rękawice bokserskie, stary aparat fotograficzny, telefony komórkowe i karty prepaidowe.

– Po co im te rękawice bokserskie? One były z autografem jakiegoś amerykańskiego pięściarza – pytała mnie matka księdza.

Sam się nad tym zastanawiałem. Podejrzewałem, że któryś z pokrzywdzonych wspominał o tych rękawicach.

ZDJĘCIE

18.02.2014, GODZINA 10, PROKURATURA OKRĘGOWA W WARSZAWIE.

Policjanci wprowadzają księdza do pokoju prokuratora Cieślińskiego. Obecny jest też mecenas Michał Szreniawa.

G. siada na krześle. Prokurator kładzie przed nim jedno ze zdjęć znalezionych podczas przeszukania jego domu w Modlnicy.

Nic nie mówi, tylko czeka na reakcję duchownego. Wojciech G. jest zdziwiony i zaskoczony. Jego twarz blednie. Zdjęcie ogląda też obrońca padre Alberta.

Prokurator Cieśliński stawia duchownemu zarzuty dotyczące między innymi molestowania seksualnego dwóch chłopców: Carla i Randy'ego. Podejrzany miał się dopuścić tych czynów w okresie od 2009 do 2013 roku. Zarówno w Polsce, jak i na Dominikanie.

Po wysłuchaniu zarzutów mecenas Szreniawa prosi prokuratora o pięciominutową przerwę. Chce naradzić się z klientem. Cieśliński zgadza się, ale zaznacza, że rozmowa musi się odbyć w obecności funkcjonariusza policji.

– Wtedy już wiedziałem, że Wojciech G. odmówi składania wyjaśnień – wspomina prokurator.

Prokuratorski nos nie zawiodł Cieślińskiego. Duchowny odmówił składania wyjaśnień i odpowiedzi na pytania. Liczył przy tym, że do rozprawy pozostanie na wolności. Tymczasem prokurator złożył wniosek o areszt tymczasowy.

Jeszcze tego samego dnia udaje mi się zaprosić Michała Szreniawę do udziału w programie „Dziś Wieczorem”. Nie było to proste, bo wcześniej wszystkim odmówił. Ostatecznie udało mi się go przekonać. O 19.57 był w studiu. Za wiele nie zdradził. Oświadczył, że jego klient nie przyznaje się do winy.

ARESzt

19.02.2013, GODZINA 11, SĄD REJONOWY DLA WARSZAWY MOKOTOWA.

W błysku fleszy, w towarzystwie tłumu dziennikarzy, policjanci w kominiarkach wprowadzają księdza na salę rozpraw.

Wojciech G. jest niepewny. Głos mu się łamie, a ręce złożone jak do modlitwy, trzęsą się, gdy kilka minut później wstaje z ławki. Nie patrzy w oczy sędziów. Ma świadomość, że od tego wystąpienia zależy jego przyszłość. Również to, czy na proces będzie czekał w domu, w otoczeniu bliskich, czy w więziennej celi. Sąd jednak bardzo rzadko zgadza się, by podejrzani o

pedofilię odpowiadali z tak zwanej wolnej stopy. Po pierwsze podejrzanemu grozi wysoka kara, po drugie ryzyko wpływania przez podejrzanego na poszkodowanych czy świadków jest za duże. Padre Alberto chwytą się jednak ostatniej deski ratunku.

Jedną z osób biorących udział w posiedzeniu sądu opowiadała mi, że Wojciech G. poprosił o wyznaczenie kaucji i dozoru policyjnego. Chciał nawet, by zamontowano w jego domu kamery, przez które mógłby być obserwowany. Podkreślał, że od czerwca przebywał w domu w Modlnicy. I że ze wstydu nawet z niego nie wychodził.

Podczas swojego wystąpienia zapewniał sąd, że nie mataczył, nie stwarzał problemów i na żądanie stawiał się w komisariacie. Mówił, że jemu też zależy na dokładnym wyjaśnieniu tej sprawy i nie zamierza uciekać. Wspomniał też o zdjęciu, które pokazał mu prokurator Cieśliński. Według niego dziecko, które jest na fotografii, samo wpadło na pomysł takiej zabawy.

Był skłonny nawet zamknąć się w zakonie w zamian za niestosowanie aresztu.

Po godzinie sąd podjął decyzję, że Wojciech G. spędzi najbliższe trzy miesiące w areszcie śledczym na Rakowieckiej w Warszawie.

– Nie mam wątpliwości, że jest winny – mówi mi jeden z prokuratorów, który widział akta sprawy. – Posprawdzaj miejsca, w których ksiądz pracował. Jak dobrze poszperasz, na pewno coś znajdziesz.

Najpierw jednak muszę jeszcze raz pojechać na Dominikanę. Od jednego ze znajomych dostałem informację, że udało mu się namówić kilka osób na oficjalne i mniej oficjalne rozmowy. Według niego poznam wiele wstrząsających szczegółów sprawy padre Alberta, a może i nuncjusza Wesołowskiego.

CZĘŚĆ SIÓDMA

RETROSPEKCJA

27.05.2013, MODLNICA, DOM RODZINNY WOJCIECHA G.

O 1.37 w nocy (na Dominikanie 7.37 rano) padre Alberto dzwoni do Sergia Antonio Rodrigueza, swojego dominikańskiego diakona. Kilka godzin wcześniej dostał informację z Dominikany, że prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie molestowania przez niego dzieci. Rozmowę rozpoczyna normalnie. Oczekuje, że diakon sam mu powie, co się dzieje na wyspie. Ale jego współpracownik milczy jak zakłęty.

– Czy to prawda, że ktoś rozpowiada plotkę, że gwałciłem dzieci i że one zawiadomiły prokuraturę? – nie wytrzymuje w końcu. Głos mu drży, ale stara się panować nad sobą.

– Nic takiego nie słyszałem – kłamie jak z nut diakon, który osobiście dowoził dzieciaki do prokuratury. – Kto ci o tym powiedział? – docieka Sergio.

– Zadzwoiła do mnie pewna osoba i powiedziała, że coś jest na rzeczy.

– Nic takiego nie słyszałem. Wracasz jutro do kraju? – podpytuje diakon.

– Nie wiem. Powiedziano mi, że zostanę aresztowany, jak tylko znajdę się na lotnisku – wyznał szczerze padre Alberto.

– No, jak nic się nie stało, to lepiej wróć.

– Sergio, a gdzie ty teraz jesteś?

– W Santiago.

– O której wracasz do Juncalito?

– Między dziesiątą a dwunastą w południe.

– Mam do ciebie prośbę. Wróć do wioski tym najbliższym transportem, o dziesiątej. Idź na plebanię i wyjmij twarde dyski z komputerów. Zabierz też bieliznę i ukryj to wszystko u siebie – poprosił padre Alberto.

27.05.2013, GODZINA 8, SANTIAGO.

Diakon zamiast jechać na plebanię poszedł do prokuratora, by poinformować, że ktoś uprzedził duchownego o oskarżeniach. Opowiedział o rozmowie telefonicznej, także o tym, o co prosił go padre Alberto.

Prokurator wiedząc, że duchowny ma wielu przyjaciół w wiosce, obawiając się, że ktoś prędzej czy później spełni jego prośbę i „posprząta” plebanię, natychmiast wydał nakaz przeszukania. Zgodnie z dominikańską procedurą musiał się na to zgodzić sąd. Zaczął się wyścig z czasem. Już następnego dnia rano na biurku prokuratora leżał podpisany nakaz przeszukania.

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ W JUNCALITO.

Na dziwne zachowanie Carla, jednego ze swoich uczniów, zwróciła uwagę nauczycielka przyrody w miejscowej szkole – trzydziestoletnia Celenia Familia. Chłopiec wyglądał tak, jakby nie wiedział, co się dzieje. Na lekcjach wydawał się nieobecny. Głowę chował w rękach leżących na ławce. Wcześniej nigdy się tak nie zachowywał. Zaniepokojona nauczycielka kilkakrotnie zapytała go, co się stało. Może źle się czuje? Carlo twierdził, że to nic takiego.

Po kilku dniach, kiedy sytuacja się powtarzała, Celenia podeszła do ławki chłopca po zajęciach. Byli już sami w klasie. Carlo uniósł głowę z ławki. Celenia zauważyła, że jego ciemnobrązowe oczy wypełnione są łzami.

– Mam problem, ale jego nie da się rozwiązać – powiedział uczeń.

– To niemożliwe. W życiu każdy problem można rozwiązać, tylko czasami trzeba poprosić kogoś o pomoc – powiedziała Familia i opuściła klasę, zostawiając go samego.

Tego wieczoru do domu nauczycielki przyszła koleżanka Carla. Nauczycielka zaprosiła ją do środka. Usiadły przy stole. Dziewczyna wytłumaczyła jej, dlaczego Carlo zachowuje się dziwnie.

Celenia nie mogła uwierzyć w tę historię. Była przerażona. Obiecała dziewczynie, że dopóki Carlo sam jej tego wszystkiego nie opowie, nie zdradzi nikomu tajemnicy.

Dwa dni później w szkole Carlo poprosił ją, by mu pomogła. Zapewnił, że opowie wszystko, co się wydarzyło. Umówili się po

lekcjach. Poza szkołą. Dotrzymał słowa, przełamał wstyd, choć wielu rzeczy nie potrafił nawet nazwać.

Wcześniej o tym nie mówił, ho się bał. Padre Alberto zastraszył go. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek puści parę z ust, rzuci klątwę na jego rodzinę i wszyscy po kolei umrą. Chłopak mu wierzył. Pamiętał, jak pewnego dnia na plebanii ksiądz przepowiedział, że zaraz spadnie deszcz, i rzeczywiście deszcz spadł. Według duchownego był to dowód, że potrafi przepowiadać przyszłość. Odtąd Carlo jeszcze bardziej bał się padre Alberta.

Celenia nie wiedziała, co zrobić. Zdawała sobie sprawę, że sama nie rozwiąże tego problemu. Wiedziała, że musi się nim z kimś podzielić. W końcu opowiedziała tę historię swojemu mężowi. Oboje uznali, że najlepiej będzie przedstawić sprawę na zebraniu grup Jedność, Siła i Bezpieczeństwo, której jej mąż był członkiem. Zanim to zrobiła, poprosiła Carla o zgodę na ujawnienie tych informacji. Chłopiec się zgodził.

Tydzień później odbyło się spotkanie grupy. To był jeden z najbardziej upalnych dni. W sali dwupiętrowego budynku zgromadziło się kilkunastu członków grupy. Upał nie dawał za wygraną. Lecz przede wszystkim emocje wywołane słowami nauczycielki podnosiły ciśnienie uczestników. Celenia nie miała problemów z publicznymi wystąpieniami, w końcu uczyła w szkole. A mimo to nie wiedziała, od czego zacząć opowiadać historię Carla. Głos jej drżał. Podobnie jak jej małe uczeń miała wątpliwości, czy ludzie uwierzą w te wręcz niewiarygodne informacje.

Nie wszyscy uwierzyli, jednak decyzja była oczywista. Postanowili sami porozmawiać z chłopcem i innymi ministrantami, którzy według Carla też byli molestowani przez duchownego. Jeśli chłopcy podtrzymają zarzuty, sprawa zostanie niezwłocznie oddana do prokuratury.

Te przesłuchania trwały kilka dni. I choć wszyscy byli w szoku, dzieci jedno po drugim przyznawały, że padre Alberto robił im obrzydliwe rzeczy.

23.05.2013, RANO, JUNCALITO.

Pod domem Carla zjawia się burmistrz Juncalito. To on zawiezie chłopca do prokuratury i to on będzie mu towarzyszył przy składaniu zawiadomienia. Carlo jest zdenerwowany. Wyprawa do Santiago potrwa co najmniej dwie godziny. Chłopiec przeczuwa, że nie wszyscy uwierzyli w to, co on powiedział o idealnym zdaniem większości mieszkańców duchownym. Do głowy przychodzą mu najgorsze rzeczy.

Przypomina sobie dzień, kiedy padre Alberto wyciągnął broń i przyłożył mu ją – wtedy jedenastoletniemu chłopcu – do skroni, mówiąc: Pamiętaj, że jeśli komuś o tym powiesz, to się z tobą policzę.

Miał tylko piętnaście lat i znów musiał odtworzyć w pamięci te wszystkie wydarzenia, o których starał się zapomnieć. Tymczasem znów trzeba się było z nimi zmierzyć. Tym razem w obliczu prokuratora. I kogo jeszcze? I ile razy jeszcze? Za każdym razem kiedy o tym mówił, przeżywał to tak, jakby się właśnie działo. Czuł grube, spocone łapska księdza na swoim ciele. Jego kilkundniowy zarost na swoim podbrzuszu i śliskie spojrzenia. Jego obrzydliwe sapanie. A potem widział go w sutannie, prawiącego morały w świętym miejscu. Jak on, piętnastoletni prosty chłopiec z ubogiej rodziny, miał się zmierzyć z samym Bogiem? Bo padre Alberto był dla nich Bogiem...

Wielki pałac prokuratury w Santiago wita chłodem, jakiego niewielu mieszkańców Dominikany zaznaje na co dzień. W budynku nie lepisz się od potu, a podmuchy klimatyzacji sprawiają, że czujesz się kimś wyjątkowym. Prokurator Liranzo ma gabinet na parterze. W jej pokoju Carlo zatapia się w ciemnobrązowym skórzanym fotelu. Wie, że to tylko chwila, a potem trzeba będzie wrócić do własnego życia. Czy warto iść na wojnę z Bogiem?

Prokurator Luiza Liranzo jest niezwykle ciepłym człowiekiem. Może dlatego, że sama wychowuje kilkunastoletniego syna. Sprawy pedofilii nie są jej obce. Prowadziła ich już kilka. Ciemne duże oczy, okrągła buzia i piękny uśmiech budzą zaufanie, zachęcają do powiedzenia jej prawdy. Całej prawdy.

Ta rzetelna i pracowita pani przesłuchiwała go w sprawie padre Alberta. Carlo instynktownie jej zaufał. Opowiedział, jak pewnego dnia padre Alberto zorganizował wycieczkę na plażę de Costambar, na którą pojechało czterdzieścioro dzieci. W związku z tym, że wyjazd planował na wczesne godziny poranne, dzieci zostały na noc na plebanii.

Padre Alberto zapytał na wieczornym zebraniu, kto chce spać z nim. Niespełna dziesięcioletni Carlo zgłosił się na ochotnika. Oprócz niego jeszcze jeden chłopiec. Carlo myślał, że będą spali we trzech. Niestety, duchowny miał inny pomysł. Tylko Carlo spał z nim w jednym łóżku.

Gdy zasypiał, poczuł, że ktoś go obmacuje. Otworzył oczy i zorientował się, że to padre Alberto dotyka jego penisa. Chciał natychmiast wstać z łóżka, ale padre Alberto przytrzymał go za ręce i powiedział: Siedź cicho, bo na podłodze jest inny chłopiec.

Potem ksiądz znów chwycił penisa chłopca i zaczął nim poruszać w dół i w górę. Powtarzał to wielokrotnie. Następnie odnalazł dłoń Carla, położył ją na swoim członku i zaczął nią poruszać, masturbując się.

– Obudziłem się, zanim wstało słońce. Padre Alberto złapał mnie i poprosił, żebym go pocałował w usta. Odmówiłem. On nalegał. Odmawiałem jeszcze kilka razy. W końcu wystarczyło mu, że pocałuję go w policzek. Zrobiłem to, żeby mieć święty spokój. Chciałem już jechać na wycieczkę – relacjonował chłopiec.

Kilka godzin później wszyscy byli już na playa de Costambar w Puerto Plata. Gdyby nie padre Alberto pewnie większość z nich nigdy nie widziałyby plaży. Biały piasek, biali turyści wylegujący się na leżakach z karaibskim mojito lub innymi bajecznie kolorowymi drinkami z palemką. Motorówki ciągnące za sobą dmuchane banany, a na nich zaśmiewające się białe dzieciaki. Tak, białe. Czarnych większości na to nie stać. Dlatego biały na Dominikanie zawsze jest gringo (to pogardliwe określenie białego). A każdy, kto się z nim zaprzyjaźni, podświadomie liczy na jakieś zyski. Bo przecież biały równa się bogaty. Nikt z nich nie rozumie, że często ten biały oszczędzał cały rok, żeby

przyjechać z rodziną na karaibskie wakacje. Nie. Biali to bogaty, a jak bogaty, to może i my będziemy coś z tego mieli.

– Kiedy stałem na plaży, padre Alberto zawołał mnie do wody – wspominał Carlo. – Ale ja mu odmówiłem, pamiętając słowa swojej mamy, żeby nie wchodzić za głęboko. A poza tym naprawdę obawiałem się wody. Bałem się, że się utopię. Nie umiałem pływać. Padre Alberto widząc, że nie chcę wejść, wyszedł z wody i ruszył w moją stronę. Kiedy to zobaczyłem, zacząłem uciekać przez plażę. Z piasku skoczyłem na murek. Za nim były palmy. Wspiąłem się na jedną z nich. Padre Alberto stanął na dole bezradny i zaczął mnie namawiać, żebym zszedł. Zapytał, czy mu ufam. Powiedziałem, że tak, bo przecież księdzu trzeba ułać. Zsunąłem się z palmy i poszedłem z nim. Gdy już byliśmy w głębokiej wodzie, przycisnął mnie do siebie. Poczulem jego penisa w zwodzie. Zapytał mnie, czy chcę tego. Powiedziałem, że tak, bo bałem się, że mnie zostawi i utonę – opowiadał Carlo.

Po mniej więcej miesiącu od tych wydarzeń padre Alberto przekonał Carla, by ten jednak pocałował go w usta. Wielokrotnie molestował seksualnie na plebanii. Potem zaczął go fotografować. Specjalnie dla niego kupował ekskluzywne – jak myślał chłopiec – ubrania. Najczęściej robił mu zdjęcia w garniturach. Czasami kazał zakładać blond perukę czy plastikowe obcisłe spodnie.

Prokurator Liranzo nie miała wątpliwości. Przepytывała chłopca jak pani w szkole. I z każdym kolejnym pytaniem musiała wysłuchiwać coraz bardziej obrzydliwych opowieści. Kilkakrotnie musiała przerywać przesłuchanie. Chłopiec podczas zeznawania parę razy się zmoczył. Często ze wstydu zakrywał twarz dłońmi.

Mając za sobą prowadzenie kilku pedofilskich spraw, wiedziała, że musi pytać szybko, zanim chłopiec się wycofa, nie przerywała więc przesłuchania.

– Kiedy miałeś ostatni seksualny kontakt z księdzem?

– Trzy czy cztery miesiące temu. W styczniu 2013 roku – odparł Carlo.

To była wycieczka do Jarabacoa. Rano odbyło się na plebanii zebranie. Kiedy Carlo przyszedł do padre Alberta po zakończeniu spotkania, ten zmusił go do założenia pod spodnie damskiej bielizny. Kazał mu założyć stringi i zagroził, że jeśli tego nie zrobi, nie pojedzie na wycieczkę. Chłopiec się zgodził, bo nie bardzo wiedział, co mógłby powiedzieć rodzicom, aby wytłumaczyć, dlaczego duchowny nie zabrał go ze sobą.

W Jarabacoa Carlo starał się trzymać cały czas z grupą. Duchowny widział, że chłopiec go unika, więc go nie nagabywał. Ale tylko do czasu. Wszystko się zmieniło, gdy wrócili do wioski.

Duchowny zawołał go do swojego pokoju. Podeszedł do niego od tyłu. Najpierw chwycił go za jeansy. Potem wsunął pod nie rękę i chwycił za stringi. Wyciągnął je spod spodni. Chłopiec skrzywił się z bólu. Padre Alberto zmusił go, żeby ukląkł i odbył z nim stosunek oralny. Duchowny ejakulował na koszulkę chłopca.

Liranzo była już pewna, że padre Alberto jest winny. Wiedziała jednak, że czeka ją ciężka praca. Natychmiast skierowała Carla na badania lekarskie. Zdawała sobie sprawę, że mogą one nic nie wykazać, zwłaszcza że chłopiec nie ukrywał, że ostatnie kontakty seksualne miał z księdzem przed kilkoma miesiącami.

ROZPOZNANIE KLINICZNE:

Wydział Medycyny Sądowej działając na wniosek Jednostki ds. Przemocy w Rodzinie i przestępstw na tle seksualnym:

Zgodnie z pismem z dnia 23/05/2013 zaświadczam, że przeprowadzono badanie narządów pozapłciowych u Carla..., płeć męska, wiek 15 lat. W chwili obecnej nie zaobserwowano widocznych pourazowych uszkodzeń ciała i/lub zmian patologicznych. W badaniu proktologicznym ustalono obniżone napięcie zwieracza odbytu, ze spłaszczeniami bruzd okołoodbytniczych. Na tym oględziny zakończono. Wnioski: badanie seksuologiczne, a dokładnie badanie doodbytnicze u małoletniego wykazało cechy obniżonego napięcia i spłaszczenie bruzd.

Carlo nie miał pewności, czy ludzie mu wierzą. Prokurator Liranzo dała mu jednak do zrozumienia, że wie, że to prawda. Ale to nie z Liranzo miał mieszkać – wiedział, że ludzie w jego rodzinnej wiosce Juncalito prędzej uwierzą księdzu niż jemu.

Liranzo po kilku godzinach rozmowy z Carlem postanowiła, że następnego dnia przesłucha kolejne dzieci, które twierdzą, że padre Alberto je molestował.

24.05.2013, SANTIAGO.

Rano w prokuraturze zeznaje piętnastoletni Maikel. Opowiada, że w roku szkolnym 2012/2013 mieszkał na plebanii. Jego rodzinny dom jest bardzo daleko od szkoły. Gdyby nie możliwość spania u księdza, nie mógłby do niej uczęszczać. A więc od poniedziałku do piątku śpi w domu padre Alberta z innymi małoletnimi. Według niego mniej więcej po czterech tygodniach, odkąd pierwszy raz nocował na plebanii, ksiądz zaczął nalegać, żeby spał z nim w jednym pokoju. On jednak zawsze odmawiał.

Prokurator zaczyna dociekać, dlaczego odmawiał. Chłopiec twierdzi, że kiedy tylko przyjechał na plebanię, inny chłopiec – Carlo – powiedział mu, żeby się pilnował, gdyby padre Alberto mówił coś o spaniu z nim. Radził, żeby się nie zgadzał, bo jak twierdził, ksiądz go „dotykał”.

Maikel wspomniał też, że w tym czasie wielokrotnie widział, jak padre Alberto sadza sobie na kolanach małych chłopców. Takich w wieku do dziesięciu lat.

Kolejnym przesłuchiwanym był Marcel, lat szesnaście.

Opowiedział, że jako dziesięciolatek zaczął służyć do mszy. Kiedy miał około trzynastu lat, padre Alberto zaproponował mu wyjazd do swojego ojczystego kraju, do Polski. Chłopiec zgodził się. Był w Polsce ponad miesiąc. W tym czasie zamieszkiwał w domu padre Alberta pod Krakowem. Mieszkał w pokoju duchownego. Były tam dwa łóżka. W większym spali duchowny i Carlo, a w drugim, mniejszym łóżku spał on. Marcel wspomniał też, że i ostatnio padre Alberto proponował mu wyjazd do Polski, ale on odmówił, bo nie podobało mu się tam.

Marcel jednak nie był do końca szczery z prokuratorem. Nie opowiedział o tym, co przytrafiło mu się podczas pobytu w rodzinnym domu padre Alberta.

27.05.2013, MODLNICA

Padre Alberto nie może sobie znaleźć miejsca w swoim własnym domu. Niby wszystko wie, ale nie daje mu to spokoju. Nie ma pewności, czy ktoś robi mu głupi żart, czy mówi prawdę. Sam wie, co robił z tymi dzieciakami. Nie daje jednak wiary, że ktoś mógłby to wszystko opowiedzieć. Niby czemu. Przecież nikomu nie zrobił krzywdy.

Jest zdenerwowany. Nikt z nim nie może nawiązać kontaktu. Chodzi od pokoju do pokoju, dzwoni i raz za razem z kimś rozmawia. Braulio, Ambioris i Dalvin, czyli Dominikańczycy, którzy przyjechali z nim na urlop, nie mają pojęcia, co się dzieje. Wszyscy zaczynają się pakować, bo następnego dnia mają samolot na Dominikanę. Padre Alberto też się pakuje, ale w głowie układa wciąż różne scenariusze. Nadal nie ma pewności, że ktoś w wiosce się wygadał. Diakon co prawda zaprzeczył, że dzieje się coś dziwnego. Był przekonujący. Jednak ktoś uprzedzał, żeby nie wracać.

Kim był ów tajemniczy ktoś? Próbowałem to rozgryźć na kilka sposobów. Sprawdzałem w wielu źródłach. Nikt nie chciał się przyznać, choć jestem pewien, że rozmawiałem z tym, kto ostrzegł padre Alberta. Zacząłem wypytywać w dominikańskiej prokuraturze i wśród mieszkańców Juncalito.

Na pewno był to Polak. Zatem krąg osób się zacieśnił. Wiele wskazuje na to, że ostrzegł go duchowny, choć wcale nie musiało tak być. Na pewno przez telefon rozmawiali po polsku. Przełożeni Wojciecha G. wiedzieli o aferze, zanim wyszła na światło dzienne. Trudno jednak nie pamiętać o tym, że jego kontakty z Jimmym Drabczakiem nie były przyjacielskie. Mało prawdopodobne, żeby to on uprzedził go o nadchodzącym huraganie. Któryś z polskich konsulów honorowych? Co prawda przyjaźnił się z Markiem Piwowarskim z Puerto Plata, jednak wątpię, by wiedział on o czynnościach prowadzonych przez prokuraturę, a tym bardziej o tym, co miał robić duchowny.

Padre Alberto był jednak sprytniejszy, niż się wszystkim wydawało. Wykorzystał chwilę nieuwagi swoich dominikańskich współpodróżników. Kiedy zauważył, że korzystający z jego laptopa Ambioris zalogował się na Facebooku, poprosił go, by zwrócił mu laptopa. Właściwie to prawie mu go wyrwał, nie pozwalając wylogować się z portalu społecznościowego.

Zabrał komputer i poszedł do swojego pokoju. Zamknął drzwi. Wiedział, że jest w parafii jedna osoba, która – jeśli rzeczywiście toczy się postępowanie w prokuraturze w Santiago – będzie musiała o nim wiedzieć. Ambioris miał tę osobę wśród znajomych na portalu. Otwiera wiadomości Facebooka Ambiorisa i pisze do Luz Rodriguez. Prywatnie to nauczycielka śpiewu, która uczy chórzystów z kościoła w Juncalito. Zawodowo jest prokuratorem. Pracuje w prokuraturze w Santiago...

Podszywając się pod Ambiorisa, pyta, co się dzieje w Juncalito i o co chodzi, bo dotarła informacja, że ktoś oskarża padre Alberta o molestowanie dzieci. Prokuratora myśląc, że naprawdę rozmawia z Ambiorisem, prosi go, by powiedział księdzu, aby się z nią pilnie skontaktował.

Padre Alberto, nadal udając Ambiorisa, mówi, że nie ma duchownego, i nadal wypytuje o sprawę i o to, czy to prawda. W końcu uzyskuje potwierdzenie. Jeden z chłopców zeznał, że padre Alberto go molestował. Śledztwo prowadzi prokuratura w Santiago. Tylko tyle, ale padre to wystarcza. Doskonale wie, co robił na Dominikanie od siedmiu lat. Wie, że nie może tam wrócić.

Po rozmowie z prokuratorką kasuje swoją korespondencję z nią, by Ambioris nie zorientował się, z kim i o czym rozmawiał.

Później już tylko pozoruje swój wyjazd. Telefonicznie przebukowuje swój bilet na 6 czerwca. Odbiera wypożyczony samochód, którym mają dojechać na lotnisko Okęcie w Warszawie. Pakuje do niego swoje walizki, choć wie, że nie wróci na wyspę. Wie, że jest spalony. Zastanawia się tylko, co Carlo powiedział prokuratorom. Ile ten chłopiec może pamiętać? I czy to naprawdę Carlo? A może jakiś inny chłopiec?

28.05.2013.

Skoro świt padre Alberto, Braulio, Ambioris i Dalvin wsiadają do samochodu i ruszają na warszawskie lotnisko. Dominikańscy jeszcze nic nie wiedzą o planach duchownego. Są święcie przekonani, że za kilka godzin wsiądą razem do samolotu i wrócą na Karaiby.

Padre Alberto obmyśla wytłumaczenie, dlaczego nie wsiądzie do samolotu.

W hali odlotów na warszawskim Okęciu podchodzą do okienka, żeby się odprawić i nadać bagaże. Padre Alberto odwraca się do Braulia i wręcza mu kopertę z biletami. W drugiej podaje mu paszporty Ambiorisa i Dalvina.

– A w tej kopercie masz zgodę na podróżowanie z nieletnimi. I wystawione przeze mnie oświadczenie, że możesz z nimi podróżować. Ja się bardzo źle czuję i muszę zostać w Polsce. Na Dominikanę wrócę szóstego czerwca – mówi duchowny.

I dla pewności jeszcze raz powtarza:

– Gdyby ktoś was pytał, dlaczego nie przyleciałem, to powiedzcie, że źle się poczułem.

Wszyscy byli zaskoczeni jego decyzją. Najbardziej Braulio, który wiedział, że za kilka godzin będą musieli przesiąść się we Frankfurcie. Braulio nie znał innego języka niż ojczysty hiszpański. Trochę obawiał się, czy ze wszystkim sobie poradzi. Na przesiadkę nie mieli dużo czasu.

Padre Alberto odprowadził ich jeszcze do punktu kontroli bezpieczeństwa. Kiedy zniknęli mu z oczu, wyszedł z lotniska, wsiadł do samochodu i ruszył z powrotem do Modlnicy.

28.05.2013, GODZINA 12.10, JUNCALITO.

Pod plebanię podjeżdża samochód, z którego wysiada prokurator w asyście policjantów. Wcześniej musiała skontaktować się z diakonem, ho ten już czekał przed drzwiami. Był też Denny ze szwadronu ratunkowego. Tylko on i gospoia księdza mieli klucze od plebanii.

Śledczy pokazali Denny'emu, diakonowi i gospodyni nakaz przeszukania podpisany przez sędziego i poinformowali, że mogą oni uczestniczyć w czynnościach.

Wszyscy założyli gumowe rękawiczki, policjant wyciągnął aparat i poszli prosto do pokoju padre Alberta. Każdą rzecz, którą zabierali z domu duchownego, najpierw fotografowali.

Były wśród nich komputery stacjonarne, laptop, kilka pendrive'ów, kilkanaście kart pamięci, karty sim do telefonów komórkowych, aparat komórkowy i fotograficzny, 82 płyty CD, 21 zdjęć i 17 filmów w pudełkach.

W sejfie śledczy znaleźli i zabezpieczyli kilka paszportów. Były to dokumenty dzieciaków, które już były w Polsce lub miały do niej pojechać. Skonfiskowali też pistolet walter 380 koloru czarnego i magazynek z sześcioma nabojami, drugi pistolet power line z magazynkiem z siedmioma sztukami metalowych kul oraz pudełko na amunicję z 55 sztukami naboji.

Banknoty: 100 złotych, 100 dolarów, 100 pesos, 10 euro, kupon loteryjny, 6 kartek pocztowych, grę planszową monopoly, warcaby.

W łazience duchownego znaleźli 10 nakładek na palce z tworzywa silikonowego w kolorach niebieskim, fioletowym, jasnożółtym, czerwonym i zielonym.

Kiedy otworzyli drzwi jednej z szalek, ich uwagę zwróciły niezliczone ilości bielizny. W większości były to stringi:

- żółte z czerwono-białą gumką,
- czerwone, błyszczące, z zapięciem z przodu,
- białe stringi rozmiar 10,
- ciemnoniebieskie stringi rozmiar 12,
- czarne rozmiar 10,
- czerwone, 2 szt.
- jasnoróżowe,
- z białą szeroką gumą i koronkową wstawką oraz
- cienkie spodnie z lycry,
- białe body wrappers for boys 7–8 lat,
- srebrny kostium jednoczęściowy połyskliwy,
- maska na twarz typu kominiarka czarna,
- ochraniacz na genitalia, 3 szt.

Wśród zabezpieczonych przedmiotów znalazło się też sporo lekarstw, między innymi specyfik na choroby weneryczne. A także różnego rodzaju olejki zapachowe.

Po spisaniu protokołu, sfotografowaniu zabezpieczanych rzeczy i domu śledczy zakończyli czynności. Wychodząc po kilku godzinach, powiedzieli gosposi i diakonowi, że od tej pory nikt nie może wchodzić do budynku plebanii.

Przedmioty zabezpieczone przez śledczych w domu duchownego potwierdziły, że sprawa jest poważna. Do czego duchowny używał gumowych nakładek na palce? Po co mu była chłopięca bielizna?

Śledczy zdawali sobie sprawę, że to początek długiej, trudnej drogi. Na najważniejszą ekspertyzę trzeba było poczekać kilka dni. Otworzyć zabezpieczone komputery i zobaczyć, co jest na ich dyskach.

Wiedzieli, że padre Alberto nie dowie się o przeszukaniu, bo odbyło się ono dokładnie wtedy, gdy samolot, którym miał wracać, leciał nad Oceanem Atlantyckim.

Po przeszukaniu prokurator nie miała wątpliwości, że musi zatrzymać duchownego, gdy tylko zejdzie z pokładu samolotu. Wie, że samolot z księdzem na pokładzie za kilka godzin wylądjuje na międzynarodowym lotnisku w Puerto Plata. Nie ma czasu do stracenia. Wysłała tam policjantów i prosi o wsparcie miejscową policję. Na niecałą godzinę przed lądowaniem samolotu linii Condor lotnisko jest już obstawione. Policjanci czekają w radiowozach i nieoznakowanych samochodach. Kilku z nich rusza do hali przylotów. Tam informują o akcji celników.

W chwili lądowania boeinga policjanci są w pełnej gotowości. Trudno im ukryć emocje. Funkcjonariusze w jednym z radiowozów włączają sygnał, czym zwracają na siebie uwagę osób oczekujących na przylot samolotu. Na lotnisku w Puerto Plata wśród oczekujących jest Marek Piwowarski, konsul honorowy. Jeszcze przed wyjazdem padre Alberta do Polski obiecał mu, że odbierze go z lotniska i podrzuci do Junealito.

Kiedy Braulio, Ambioris i Dalvin wchodzi do hali przylotów, natychmiast podchodzą do nich funkcjonariusze w cywilu. Zabierają im aparaty fotograficzne. Od razu zaczynają nerwowo przeglądać zdjęcia. Nie znajdują nic podejrzanego. Szybko orientują się, że nie ma z nimi padre Alberta. Wypytują o niego. W hali robi się małe zamieszanie. Ludzie przystają, obserwują niecodzienną sytuację. Śledczy nie mogą uwierzyć, że duchowny nie przyleciał.

Jeden z policjantów dowodzących akcją wybiera numer prokurator Liranzo. Przekazuje jej niespodziewaną informację, że ksiądz nie przyleciał na Dominikanę. Prokurator poleca przywieźć do prokuratury wszystkich, którzy byli z nim w Polsce. Żąda, by świadkowie aż do przyjazdu do budynku prokuratury nie mieli już ze sobą kontaktu.

Braulio, Ambioris i Dalvin są całkowicie zdezorientowani i zaskoczeni, gdy kilku rosyjskich mężczyzn rozdziela ich i prowadzi ze sobą.

Wszyscy trzej w asyście policji jadą do Santiago. Tam każdego z osobna przesłuchuje prokurator Jenny Berenice Reynoso.

– Zabrali mi paszport, do dzisiaj go zresztą nie odzyskałem. Najpierw pytali, dlaczego padre Alberto nie wrócił na Dominikanę. Wyjaśniłem im, że on nam się nie tłumaczył, ale kazał powiedzieć, że źle się poczuł, i zapewnił, że wróci szóstego czerwca – mówi Ambioris.

Chłopak nie miał zielonego pojęcia, co się stało, i nie wiedział, dlaczego jest przesłuchiwany w prokuraturze. A śledczy nie odpuszczał. Wypytywał, co duchowny robił w Polsce, z kim się spotykał, gdzie spali Braulio i Ambioris, gdzie spał Dalvin. Ambioris odpowiedział, że cały czas spędzał z siostrzeńcem Dalvinem i nie spuszczał go z oczu. Że w domu padre Alberta spali w jednym pokoju.

Powoli zaczął rozumieć, że sprawa jest poważna. Prokurator od początku traktował go bardziej jak podejrzanego niż świadka. W pewnym momencie zapytał wprost, czy Ambioris odbywał stosunki seksualne z duchownym. Chłopak zaprzeczył, ale śledczy nie dawał za wygraną. To była już druga wizyta Ambiorisa w Polsce, podobnie jak Braulia. Prokuratorzy na wstępnym etapie śledztwa założyli, że zarówno Braulio, jak Ambioris mogli pomagać duchownemu, a przynajmniej akceptować fakt, że molestuje on nieletnich chłopców. Wydawało się niemożliwe, by Ambioris, sekretarz parafii, czy Braulio, szef szwadronu ratunkowego, nie zorientowali się przez tyle lat, że padre Alberto molestuje chłopców.

Prokurator, który przesłuchiwał Ambiorisa, był coraz bardziej niemiły. Po kilku godzinach zaczął mu nawet grozić, że

jeśli nie powie prawdy, pójdzie do więzienia. Przez kilkadziesiąt minut zadawał Ambiorisowi pytania, po czym robił przerwę. Po kilkunastu minutach kontynuował przesłuchanie.

W końcu skierował Ambiorisa na badanie lekarskie. Chciał mieć pewność, że chłopak nie odbywał ostatnio stosunków analnych. Badanie potwierdziło wersję Ambiorisa. Dopiero wtedy prokurator postanowił zwolnić go do domu, ale następnego dnia ponownie musiał stawić się w prokuraturze.

Braulio również zaprzeczał, że wiedział o pedofilskich skłonnościach duchownego. Podobnie jak Ambioris opowiadał, co się wydarzyło w Polsce, kto, gdzie i z kim spał. Z kim się spotykali i jak spędzali czas. Musiał też wytłumaczyć, kto wyraził zgodę na podróż do Polski siedmioletniego Dalvina.

Po kilkunastu godzinach lotu i kilkugodzinnych przesłuchaniach Braulio, Ambioris i Dalvin wrócili do domów, do Juncalito. i dopiero tam dowiedzieli się, co się stało.

Wioska była podzielona. Większość osób nie wierzyła w wersję Carla. I wazali, że chłopak zmyśla, że jest to forma zemsty na duchownym. Nie było tajemnicą, że Carlo nie jest grzecznym chłopcem, padre Alberto zawsze jednak stawał w jego obronie, przymykając oko na występki nastolatka. Traktował go lepiej niż innych. Ludzie to widzieli. Rodzice Carla uważali nawet, że właśnie dlatego rówieśnicy nie przepadali za ich synem.

Z kolei ci, którzy wierzyli chłopakowi, uznali, że Braulio, prawa ręka księdza, nie mógł o niczym nie wiedzieć. Mało tego, byli przekonani, że zarówno on, jak i Ambioris współpracowali z duchownym i dawali mu alibi.

Sprawa padre Alberta szybko stała się sprawą numer 1. Prokuratorzy nie tracili czasu. Zlecali następne ekspertyzy i badania. Wzywali kolejnych świadków. Ta sprawa była priorytetowa.

29.05.2013, PROKURATURA W SANTIAGO.

Ambioris i Braulio stawili się w prokuraturze zgodnie z poleceniem prokuratora Reynosa. Ostatnia wizyta w Polsce nie

była jedyną. Po raz pierwszy wyjechali z księdzem w 2010 roku. Dociekliwość prokuratora była uzasadniona. Zeznania Carla, który opisywał swój pierwszy w życiu wyjazd za granicę, były równie przerażające i szokujące, co obrzydliwe.

7 sierpnia 2010 roku padre Alberto, czterech nieletnich i dziesięcioro dorosłych, w tym jego gospodyni Carmen, poleciało do Polski. To były długie wakacje (trwały miesiąc i jednaście dni), plan wycieczki bardzo napięty. Miejscem docelowym była Modlnica, ale duchowny organizował też wycieczki do wielu okolicznych miejscowości. Czasami były nawet kilkudniowe, jak ta do Zakopanego. Padre Alberto namówił krakowskich strażaków, by zorganizowali kilka szkoleń dla dorosłych Dominikańczyków, którzy służyli w szwadronie ratunkowym.

Carlo bardzo chciał pojechać do Polski. Chociażby dlatego, żeby choć raz wyjechać z Juncalito, z którego nigdy nie wyściubił nawet czubka nosa. Już sama podróż samolotem była czymś niewyobrażalnym. I to nie przelot czterdziestominutowy, tylko prawie piętnastogodzinny, z przesiadką. Kiedy padre Alberto zaproponował mu wycieczkę, uszczęśliwiony Carlo pobiegł od razu do domu spytać ojca, czy zgodzi się na taki wyjazd. Ten wiedząc, że wycieczkę organizuje ksiądz, zrobił to bez namysłu.

Carlo nie mógł się doczekać wakacji. Radość, że zobaczy coś poza górami i plantacjami kawy, po prostu go roznosiła. Wiedział, że wyjazd jest formą nagrody. Nagrody za to, co robił z duchownym. Nie podobało mu się to, ale przecież to ksiądz, a księdzu się nie odmawia.

Choć podróż z Dominikany do Europy jest męcząca, po przylocie do Polski Carlo nie czuł w ogóle zmęczenia. Lot samolotem tak mu się podobał, że chętnie latałby nim na okrągło. Kiedy dojechali do Modlnicy, najpierw poszli całą grupą do domu Wojtka. Dla Carla, Marcela i Ambiorisa to był punkt docelowy. Padre Alberto zaplanował już wcześniej, że to właśnie oni będą spali w jego domu. Carlo w jego pokoju i jego łóżku. Marcel także w jego pokoju, ale w drugim, nieco mniejszym łóżku. A Ambioris zamieszkał w przyczepie kempingowej stojącej na podwórku.

Już pierwszej nocy padre Alberto zaczął dotykać Carla. Chłopiec próbował się z tego jakoś wymigać, mówiąc, że jest zmęczony, chce mu się spać, ale padre Alberto nie dawał za wygraną. Masturbował nastolatka i kazał się masturbować. Przytulał się do niego i dotykał swoim penisem jego ciała. Trwało to kilkanaście lub kilkadziesiąt minut, potem Carlo mógł wreszcie zasnąć.

Każdej kolejnej nocy było jednak gorzej. Padre Alberto posuwał się coraz dalej. Zmuszał Carla do coraz bardziej obrzydliwych rzeczy. Drugiej nocy wymusił na nim stosunek oralny. Leżąc w łóżku, wsunął swojego penisa do ust nastolatka. Podobnie zrobił z jego penisem. Pewnej nocy próbował siłą doprowadzić do stosunku analnego. Carlo się sprzeciwił. Stanowczy opór sprawił, że ten wcześniej nieustępliwy mężczyzna zrezygnował. Zadowolili się masturbacją i seksem oralnym.

W dzień świecił przykładem. Zajmował się szkoleniami. Pokazywał Dominikańczykom Polskę – Jurę Krakowsko-Częstochowską, Kraków. W niedzielę chodzili do kościoła. Padre Alberto nie mógł nachwalić się swoich podopiecznych z Dominikany.

Pewnego dnia wieczorem Carlo poprosił o coś do picia. Był już w łóżku. Padre Alberto przyniósł mu szklanekę wody z sokiem. Kiedy to wypił, poczuł się bardzo źle. Zaczęło mu się kręcić w głowie, obrazy się zlewały. Zapamiętał tylko obraz padre Alberta bardzo wolno zmierzającego do łóżka. Ksiądz miał na sobie tylko bokserki. Przez cały czas się uśmiechał. To nie był normalny śmiech. Padre Alberto śmiał się szyderczo. Carlo widział tylko jego białe zęby i zarost nad ustami. Był pewny, że jest już blisko, siada na łóżku... I wtedy się ocknął.

Świtało. Nic nie pamiętał, ale czuł, że stało się coś dziwnego: w ciągu kilku, może kilkunastu minut od wypicia wody z sokiem stracił przytomność. Nie pamiętał, co się potem wydarzyło. Tylko ten uśmiech oprawcy tkwił w jego głowie. To był ostatni obraz, jaki zapamiętał.

Zapytał księdza, co się stało wczoraj. Padre Alberto powiedział, że nic. Absolutnie nic się nie stało.

Chłopiec nie czuł się dobrze. Nie mógł jeść i pić. Miał zawroty głowy. Tego dnia wyjechali do Zakopanego. Wszyscy cieszyli się

tą wycieczką, tylko Carlo był przybity. Zupełnie jakby mu coś zaszkodziło. Jakby coś zjadł. Ale tylko on miał problemy. Zawroty głowy nie przechodziły.

Po południu zaczął wymiotować. Padre Alberto zaniepokoił się. Pytał o samopoczucie, dotykał jego czoła, sprawdzając temperaturę. Wydawało się, że chłopiec nie ma gorączki.

Jednak wieczorem Carlo poczuł się jeszcze gorzej. Padre Alberto, nieco spanikowany, postanowił pojechać z nim do szpitala. Trochę się obawiał, wiedząc, co robił z chłopcem, ale szybko sobie wytłumaczył, że szanse na to, że ktoś w zakopiańskim szpitalu rozmawia po hiszpańsku, są niewielkie. A Carlo po angielsku nie potrafił powiedzieć ani słowa.

Choć chłopak nie miał ubezpieczenia, pielęgniarka wysłała ich do dyżurującego pediatry, wysłuchawszy wzruszającej historii o przyjeździe Dominikańczyków do Polski. Padre Alberto tuż przed wejściem do izbą przyjęć włożył nawet koloratkę.

Carlo trafił w ręce doświadczonej lekarki. Od razu zleciła wykonanie badania krwi i moczu. Chłopiec opowiedział o swoich dolegliwościach. Padre Alberto przetłumaczył wszystko na polski. Lekarka zauważyła, że pacjent jest odwodniony i osłabiony. Zaleciła kroplówkę. Powiedziała też, że dobrze byłoby, żeby Carlo na wszelki wypadek został na noc w klinice. Nie spodobało się to księdzu, ale nie było wyjścia. Duchowny postanowił więc nawiązać bliższy kontakt z lekarką, wzbudzić jej zaufanie. Opowiedział, że jest misjonarzem i na co dzień mieszka na Dominikanie, a teraz przyjechał na wakacje. Wspomniał o biedzie w rodzinnej wsi Carla i o tym, że dla tych dzieciaków wyjazd za granicę jest wyjątkowym przeżyciem. Lekarka słuchała księdza z zaciekawieniem. Pacjentów na nocnym dyżurze było akurat niewielu, więc ksiądz miał czas sprytnie wkupić się w jej łaski. W końcu poczuł się na tyle pewnie, że postanowił zaryzykować i poruszyć trudny temat.

– Pani doktor, niech pani się nie dziwi, jeśli Carlo będzie sprawiał wrażenie osoby nieśmiałej. Ten chłopiec był w przeszłości molestowany. Jest więc bardzo nieufny w stosunku do obcych. Gdyby był jakiś problem, zostawię numer swojej komórki, proszę od razu dzwonić – powiedział padre Alberto, który prawdopodobnie nie do końca ufał chłopakowi.

Nie wzbudziło to podejrzeń pani doktor. Następnego ranka chłopiec został wypisany ze szpitala. Zawroty głowy i wymioty zniknęły, a kroplówki dały mu zastrzyk energii.

Historia Carla, jego choroba i opowieść duchownego o tym, że biedny chłopiec padł w przeszłości ofiarą pedofilskich gwałtów, wzruszyły lekarkę. Wypisując Carla ze szpitala, poprosiła księdza o numer konta, na który mogłaby wysyłać chłopcu co jakiś czas drobną kwotę. Padre Alberto podyktował numer rachunku. Nie tylko lekarka, która zajmowała się Carlem, ale i jej koleżanka, poruszona historią chłopca z Dominikany, wysyłały co miesiąc sto złotych każda. Przez trzy lata.

Padre Alberto szybko zapomniał o chorobie Carla. Kiedy tylko wrócili do Modlnicy, ponownie zaczął go molestować. Tym razem Carlo udawał że śpi. Był niewzruszony. Wtedy padre Alberto wstał z łóżka i podszedł do Marcela. Oświadczył, że musi przeprowadzić test, czy chłopiec może już mieć dzieci. Marcel protestował, ale padre Alberto jak zawsze nie dawał za wygraną. W końcu Marcel ustąpił. Darzył kapłana zaufaniem.

– Wcale nie spałem – wspomina Carlo – tylko z zamkniętymi oczami słuchałem, co robi padre Alberto. Najpierw powiedział Marcelowi, żeby wyobrażał sobie kobiety. Wziął prezerwatywę i nałożył ją na penisa Marcela. Zaczął nim poruszać w górę i w dół.

Potem ksiądz zdjął chłopcu prezerwatywę i wziął do ust jego penisa. Po chwili wyszedł z prezerwatywą do łazienki. Kiedy wrócił, powiedział, że Marcel zdał test i już może mieć dzieci.

Tym razem Carlo się wywinął. Jednak potem noc w noc musiał spełniać zachcianki księdza. Wielokrotnie podczas pobytu w Polsce duchowny próbował doprowadzić do stosunku analnego z nieletnim, ale Carlo zdecydowanie mu się sprzeciwiał.

Po powrocie na Dominikanę sytuacja prawie się nie zmieniła. Padre Alberto wykorzystywał Carlo przy każdej okazji. Jednak odtąd co miesiąc Padre Alberto dawał chłopcu 1000 pesos. Czasami też kupował mu jakieś ubrania. Natomiast eleganckie

garnitury tylko mu wypożycza! – najczęściej do zdjęć. To było jego kolejne ulubione zajęcie.

Padre Alberto mógł godzinami siedzieć przed komputerem. Wtedy zamykał się w swoim pokoju na klucz i nikogo nie wpuszczał. Nawet Carla. Nikt nie wie, co wówczas robił.

Padre Alberto fotografował Carla wiele razy. Zrobił mu dziesiątki, setki, tysiące, a może nawet kilka tysięcy zdjęć. W różnych sytuacjach.

Zdjęcia robione przez padre Alberta różniły się od tych, jakie kochający rodzice robią swoim pociechom. Według chłopców były jakieś dziwne. Zawsze musieli coś na siebie wkładać albo scenografia była jakaś dziwna.

Carlo miał setki zdjęć w blond peruce. Ale nigdy żadnego z nich nie dostał. Ksiądz pokazywał mu je najwyżej w komputerze. Co dalej z nimi robił? Carlo nie wie.

Duchowny kazał mu też wkładać stringi.

– Dziwne były te majtki, takie sznureczki otoczone paskiem, który owijał się wokół pasa – wspomina Carlo. – Bardzo obcisłe.

W nich padre Alberto lubił go fotografować najbardziej.

– Często poprawiał mi penisa w tych majtkach. Mówił, że źle leży. Że jak on go poprawi, to będzie ładniej na zdjęciu wyglądał. Podchodził, zamykał oczy, dotykał mojego członka i powoli przesuwał go w inną stronę. Chyba tylko po to, żeby mnie dotknąć – zastanawia się Carlo.

Czasami Carlo musiał wkładać strój gladiatora. Tylko do zdjęć. Nawet mu się to podobało. Czuł się wtedy jak aktor z amerykańskiego filmu. Padre Alberto sadzał go na wielkim fotelu częściowo pokrytym skórą. Chodził dookoła i robił zdjęcia. Czasem kazał unosić nogi albo je rozkładać.

Takie sesje odbywały się najczęściej na plebanii. Czasami za tło służył gigantyczny obraz z wizerunkiem papieża Jana Pawła II.

Ani Ambioris, ani Braulio nie wiedzieli, co Carlo powiedział prokuratorom. Nie mieli pojęcia, że padre Alberto robił z nim takie rzeczy.

Nie zamierzali niczego ukrywać. Opowiedzieli więc ze szczegółami o swoich wyjazdach do Polski.

Nie wyobrażali sobie nawet, co ksiądz wyprawiał nocami z najmłodszymi uczestnikami wycieczki.

CZERWIEC 2013, SANTIAGO, JUNCALITO.

Prokuratorzy nabierali wiatru w żagle. Tomy ich akt rosły z dnia na dzień. Obciążających padre Alberta zeznań było coraz więcej. Zmowa milczenia została przełamana. Cały czas czekali na ekspertyzy zawartości komputerów i twardych dysków. Co one kryją? Czy coś na nich znajdą? Czy są tam twarde dowody, które pomogą im połączyć zeznania pokrzywdzonych z nagrany na dyskach materiałem? I czy na którymś z nich uda się rozpoznać księdza, który gwałcił dzieci? Czy chociaż będą tam jakiegokolwiek materiały z nieletnimi z wioski czy z samym duchownym?

W Juncalito nastroje nie były najlepsze. Zamiast padre Alberta msze odprawiał teraz Jimmy Drabczak. Początkowo wydawało się, że próbuje dystansować się od spekulacji i plotek. W końcu jednak podczas kazań zaczął nawoływać, żeby za bardzo nie wierzyć dzieciom, bo one mają bujną wyobraźnię. Przypominał, że część wiernych była bardzo blisko padre Alberta. I skoro ci, którzy byli najbliżej, nie zauważyli nic podejrzanego, to może to wszystko jest zwykłym pomówieniem.

To zrobiło złe wrażenie na mieszkańcach Juncalito. Choć połowa z nich wierzyła w niewinność padre Alberta, to druga połowa się sprzeciwiła. Nie chciała mieć księdza, który nie znając sprawy, bronił kolegi z zakonu. Wybuchł kolejny bunt. Na spotkaniu grupy Jedność, Siła i Bezpieczeństwo część osób zażądała, by Drabczak nie przyjeżdżał więcej do wioski i nie odprawiał już mszy.

W końcu prokurator Luiza Liranzo dostała raport od informatyków oraz filmy i zdjęcia zabezpieczone na komputerach padre Alberta. Ich liczba była przerażająca: 91 tysięcy zdjęć przedstawiających głównie nagie dzieci – chłopców i dziewczynki. Wiele z nich w pozycjach seksualnych. Dzieci w wyzywającej bieliźnie i bez bielizny, z wypiętymi pośladkami. Na niektórych zdjęciach widać było ręce osób, które je dotykały. Wiele też było zdjęć chłopców w garniturach, w kolorowych perukach i spodenkach z lycry.

Prokuratorzy dokładnie oglądali każde zdjęcie kilka, a nawet kilkanaście razy. Na żadnym zdjęciu z nagim lub „dotykanym” nieletnim nie było twarzy padre Alberta. Widzieli tylko męskie sylwetki lub ręce zarejestrowane aparatem fotograficznym.

Wśród zdjęć było wiele fotografii Carla. To był dla prokuratorów kolejny dowód na to, że chłopiec nie zmyśla. Na zdjęciach Carlo w peruce, tylko w bieliźnie, siedzący w fotelu. Na innym w tej samej blond peruce występuje sam padre Alberto. Prokuratorzy rozpoznają też Dalvina. Tego ośmiolatka, który kilka tygodni temu wrócił z wycieczki do Polski. Znajdują kilkadziesiąt jego zdjęć. Niemal każde o charakterze pornograficznym. Na jednym chłopiec jest w małym różowym garniturze, na innym w stringach z wypiętymi pośladkami, na kolejnym ktoś dotyka jego członka, na jeszcze innym ma nóż wsadzony między pośladki.

Pośród tych tysięcy zdjęć w oczy rzuca się ponad 300 zdjęć kilkuletniego chłopca w samych stringach. Zrobione klatka po klatce. Ktoś instruował go, jak ma stanąć: bokiem, tyłem, schylić się do ziemi, wypiąć pupę.

Może to świadczyć o tym, że autor tych zdjęć się nimi wymieniał, handlował bądź dzielił nimi w Internecie. Prokuratorzy szybko wysyłają wnioski do wszystkich dominikańskich banków z pytaniem, w których z nich miał konto Wojciech Waldemar G. Chcą dokładnie prześledzić transakcje duchownego.

Oczywiście wśród zdjęć były fotografie padre Alberta, ale te nie budziły podejrzeń. Na jednym głaszcze psa przed swoim domem, na innym tłumaczy coś dzieciakom.

Śledczy mieli nadzieję, że natrafią na jakiś ślad, oglądając 400 filmów z komputerów księdza. Jak orzekli biegli, część filmów została ściągnięta z Internetu. To właśnie te najbardziej obrzydliwe, na których mężczyźni uprawiają seks z nieletnimi. Na żadnym z nich nie było duchownego. Ale znaleziono też prywatne filmy. Prokuratorzy rozpoczęli ich analizę. Oglądali dokładnie. Klatka po klatce, próbując znaleźć twarz osoby, która stoi za kamerą.

To, co informatycy znaleźli w komputerach padre Alberta, zmusiło prokuratorów do zmiany taktyki śledztwa. Do tego czasu dysponowali zeznaniami kilkorga małoletnich z Juncalito. Na

zabezpieczonych w komputerach zdjęciach i filmach widzieli co najmniej kilkadziesiąt dzieci. Od razu nasuwały się pytania: Skąd są te dzieciaki? Czy wszystkie mieszkają w Juncalito? Czy autorem tych zdjęć jest padre Alberto? Czy może tylko niektórych?

Liranzo dowiedziała się o skandalicznych kazaniach ojca Drabczaka. Postanowiła wysłać do wioski specjalny zespół psychologów. Wtajemniczyła ich w sprawę i poinformowała o swoich oczekiwaniach. Chciała, by przeprowadzono z mieszkańcami rozmowy o molestowaniu seksualnym. Poprosiła psychologów, by uświadamiali mieszkańców, że molestowanie jest złe, uczyli, jak reagować na podobne przypadki, jak rozmawiać z ofiarami i ich rodzinami.

Mildred Dolores Mata, jedna z psychologek, obejrzała wszystkie zabezpieczone zdjęcia i filmy. Część z nich wydrukowała i spakowała w dużą papierową kopertę. Miała specjalne zadanie. Podczas rozmów z rodzicami i mieszkańcami miała zidentyfikować, a potem odnaleźć dzieci z fotografii.

Prokuratura wystąpiła również do przełożonych Jimmy'ego Drabczaka, aby zabronili mu odprawiać mszę w Juncalito i komentować prowadzone przez nich śledztwo.

Mildred i jej koledzy najpierw rozmawiają z osobami dorosłymi, które były bliskimi współpracownikami padre Alberta. Przede wszystkim z diakonem. Ma nadzieję, że rozpozna on część dzieci ze zdjęć.

– Na pokazanych zdjęciach widzę młodszego z braci R. Ma na sobie różowy garnitur, jest też na zdjęciu na plebanii w pozie pornograficznej i na zdjęciach z nożem między pośladkami. Na zdjęciach też widzę drugiego z braci R. Rozpoznaję także Carla, który ma na sobie blond perukę. Widzę też zdjęcie, na którym padre Alberto założył tę samą perukę.

– Wie pan, gdzie te zdjęcia zostały zrobione?

– Widać pokój padre Alberta, jego łazienkę, fragment jadalni oraz pokój położony na pierwszym piętrze plebanii.

– Pokażę panu kilka filmów. Proszę rozpoznać osoby.

– W łazience położonej obok pokoju padre Alberta znajduje się chłopiec o imieniu Dalvin, nagi, a męska ręka go masturbuje. Widać przez moment, jak osoba przypominająca sylwetką padre Alberta wychodzi z łazienki i zostawia nagiego Dalvina, po czym wraca z kartonem mleka.

Diakon Sergio rozpoznał najwięcej dzieci. Podał psychologom ich adresy.

Kilkoro dzieci rozpoznał też Pedro Tomas Espinal zwany Pepo, pracownik urzędu i członek grupy Jedność, Siła i Bezpieczeństwo, również wieloletni bliski współpracownik padre Alberta. Dwukrotnie był z nim w Polsce. W kilka dni pedofilskie zdjęcia ogląda wiele osób z Juncalito. Część z nich rozpoznaje dzieci z wioski, niektórzy dzieci z okolic. Psychologowie współpracują też z nauczycielami ze szkoły. Jest duża szansa, że rozpoznają dzieci, które uczyli.

Po kilku dniach Mildred miała już pokaźną liczbą adresów dzieciaków, które być może stały się ofiarami księdza. Jednak wszystko trzeba było zweryfikować. Jej praca polegała na codziennym pukaniu do drzwi. Czasami musiała jechać kilka godzin, by znaleźć rodziców i sfotografowane dziecko.

W trakcie tych podróży Mildred dowiedziała się wielu istotnych rzeczy, o których prokuratorzy nie mieli pojęcia. Kiedy z jednym z chłopców – Jeremym – szła w odwiedziny do nauczycielki, przyznał otwarcie, że jego też padre Alberto molestował. Chłopiec miał przydomek Manguera, co po polsku znaczy Szlach – to właśnie padre Alberto nadał mu taki pseudonim. Podobno, jak twierdził Jeremy, gdy przymierzał portowy ochraniacz na genitalia, któryś z jego rówieśników zobaczył, że jego penis jest długi, i powiedział o tym duchownemu.

Koledzy Jeremy'ego przedstawili Mildred inną wersję tej historii. Według nich pewnego dnia padre Alberto ustawił ministrantów w szeregu i każdemu zmierzył penisa. Potem miał stwierdzić, że członek Jeremy'ego jest najdłuższy i nadał mu pseudonim Manguera. Od tego czasu wszystkie dzieci tak go nazywały.

Mildred długo przeszukiwała wioskę i jej okolice. Nie znalazła wszystkich dzieci z fotografii i filmów. Czasami rodzice, których dzieci były na zdjęciach i miały seksualny kontakt z duchownym, odmawiali współpracy. Tak było w co najmniej kilku przypadkach. Rodzice tłumaczyli, że nie chcą, by ich dziecko wytykano palcami i wyśmiewano jako molestowane przez księdza. Odmawiali też terapii, którą proponowała Mildred. Chcieli uporać się z problemem w rodzinnym gronie.

– Naprawdę nie wiem, jak padre Alberto mógł to robić. Byłem członkiem straży pożarnej. Mam trójkę dzieci. Spędzałem z nim bardzo dużo czasu. Kiedy prokuratorzy pokazali mi zdjęcia, rozpoznałem swojego synka. Jak bardzo musiał być bezczelny i pewny siebie, że robił to nawet z moim dzieckiem – opowiada mi Randy.

CZERWIEC 2013, POLSKA.

1 czerwca Wojciech G. zostaje wezwany do siedziby zakonu w Krakowie przez generalnego przełożonego zgromadzenia michalitów Kazimierza Radzika. Na tym samym spotkaniu – ku zaskoczeniu padre Alberta – pojawia się ksiądz Jimmy Drabczak. Kazimierz Radzik przekazuje G. dokument o zawieszeniu we wszystkich czynnościach kapłańskich. I nakazuje mu powrót na wyspę, mówiąc, że ma na miejscu stawić czoła oskarżeniom.

Jednak padre Alberto odmawia powrotu na Karaiby. Mówi, że chce być sądzony w Polsce. Obawia się, że na Dominikanie może zostać zabity.

Kilka dni później padre Alberto może przeczytać o sobie w „Gazecie Wyborczej”. Dziennikarze informują o polskim księdzu z Dominikany podejrzanym o pedofilię.

Przez cały ten czas Wojciech G. przebywa w swoim rodzinnym domu. Wielokrotnie, korzystając z Internetu, kontaktuje się z dominikańskim prawnikiem, który ma go reprezentować na wyspie. Jednak prokuratura nie dopuszcza go do sprawy i nie zgadza się na wgląd w akta.

LIPIEC, SIERPIEŃ 2013, JGNCALITO.

Podczas wizyt w Juncalito Mildred zaprzyjaźniła się z rodziną Carla, ale też z samym chłopcem. On jako pierwszy został objęty

terapią. Jego rodzina również. Stan chłopca powoli się poprawiał, ale zdarzały się wahania nastrojów. Ludzie w wiosce często traktowali go jak trędowatego. Carlo po złożeniu zawiadomienia w prokuraturze dwukrotnie chciał popełnić samobójstwo. Znalazł oparcie w modlitwie. W rozmowie z Bogiem prosił, żeby pomógł mu zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło. Pozwolił mu normalnie żyć.

Rodzice Carla też nie mogli się uporać z tym, co ich dotknęło. Przez jakiś czas myśleli nawet o wyprowadzeniu się z wioski. Chcieli zamieszkać w Santiago. Mieli do siebie żal, że nie dostrzegli tego, co ich syn wielokrotnie sygnalizował.

Matka Carla niemal codziennie po lekcjach wyganiała syna do kościoła.

– Idź do duchownego. To taki dobry człowiek.

– Mamo, to wcale nie jest dobry człowiek – mówił ściszym głosem chłopiec.

Ona myślała, że nie chce mu się chodzić do kościoła, bo rówieśnicy się z niego naśmiewają.

– Mówili, że padre Alberto sobie go upatrzył – wspomina.

Nikt wtedy jednak nie miał żadnych podejrzeń. Chłopiec chodził na plebanię, żeby nie denerwować rodziców. Czasami szedł w góry, spędzał tam kilka godzin, po czym wracał do domu, jakby szedł prosto z plebanii.

Padre Alberto robił różnego rodzaju zdjęcia. Często też dostawał na to zgodę rodziców. Najpierw fotografował nieletnich w garniturach. Dzieciaki opowiadają, że przywoził je za każdym razem, kiedy wracał z urlopu w Polsce. Miał tam kontakt z panią z agencji modeli, która podobno płaciła mu za zdjęcia chłopców, a potem umieszczała je w gazetach dla modeli albo w kalendarzach.

Padre Alberto prosił rodziców małoletnich o zgodę na takie sesje. Najczęściej tę zgodę dostawał. Niektórzy z rodziców brali nawet udział w jego sesjach. Żeby się uwiarygodnić, kilka razy zorganizował w kościele wystawy zrobionych przez siebie zdjęć. Czasami rodzicom chłopców wręczał 500 albo 1000 pesos, od razu po sesji albo po powrocie z urlopu w Polsce. Mówił, że po przekazaniu zdjęć otrzymuje pieniądze. To utwierdzało

nioletnich w przekonaniu, że skoro rodzice dają na coś zgodę, to nie może być nic złego. Przecież rodzice nie pozwoliliby krzywdzić swoich dzieci. Wielokrotnie pod pretekstem wykonania zdjęć do kalendarza padre Alberto wzywał dzieciaki i urządzał sesje pornograficzne.

Mildred na bieżąco sporządzała raporty i przekazywała je prokuratorom. Śledczy byli zajęci mozolnymi, wyczerpującymi i czasochłonnymi analizami pedofilskich zdjęć i filmów. Szukali czegoś, co będzie jednoznacznym dowodem na to, że zdjęcia i filmy nagrywał padre Alberto. Jednocześnie wzywali do prokuratury kolejnych świadków. Najpierw zidentyfikowane na fotografiach i filmach dzieciaki.

CONNOR (LAT 13)

„– Wiesz jaki jest powód twojej wizyty tutaj?

– Tak, bo wyszło na jaw, że padre Alberto gwałcił małoletnich.

– Czy padre Alberto robił ci zdjęcia?

– Tak, robił mi zdjęcia w kamizelce i slipkach. Slipki były z bardzo delikatnego materiału.

– Gdzie robił te zdjęcia?

– Robił je w swoim domu.

– Ile razy padre Alberto robił ci zdjęcia?

– Tylko jeden raz.

– Dawał ci za to pieniądze?

– Dał mi pięćset pesos. Rodzice nie wiedzieli nic o zdjęciach.

– Gdzie cię dotykał?

– Dotykał mojego penisa, on mnie masturbował. Tylko on mi to robił.

– Gdzie to dokładnie było?

– W łazience w jego domu. Prosił mnie, żebym nikomu o tym nie mówił”.

YADIEL (LAT 9)

„– On przynosił ubrania, a ja je zakładałem. Kupował ubrania w Polsce i przysyłał mi je tutaj. Te ubrania były jak przebranie, na przykład krótkie rzeczy przylegające do ciała, tak jakby z

gumy. Wojciech G. vel Alberto G. ustawiał mnie przed sobą ze skrzyżowanymi rękami i to wszystko.

– Ile razy cię fotografował?

– Cztery razy.

– A rodzice o tym wiedzieli?

– Tak, on rozmawiał z tatą, żeby pozwolił mu robić takie zdjęcia, i dawał takie pieniądze. Pewnego dnia Wojciech G. vel Alberto G. dał mi pięćset pesos, żebym dał je tacie”.

ASHLEY (LAT 10)

„– Czy Alberto G. robił ci zdjęcia?

– Tak.

– Jakiego rodzaju ubranie miałeś na sobie na zdjęciach?

– Byłem w garniturze, w marynarce, stroju do surfingu chroniącym od wody.

– Gdzie miało miejsce to, o czym mówisz?

– W pokoju, na plaży i w łazience.

– Czy Alberto G. dawał ci pieniądze za to, że pozwalałeś się fotografować?

– Tak, dawał mi pieniądze, jakieś trzy tysiące pesos.

– Czy kiedykolwiek pan Wojciech G. vel Alberto G. dotykał cię?

– Dotykał mojego penisa.

– A gdzie to miało miejsce?

– Na plebanii”.

HASIEL (LAT 13)

„Ksiądz Alberto G. powiedział, że zrobi mi zdjęcia, abym pojawił się w gazecie w Polsce jako model.

Robił mi zdjęcia w swoim pokoju, czasami byli przy tym inni chłopcy. Raz dotknął mi penisa, powiedział, że źle leży i że on mi go ułoży, żeby dobrze było go widać. To było wtedy, gdy poprawiał mi garnitur, żeby zrobić mi zdjęcie. Ja się źle z tym czułem, miało to miejsce dwa razy. Za drugim razem powiedział, że chce mi zrobić zdjęcie z penisem w wzwodzie i dotknął mojego penisa. Ja miałem czarne krótkie spodnie, on włożył swoją rękę, ja nie miałem majtek, bo to były spodenki kąpielowe, on zaczął mnie masturbować, aż penis osiągnął wzwód, a potem

zrobił mi zdjęcie. Za zdjęcia płacił mi trzy tysiące pesos dominikańskich za kilka zdjęć. Płacił, kiedy wracał ze swoich podróży do Polski.

Pewnego razu powiedział mi, że jest pewna lekarka w Polsce, która prowadzi badania na skałę światową. I powiedział mi, że mam się masturbować, żeby zobaczyć, ile spermy wydzielę, ale ja tego nie zrobiłem, bo uznałem to za dziwne, i po tym zajściu już nie wróciłem, żeby robić zdjęcia. To było tego dnia, kiedy wyprowadzałem jego psa na spacer, bo on mi płacił miesięcznie pięćset pesos. Wytrzymałem miesiąc. On chciał, żebym przyszedł następnego dnia, żebym się masturbował, ale ja nie poszedłem”.

ANTHONY (LAT 11)

„– Czy wiesz, co robi padre Alberto?

– Tak, on gwałci dzieci.

– Wiesz, jaki jest powód twojego przyścia tutaj?

– Tak, bo padre Alberto zgwałcił Carla.

– Kto robił ci zdjęcia?

– Wojciech G. vel Alberto G.

– Jakiego rodzaju ubrania miałaś na sobie na zdjęciach?

– Byłem w ubraniu, a jeden raz w slipkach.

– Gdzie robił ci zdjęcia?

– W slipkach na plebanii, w jego pokoju, a w ubraniu w kościele.

– Ile razy to się zdarzyło?

– Dwa razy”.

Prokuratorzy jeszcze raz przesłuchali ośmioletniego Dalvina. Chłopiec potwierdził, że padre Alberto robił mu zdjęcia. Te w garniturach wyjściowych zawsze w obecności ojca lub wujka. Jednak dwa razy, kiedy chłopczyk był sam z księdzem, ten zrobił mu inne zdjęcia.

Podał mu stringi i kazał je włożyć. Potem go fotografował. Mówił, że zdjęcia ukażą się w gazecie. Nawet dał mu 500 pesos. Za drugim a zarazem ostatnim razem padre Alberto polecił włożyć inne stringi, a do ręki dał mu plastikowy nóż. Po czym kazał mu włożyć go między pośladki. Najpierw jednak pokazał

mu, jak to zrobić. Chłopiec wykonał polecenie, a padre Alberto zrobił zdjęcia.

Podczas tego samego przesłuchania Dalvin potwierdził, że podczas pobytu w Polsce cały czas spał ze swoim wujkiem Ambiorisem, który nigdy nie zostawiał go samego.

FRAGMENT ZEZNAŃ OJCA DALVINA:

„– Zezwolił pan, by Wojciech G. vel Alberto G. pojechał do Polski z pana małoletnim synem Dalvinem?

– Tak, gdyż Wojciech G. vel Alberto G. powiedział mi, że ta podróż ma na celu zrobienie mu zdjęć do gazet, ale nic w zamian za to nie dostałem.

– Ile pański syn Dalvin miał wtedy lat?

– Kiedy pojechał do Polski miał osiem lat.

– Chcę, żeby sprawiedliwości stało się zadość i by padre Alberto zapłacił za to, co zrobił chłopcom z Juncalito, wspólnocie, która mu ułała, a on nas oszukał. Pył dla nas jak Bóg”.

FRAGMENT ZEZNAŃ MATKI CONNY’EGO, JEDNEGO Z POKRZYWDZONYCH CHŁOPCÓW:

„– Mój syn zaczął chodzić do kościoła w styczniu 2013 roku. Każdego dnia, kiedy wracał ze szkoły po obiedzie, mówił mi: Mamo, idę do duchownego. Ja odpowiadałam: Idź, bo darzyłam księdza zaufaniem, i on szedł tam na plebanię na całe popołudnie.

– Syn opowiadał pani coś o zachowaniu księdza?

– Oczywiście, mówił, że to bardzo dobry człowiek. Oj Boże, ale tak naprawdę nie był dobry. Przekupił chłopaka, dawał mu tablet, dawał mu telefon komórkowy, aby sobie pograł, zabierał go na przechadzki, gdzie chciał.

– Czy syn mówił pani, że ksiądz robi mu zdjęcia?

– On nigdy mi nie mówił o zdjęciach, ale powiedział, że zaczął obmacywać jego części ciała. Zaczął ruszać jego członkiem do góry i do dołu i pytać, czy mu się to podoba. Syn mówił mu, że nie, że to go bardzo bolało.

– Kiedy i gdzie miało miejsce to dotykanie?

– Na plebanii, oczywiście na plebanii, bo tam wszystkie dzieci się z nim spotykały. Po tym wszystkim mój syn jest bardzo

nerwowo, agresywny. Niegrzecznie odzywa się do mnie i do rodzeństwa. Nie radzi sobie w szkole”.

Przesłuchanie Conny'ego w specjalnym pokoju z weneckim lustrem rejestrowały kamery. Jedenastoletni chłopiec siedzi lekko skulony przy stoliku. Naprzeciwko niego młoda kobieta, psycholog. Wyjaśnia mu, na czym będzie polegało przesłuchanie. Tłumaczy, że za tą szybką jest kilka osób, które pewnie będą chciały zadać kilka pytań. I że to ona będzie mu te pytania przekazywała. Chłopiec opowiada chaotycznie – to co mu się właśnie przypomniało:

„– Ksiądz Alberto łąpał mnie za penisa, obmacywał mnie tam. dobił to około dziesięciu razy. (Wykonuje ruchy mówiące o tym, że go masturbował – opisuje psycholog). On mi powiedział, żebym nikomu o tym nie mówił, ani mojej mamie, nikomu, i... wziął moją rękę i położył ją na swoim penisie. Byli też inni chłopcy, oni w salonie, a ja w pokoju z nim. On mnie obmacywał. Ksiądz Alberto łąpał mnie za penisa i ciągnął go do dołu. Raz pojechałem z nim do Jarabacoa na paralołnie. Skakać na paralołni. On tam przygotowywał jedzenie i jak byliśmy sami. to mnie obmacywał.

– Kiedy mu mówiłeś, że ci się nie podoba, to co on robił.

– Nie. Milczał.

Możesz pokazać na laleczce, jak on ci to robił?

(Conny łapie się za głowę zawstydzony – notuje psycholog)”.

Poszkodowanych dzieci przybywało każdego dnia. Czternastoletni Charlie znał padre Alberta niemal od początku. Odkąd ksiądz pojawił się w wiosce. On sam miał wtedy niespełna dziesięć lat. Pewnego dnia padre Alberto zaproponował mu, że zrobi mu zdjęcia dla agencji modeli. Kazał włożyć krótkie spodnie. Po sesji wręczył mu 500 pesos. Innym razem za zdjęcia w eleganckim garniturze dał mu 1000 pesos. Kiedy chłopiec miał dwanaście lat, zaczął mu robić inne zdjęcia. Ubierał go na przykład w strój do nurkowania. Potem rozpiął przedni suwak i dotykał członka. Następnie tylny suwak. Tych spotkań było wiele. Charlie nie pamięta ile. Kojarzy je jedynie ze strojów, które duchowny kazał mu wkładać. Kiedyś wyciągnął spodnie z lycry

do gry w bejsbol, potem znowu go dotykał, ale – jak opowiada chłopiec – tym razem dotykał go dłużej niż za pierwszym razem. Potem go fotografował w tych spodniach z lycry. Miał też sesję w różowych stringach – duchowny znowu go dotykał, a potem robił zdjęcia.

Ci, którzy odrzucali zboczone awanse duchownego, byli skazani na eliminację z życia parał ii, nie uczestniczyli w spotkaniach na plebanii, nie mogli korzystać z Internetu czy oglądać telewizji. Niektórzy po tym, gdy duchowny po raz pierwszy próbował ich dotykać, sami przestawali chodzić do kościoła. Innym w bezwzględny sposób dawał do zrozumienia, że nie są już mile widziani.

Kiedy jeden z chłopców nie zgodził się, by ksiądz dotykał jego członka podczas podróży samochodem, ten zatrzymał auto i kazał mu się przesiąść do tyłu. Gdy chłopiec wysiadł z samochodu, padre Alberto szybko ruszył, zostawiając go na środku drogi. Chłopiec szedł do domu pieszo kilkanaście kilometrów. Takich przypadków było co najmniej kilka.

O bezczelności i pewności siebie padre Alberta świadczy historia braci R. Mieli wtedy dziesięć i jedenaście lat. Obaj byli ministrantami. Któregoś dnia przyszli na plebanie pograć jak codziennie w gry i obejrzeć telewizję. W końcu w całej wsi tylko duchowny miał duży plazmowy telewizor.

W salonie było kilku chłopców. Oglądali jakiś film. Dołączyli do nich bracia R. W pewnej chwili padre Alberto zawołał ich do swojej sypialni. Tam ustawił chłopaków przy ścianie i powiedział, że robi im zdjęcia. Szczególnie ich to nie zdziwiło, bo przecież już fotografował ich do kalendarza.

Duchowny pstryknął im kilka zdjęć, po czym kazał się rozebrać. Posłuchali go. Padre Alberto wyciągnął z szafy białe slipki i wręczył je starszemu z braci. Podał mu też muszkę i powiedział, by to wszystko włożył. Drugiemu dał stringi. Potem ich fotografował. Najpierw starszego. Zanim zaczął robić zdjęcia, kazał mu zsunąć lekko majtki w dół. Dokładnie instruował jak. Młodszy siedział wtedy na łóżku i czekał na swoją kolej.

Kiedy duchowny skończył fotografować starszego chłopca, ten został w pokoju i zaczął grać na komputerze. Padre Alberto

fotografował tymczasem młodszego brata.

Po sesji młodszy chłopiec wziął swoje ubranie i wyszedł do łazienki sąsiadującej z sypialnią padre Alberta. Chciał się ubrać. Wtedy duchowny poszedł za nim z kamerą. Jedną ręką zaczął dotykać jego członka, a drugą nagrywał film.

– No tak, dotykał ręką mojego penisa. Ruszał nim w górę i w dół. On mnie masturbował. I cały czas nagrywał – ujawnił jeden z braci.

W pewnej chwili duchowny wyszedł z łazienki. Za chwilę wrócił. Przyniósł karton mleka. Znowu nagrywał chłopca. Pytał, czy mu się to podoba i czy przyjdzie jutro. Na koniec dał mu 500 pesos.

WRZESIEŃ 2013, JUNCALITO.

Z zeznań śledczych rysował się dramatyczny obraz tego, co przez ostatnich kilka lat działo się w tej malutkiej wiosce, zazwyczaj nieodwiedzanej przez miliony turystów przyjeżdżających tłumnie każdego roku na Dominikanę. Prokuratorzy zadawali sobie pytanie, jak to możliwe, że nikt wcześniej niczego nie zauważył.

Z raportu psychologów wysłanych do Juncalito przez prokuraturę wynika, że od przynajmniej pół roku mieszkańcy byli zaniepokojeni zachowaniem padre Alberta.

„Antyspołeczne zachowania podejrzanego Alberta – Wojciecha G. budziły w społeczności Juncalito krytykę i dezaprobatę, zanim jeszcze wyszły na jaw przypadki molestowania dzieci i młodzieży. Burmistrz miasta mówił w wywiadach grupowych i indywidualnych, że od sześciu miesięcy nie chodził na msze, ponieważ dostrzegał u duchownego zachowania i postawy sprzeczne z normami współżycia społecznego – pijaństwo, autorytaryzm, głośnie słuchanie muzyki, ciągłe wizyty obcokrajowców, podczas których pity był alkohol, zachowania niegodne osoby sprawującej posługę duchową. Tak też postrzegali księdza mieszkańcy Juncalito i okolicznych miejscowości. Rodowici mieszkańcy Juncalito uczestniczący w tym okresie w pracach społeczności ze zdumieniem informowali Ośrodek Wspierania Kobiet o pewnym księdzu, który zaproponował grupie małoletnich piwo i którego ludzie

rozpoznawali na ulicy po głośnej muzyce” – brzmi fragment raportu Wydziału Spraw Społecznych.

Tajemnicą Poliszynela było, że padre Alberto nadużywał alkoholu. Kupował go na tak zwany zeszyt w sąsiadującym z kościołem sklepie spożywczym. Często nawet nie chciało mu się po ten alkohol iść, wysyłał więc ministrantów. Zdarzało mu się też po kilku piwach wyjść z domu. Czasami wsiadał za kierownicę, czasami odpalał quada i jeździł podпиты po wsi. Mieszkańcom się to nie podobało, ale ksiądz tłumaczył, że spożywanie alkoholu w jego kraju jest przyjęte wśród duchownych.

To właśnie podczas jednej ze swoich urodzinowych imprez padre Alberto zmuszał Carla, by ten w obecności innych osób wykonywał czynności seksualne. Duchowny był wtedy mocno wstawiony. Gdy chłopiec odmówił, chwycił go za ręce i przeciągnął po podłodze w jedną stronę. Potem chwycił go za nogi i ciągnął w drugą. Carlo był przerażony. Kiedy goście już się rozeszli, zmusił chłopca, by ten został i spał z nim na plebanii. Na palce wkładał kolorowe gumowe nakładki i penetrował odbył chłopca.

Diakon Sergio Rodriguez powiedział w prokuraturze, że gorliwość, z jaką duchowny bronił niektórych dzieci, gdy sprawały problemy dyscyplinarne, była podejrzana. Kiedy skarżył się do niego na Carla, padre Alberto był wściekły i nie zgadzał się na wymierzenie mu kary. Natomiast dzieci, które nie akceptowały seksualnych awansów księdza, były przez niego wykluczane ze wspólnoty i dyskryminowane.

Według diakona padre Alberto miał obsesję na punkcie robienia zdjęć. Oprócz tego jednym z jego ulubionych zajęć było siedzenie godzinami przed komputerem. Plebanię wielokrotnie odwiedzali też znajomi księdza. Często z Polski. Wtedy najczęściej spożywali alkohol.

Jakby tego wszystkiego było mało, dominikańska telewizja informacyjna NCDN wyemitowała reportaż śledczy, w którym

ujawniła, że kolejny polski duchowny – nuncjusz apostolski Józef Wesołowski – jest uwikłany w aferę pedofilską. Według dziennikarzy nuncjusz miał molestować co najmniej pięciu nieletnich chłopców. Duchowny niemal codziennie wieczorem pojawiał się na bulwarze Malecon w cywilnym stroju i wyszukiwał ofiary. Za masturbowanie, seks oralny i analny płacił od 100 do 3000 pesos.

Jednak nuncjusza nie ma już na Dominikanie. Kilka dni wcześniej papież Franciszek odwołał go z placów ki. Dominikańscy śledczy miesiąc wcześniej wysłali do Watykanu zgromadzone przeciw ko nuncjuszowi materiały – zeznania świadków i nagrania wideo.

Po ujawnieniu tych informacji prokuratorzy z Santiago i Santo Domingo połączyli siły. Zaczęli sprawdzać hipotezę o współpracy obu duchownych przy wykorzystywaniu nieletnich.

Rzeczywiście obaj duchowni mieli bardzo bliskie relacje. Już w 2009 roku padre Alberto zorganizował kilkudniowy wyjazd do nadmorskiej rezydencji nuncjusza w Juan Dobo. Wzięło w nim udział czterdziestu ośmiu chłopców. Tylko chłopców, bo jak zeznało wielu współpracowników duchownego, organizował wyjazdy wy łącznie dla chłopców. Również na dłuższe wy pady do kina czy McDonalda zabierał tylko chłopców.

– Jeździliśmy do Wesołowskiego przynajmniej raz w roku – mówi Ambioris. – Czasami dwa razy, ale nie częściej. Nuncjusz też często przyjeżdżał do Juncalito. Cztery razy do roku. Nigdy jednak nie spał w wiosce. Przyjeżdżał rano i około piętnastej wracał do siebie.

Najczęściej brał udział w nabożeństwie w Juncalito. Po mszy szedł na plebanię padre Alberta na obiad. Wtedy obaj rozmawiali. Podczas jednego z obiadów do jadalni wszedł Carlo. Padre Alberto zaprosił go do stołu. Chłopiec grzecznie usiadł. Duchowny przedstawił go gościowi.

– Ten duchowny miał dziwne imię. Alberto powiedział mi, żebym zrobił sobie zdjęcie i tamten duchowny położył na mnie ręce i powiedział, że jestem bardzo ładny. Wtedy padre Alberto zapytał mnie, czy podoba mi się jego kolega duchowny.

Odpowiedziałem, że nie, bo w ogóle nie podobają mi się mężczyźni.

W komputerach Józefa Wesołowskiego prokuratorzy także znaleźli pokaźną kolekcję zdjęć i filmów z pornografią dziecięcą. Według dominikańskich śledczych niektóre dzieci na fotografiach znalezionych u nuncjusza są podobne do tych z komputerów padre Alberta. Jednak kiedy sprawę przekazano do Watykanu, nikt tego wątku już nie podejmował. Podobnie jak tego, że obaj duchowni działali w zorganizowanej grupie przestępczej handlującej pornografią dziecięcą.

Prokuratorzy z Santiago nie doszukai się niczego podejrzanego, przeglądając konta padre Alberta. Miał ich kilka w różnych bankach. Z jednego wypłacał pensję gosposi. Na drugim miał zaciągnięty kredyt. Ale podejrzaných transakcji nie odnaleziono. Posiadał konto na e-bayu zarejestrowane na własne nazwisko. Najprawdopodobniej korzystał z niego, kupując w Internecie dziecięce stringi i produkowane w Chinach garnitury.

WRZESIEN 2013. MODLNICA.

Choć padre /Alberto od kilku miesięcy nie przebywał już na Dominikanie, to cały czas miał najświeższe informacje z wioski. Wciąż kontaktował się z kilkoma osobami, które nie wierzyły w jego winę. Dlatego jeszcze zanim w Polsce ktokolwiek dowiedział się o oskarżeniach w sprawie nuncjusza Wesołowskiego, padre Alberto już o tym wiedział. Liczył na to, że afera pedofilska z nuncjuszem apostolskim może poprawić jego sytuację. Wierzył, że teraz uwaga skoncentruje się na jego koledze.

Zresztą w jego sprawie nic się w Polsce nie działo. Nie pytała o niego policja, dziennikarze nie informowali o sprawie. Przez moment nawet myślał, że skoro nie wrócił na wyspę, to sprawa jest zamknięta.

Właściwie miał sporo racji. Polska prokuratura rzeczywiście nie prowadziła śledztwa przeciwko niemu, a nawet postępowania sprawdzającego. Do Polski nie trafiło zawiadomienie o popełnieniu przez niego jakiegokolwiek przestępstwa.

30.09.2013.

Na wniosek dominikańskich władz Interpol publikuje list gończy za Wojciechem Waldemarem G. Na stronach internetowych Interpolu ukazuje się fotografia duchownego, podana jest data urodzenia, miejsce zamieszkania, informacja o tym, że władza dwoma językami. W rubryce „zarzuty” wpis: molestowanie seksualne.

Dominikańczycy informują też, że będą wnioskować o ekstradycję polskiego duchownego. Jednak szanse na to są niewielkie, bo Polska nie ma z Dominikaną podpisanej umowy ekstradycyjnej.

Publikacja listu gończego mobilizuje w końcu polskich śledczych do zajęcia się sprawą podejrzanego duchownego. Postępowanie sprawdzające wszczyna warszawska Prokuratura Okręgowa.

PIERWSZE DNI PAŹDZIERNIKA 2013, SANTIAGO.

Prokuratorzy przeanalizowali już większość filmów z komputerów padre Alberta. Zeznania świadków potwierdzają, że przynajmniej część z nich została nagrana na plebanii.

Liranzo czyta uważnie protokół ze spisem rzeczy zabezpieczonych na plebanii. Ogląda też wykonane tam zdjęcia. Przeglądając i analizując zeznania, zauważa, że podczas przeszukania nie zabezpieczono wszystkich ważnych dowodów.

Kilka z nich może mieć istotne znaczenie podczas procesu. Zwłaszcza część umeblowania. Niektóre z dzieci dokładnie opisują, w którym miejscu i na czym siedziały, kiedy padre Alberto robił im zdjęcia. Porównując zeznania z filmami i zdjęciami, Liranzo podejmuje decyzję o kolejnym przeszukaniu plebanii padre Alberta.

3.10. 2013, JUNCALITO.

Tym razem Luiza Liranzo osobiście dokonuje rewizji. Towarzyszą jej policjanci. Plebania wygląda dokładnie tak samo, jak zostawili ją funkcjonariusze po poprzednim przeszukaniu. Prokurator Liranzo dobrze wie, po co przyszła.

Policjanci wynoszą z budynku:

– obraz olejny z wizerunkiem papieża Jana Pawła II w brązowej oprawie,

- ciemnożółty fotel z drewna z czerwonymi pasami,
- szary klimatyzator sharp,
- strój gladiatora koloru brązowego, czerwony płaszcz ze złoceniami. Strój uzupełniają brązowe opaski na nogi, ręce i głowę.

Następnie do czarnych worków pakują niebieskie zasłony prysznicowe z łazienki padre Alberta, z wzorami przedstawiającymi gwiazdy, koniki morskie i ryby, dwie butelki płynu do ust Cresta i przeciwgrzybiczny lek fungosin.

8.10.2013.

Na biurka prokuratorów trafiają opinie biegłego medycyny sądowej i psychologów na temat stanu zdrowia Carla, pierwszej ofiary padre Alberta.

Pierwsza z nich powstała na podstawie obserwacji chłopca w rodzinnej miejscowości:

„Carlo jest objęty terapią i zdaniem rodziny i samego zainteresowanego leczenie przynosi rezultaty. Potwierdzeniem skali krzywdy, której ofiarą padł mały, są dwie próby samobójcze. Sztuczki, które w stosunku do Carla stosował padre Alberto, utwierdziły go w przekonaniu, że duchowny jest wszechwładny, a mały zdany jest na jego zachcianki, czyny i gwałty. Te manipulacje sprawiały, że chłopiec stopniowo zamykał się w sobie. Mały stopniowo przyswajał sobie wzorzec zachowania oparty na wyuczonej bezradności; powodem były kończące się zawsze niepowodzeniem próby uwolnienia się od molestowania”.

Jedna z nich miała miejsce wtedy, gdy Carlo poszedł do księdza i powiedział wprost, że chce wystąpić ze wspólnoty ministrantów. Wtedy padre Alberto bardzo się zdenerwował i powiedział do chłopca: Nie wiesz, z kim masz do czynienia. Nie wiesz, kim ja jestem.

„W otoczeniu małego dochodziło do przypadków nękania. Sytuacja uległa poprawie we wrześniu, obecnie według rodziny dziecko jest weselsze. Chłopiec jest też objęty programem terapeutycznym. Na Dominikanie problem homofobii jest powszechny. Narażenie na dyskryminację jest częścią krzywdy, której doznaje ofiara pedofila. Społeczeństwo

nie potrafi poprawnie nazwać praktyk seksualnych nawet wtedy, gdy nie ma na nie przyzwolenia, to znaczy gdy małe dzieci się na nie nie godzi” – napisali psychologowie wysłani przez prokuraturę do Juncalito.

Bardziej dramatyczna i uświadamiająca, co działo się w głowie nastolatka, jest opinia biegłego psychologa, który nie tylko uczestniczył w przesłuchaniach Carla, ale oglądał pedofilskie filmy i zdjęcia oraz analizował jego badania lekarskie.

„Chłopiec doznaje «ponownego przeżywania», ma nawracające myśli o zdarzeniu, często miewa koszmary. Śniło mu się, że pan G. celuje do niego z broni palnej i grozi mu, że go zabije, jeśli nie wycofa zeznań o molestowaniu. Są chwile, że kiedy myśli o tym, co się stało, czuje, jakby to działo się obecnie. Kiedy sobie przypomina, co robił z nim duchowny, miewa reakcje fizjologiczne.

Chłopiec stara się nie myśleć i nie mówić o tym, co się zdarzyło. Stara się też unikać osób, które wiedzą to i pamiętają. Niektórych rzeczy Carlo jednak nie pamięta, jest rozkojarzony. Bardzo często towarzyszy mu strach. Zwłaszcza wtedy, gdy sam wychodzi z domu. Boi się, że ludzie go śledzą, żeby go skrzywdzić. Wychodząc, zawsze rozgląda się wokół siebie.

U pokrzywdzonego zauważono także wściekłość i ogromne poczucie wstydu z powodu tego, co się wydarzyło. Obawia się, że pan G. może kogoś wysłać, aby go skrzywdził, gdyż to on opowiedział o molestowaniu, którego dopuścił się wobec niego i innych małych dzieci” – napisała doktor Vivian Espinal.

CZĘŚĆ ÓSMA

POLSKIE ŚLEDZTWO

Polscy śledczy otrzymali z Dominikany mocne dowody świadczące o winie padre Alberta. Ponadto dokładnie analizowali przesłane akta. Chcieli znaleźć coś, co być może umknęło ich dominikańskim kolegom, a pomogłoby na przykład zidentyfikować padre Alberta na którymś z filmów. Byłby to niezbity dowód.

Prokuratorzy, którzy prowadzili śledztwo, mieli do dyspozycji warszawskich policjantów. Wszyscy byli doświadczeni w prowadzeniu spraw przeciwko pedofilom. I choć prokuratorzy dostali z Dominikany już pogrupowane filmy, stopklatki i zdjęcia przypisane do poszczególnych pokrzywdzonych, jeszcze wiele razy oglądali wszystkie fotografie i filmy.

Oglądając zdjęcie padre Alberta bawiącego się ze swoim psem Negro, jeden z prokuratorów zauważył, że na przedramieniu od wewnętrznej strony padre Alberto ma dwu-trzymilimetrowe znamię, zwane potocznie pieprzykiem.

Znając już wszystkie filmy i zdjęcia znalezione w komputerach duchownego, śledczy pamiętali, że na niektórych z nich było widać sylwetkę i ręce osoby, która nagrywała film. Po wyeliminowaniu filmów ściągniętych z Internetu do przejrzania zostało kilkaset filmów z pornografią dziecięcą. To był jednak dobry trop i celny strzał. A właściwie dwa za jednym razem.

Śledczy odnaleźli kilkuminutowy film, na którym mężczyzna w pomieszczeniu przypominającym łazienkę dotyka penisa kilkuletniego chłopca. W pewnym momencie obraca rękę i właśnie wtedy dokładnie widać jego przedramię. Film nie jest wysokiej jakości, jednak przy dużym zbliżeniu widać, że to znamię jest podobne do tego, które śledczy zauważył na zdjęciu padre Alberta bawiącego się z Negro. Zestawiając te dwa zdjęcia, będzie można stwierdzić, czy to ta sama ręka. Gdyby tak było, to padre Alberto już by się nie wywinął, mówiąc, że wszystkie zeznania pokrzywdzonych są zemstą za to, że chciał walczyć z mafią.

Prokurator zdecydował o wykonaniu badań antropologicznych. Przede wszystkim należało wykonać nowe zdjęcia całego ciała podejrzanego. Nie musiał on na nie wyrażać zgody. To ważne, bo padre Alberto nie zgodził się między innymi na nagranie głosu, gdy mówił po hiszpańsku. Nie zgodził się również na badanie genitaliów.

Kilka dni później duchowny został przewieziony z warszawskiego aresztu śledczego do gmachu Komendy Stołecznej Policji. Tam w specjalnym pokoju rozebrał się, a policyjny technik wykonał mu kilkadziesiąt zdjęć. Każde innego fragmentu ciała. Wśród nich było kilkanaście zdjęć wewnętrznej części przedramienia.

Duchowny nie miał pojęcia, że śledczy znaleźli coś, co w przyszłości może stanowić niepodważalny dowód, że molestował seksualnie dzieci na Dominikanie, a jednocześnie nagrywał swoje czyny.

Sprawa księdza G. była jedną z najbardziej priorytetowych spraw prokuratury w tamtym czasie. Presję wywierały też media, szeroko komentujące to, co na karaibskiej wyspie wyprawiał polski duchowny. Prokurator wiedział, że w tak prestiżowej sprawie może nie skąpić pieniędzy. Ekspertyzę antropologiczną zlecił więc najlepszemu w Polsce specjalście – profesorowi Bronisławowi Młodziejowskiemu.

Ten wybitny antropolog brał udział między innymi w wykopaliskach w Charkowie i pracach sondażowych w Miednoje prowadzonych w związku z ekshumacją ofiar zbrodni katyńskiej. Jest znany i ceniony w środowisku biegłych sądowych z zakresu antropologii. Budzi szacunek wśród prokuratorów, sędziów i policjantów, których zresztą wiele lat szkolił, będąc dyrektorem Instytutu Nauk Policyjnych w podwarszawskim Legionowie, prorektorem Wyższej Szkoły Policyjnej w Szczytnie, zastępcą dyrektora biura kadr i szkolenia w Komendzie Głównej Policji. Pracował też w Urzędzie Ochrony Państwa. To postać o niekwestionowanym autorytecie i bogatym doświadczeniu zawodowym. Z jego ekspertyzami trudno polemizować, a jeszcze trudniej je obalić.

Prokuratorzy wysłali biegłemu komplet zdjęć. Przede wszystkim stopklatki z filmu, na którym zarejestrowany był fragment przedramienia nieznanego mężczyzny oraz zdjęcia

wykonane duchownemu kilka dni wcześniej. Kilkadziesiąt fotografii miało posłużyć naukowcowi do wydania opinii.

POGRAŻYŁ GO NEGRO

Biegły szczegółowo przeanalizował wszystkie zdjęcia. Porównywał ze sobą zdjęcia G. wykonane ostatnio przez policjantów w Komendzie Stołecznej ze znalezionymi w jego komputerze na Dominikanie. Na wyniki pracy antropologa nie trzeba było długo czekać.

„Przeprowadzone badania antropologiczno-porównawcze cech morfologicznych prawego przedramienia i fragmentu tułowia nieznanego mężczyzny z zapisów dowodowych oraz takich samych cech ujawnionych u Wojciecha G. wykazały całkowitą zgodność w szeregu silnie dystynktywnych cech (...). (...) Cechy te mają prawie indywidualny charakter (kierowano się we wniosku ostrożnością zawodową i dużym doświadczeniem), stąd z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością należy stwierdzić, iż na plikach dowodowych uwidaczniających prawe przedramię i fragment tułowia znajduje się Wojciech Waldemar G.”.

Właśnie na taki wynik czekał prokurator. Jakby tego było mało, profesor Młodziejowski dostrzegł jeszcze jeden zbieżny element: zarówno na zdjęciach zabezpieczonych na Dominikanie, jak i na zrobionych przez policjantów w Polsce zauważył i zaznaczył takie same zgrubienia i przebarwienia na prawym kciuku.

Ale to nie było jedyne badanie, jakie prokurator zlecił biegłym. Kolejne to ekspertyza fonoskopijna. Podczas oglądania filmów śledczy natrafili na dwa kilkusekundowe fragmenty, kiedy nagrywający film mężczyzna prowadzi dialog z molestowanym chłopcem. Na jednym jest młodszy z braci R., ten który po sesji zdjęciowej wyszedł z pokoju padre Alberta i poszedł się przebrać do łazienki. Wtedy duchowny wszedł do niego i dalej go napastował.

Udało mi się dotrzeć do protokołu ekspertyzy fonoskopijnej.
Tłumaczenie przesłanego do ekspertyzy i zarazem
najdłuższego fragmentu dźwiękowego na filmach znalezionych
w komputerach duchownego:

PLIK NUMER 1:

(W tle słycać muzykę.)

Głos mężczyzny: Spuścisz się na dłoń?

Głos
małoletniego: Uhm

Głos mężczyzny: Już. Spójrz.

Głos mężczyzny: Uśmiechnij się.

PLIK NUMER 2:

Głos mężczyzny: Jako że są to zasady
gry, to pobawiłeś się
ze mną, tak?

Chłopiec: Tak.

Głos mężczyzny: Idę po mleko.

(W tle słycać trzaśnięcie drzwiami.)

Głos męski: Światło zgaszone.

(Trzaśnięcie drzwiami.)

Głos mężczyzny: Jutro wieczorem się
wiedzimy?

Na obu plikach mężczyzna mówi po hiszpańsku. Żeby
prawidłowo wykonać badanie, eksperci porównali je z pięcioma
próbkami głosu księdza Wojciecha G.

Po pierwsze eksperci musieli sprawdzić, czy pliki w języku
hiszpańskim kwalifikują się do przeprowadzenia badania.
Kolejnym etapem było ustalenie, czy na obu plikach wypowiada

się ta sama osoba. I ostatnią fazą było uzyskanie odpowiedzi na najważniejsze dla prokuratorów pytanie: czy głos na badanych plikach to głos Wojciecha G.

Niestety, już na początku było wiadomo, że pliki z głosem są zbyt krótkie, by przeprowadzić wiarygodne badania pomiarów częstotliwości podstawowej tonu krtaniowego oraz jego pochodnych. Żeby badanie było prawidłowo wykonane, należy posiadać co najmniej dwudziestosekundowy fragment wypowiedzi osoby badanej. Tymczasem pliki odnalezione przez prokuratorów miały niecałe cztery sekundy i niecałe siedem sekund. Tak krótkie pliki dźwiękowe nie pozwoliły na przeprowadzenie pełnych analiz fonetycznych i lingwistycznych. Jednak ekspert dokonał ograniczonej ekspertyzy:

- barwy głosu,
- głośności głosu,
- sposobu artykulacji.

Badanie wykazało, że głos zarejestrowany na pliku numer 1 jest bardzo podobny do głosu mężczyzny zarejestrowanego na pliku numer 2.

Analiza holistyczna, czyli całościowa, wykazała bliskość głosu zarejestrowanego w pliku numer 1 do głosu zarejestrowanego w pliku numer 2.

Ostatnim badaniem były analizy statystyczne. To bardzo ciekawy eksperyment, polegający na porównywaniu badanego pliku z innymi głosami mówiącymi w różnych językach.

Do głosu ponad stu mężczyzn mówiących w różnych językach, między innymi rosyjskim, polskim, angielskim, litewskim i hiszpańskim, dodano głos z pliku numer 1. Następnie porównano go z głosem mężczyzny z pliku numer 2.

Wynik, który uzyskali eksperci, oznaczał, że głosy zarejestrowane na plikach numer 1 i 2 są sobie prawie jedenastokrotnie bliższe niż wszystkim innym głosom poddanym ekspertyzie. Świadczyło to o dużym podobieństwie porównanych próbek głosu.

Według eksperta wyniki całościowo przeprowadzonych badań upoważniają do stwierdzenia, że głos mężczyzny zarejestrowany na plikach numer 1 i 2 wykazuje bardzo duże podobieństwo do głosu Wojciecha G.

Po otrzymaniu tej analizy prokurator wiedział już, że nie będzie to jeden z najważniejszych dowodów w sprawie, ale z pewnością pomoże rozwiązać ewentualne wątpliwości sądu. W zestawieniu z innymi dowodami uprawdopodobni popełnienie przez oskarżonego zarzucanych mu czynów.

Sledczy zamówili też opinię sądowo-seksuologiczną. Zlecili ją jednemu z najlepszych polskich specjalistów – Zbigniewowi Lwu-Starowiczowi. Na zakończenie rozmowy, którą lekarz przeprowadził z Wojciechem G., duchowny powiedział:

– Z powodu pańskiego autorytetu wydana przez pana opinia będzie trudna do podważenia. Niezależnie od tego, czy będzie ona dla mnie korzystna, czy nie.

FRAGMENT OPINII ZBIGNIEWA LWA-STAROWIGZA:

„1. Na podstawie badania rozpoznaję u badanego niedojrzałość psychoseksualną, biseksualną orientację płciową z przewagą bieguna homoseksualnego.

2. Jeżeli badany popełnił zarzucane mu czyny, to są podstawy do rozpoznania zaburzeń preferencji seksualnych typu pedofilii homoseksualnej i efebofilii [seksualna preferencja dorosłych do kontaktów z osobami w późnym okresie dojrzewania 15–19 lat – przyp. aut).

Na podstawie analizy wszystkich uzyskanych danych wynika, że badany jest niedojrzały psychoseksualnie, niepełna identyfikacja z rolą męską, przewaga cech kobiecych w płci psychologicznej, infantylizowanie mężczyzn.

Jeżeli badany popełnił te czyny, to można jednoznacznie stwierdzić, że biegun homoseksualny ewoluował w zaburzenia preferencji seksualnych typu pedofilii homoseksualnej i efebofilii. W takim przypadku przyczyną zachowań seksualnych była niedojrzałość psychoseksualna oraz preferencje homoseksualne.

Biorąc powyższe pod uwagę, badany powinien być poddany leczeniu w warunkach oddziału zamkniętego ze względu na czas trwania zachowań seksualnych, ich zróżnicowanie oraz preferowane obiekty erotyczne”.

Z innej opinii psychologicznej wynika, że Wojciech G. lubi być w centrum zainteresowania, jest skłonny do nadmiernie emocjonalnego reagowania na różne sytuacje i wydarzenia życiowe. Jest towarzyski, aktywny, łatwo nawiązuje kontakty, lubi rywalizować i współpracować z innymi. Jest otwarty na nowe doświadczenia. Ma też silną potrzebę autonomii, niezależności i wywierania wpływu.

Duchowny podczas każdego badania – podobnie jak i w wywiadzie telewizyjnym – podkreślał, że jest niewinny, a zarzuty są bezpodstawne. Według niego są zemstą za to, że walczył z mafią narkotykową.

Tymczasem dowody zgromadzone przez śledczych w sprawie molestowania dzieci przez padre Alberta na Dominikanie okazały się zaledwie wierzchołkiem góry lodowej.

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Ruszam tropem podsuniętym mi przez jednego z prokuratorów. Po aresztowaniu księdza zasugerował mi, bym poszukał informacji o duchownym w miejscach, gdzie wcześniej pracował. Znalezienie ich nie było trudne.

Już po kilku minutach spędzonych w Internecie trafiłem do Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego pod Warszawą, a właściwie do tego, co po nim pozostało, bo w 2012 roku ośrodek został przekształcony w katolicką szkołę dla chłopców.

W ośrodku przebywała tak zwana trudna młodzież z Warszawy i okolic. Niekiedy też z miejscowości oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów. Bez trudu odnalazłem nazwisko ówczesnego dyrektora placówki. Niewiele więcej czasu zajęło mi ustalenie nazwisk kilku nauczycieli (część z nich mieszka w pobliżu ośrodka), którzy w tym czasie tam pracowali, a potem jak po nitce do kłębka traślałem do samych uczniów. Dziś to w większości trzydziestokilkuletni mężczyźni. Część z nich założyło rodziny, mają dzieci. Jednym w życiu się poszczęściło, innym mniej. Żyją skromnie, niektórzy mieszkają jeszcze z rodzicami. Choć ich historie są różne, to przecinają się w tym samym miejscu, gdyż uczestniczyli w tych samych zdarzeniach. Zdarzeniach, których nie mogą wymazać z pamięci do dziś. Wtedy stali po różnych stronach barykady: jedni byli silniejsi i rządzący w ośrodku, a drudzy im ulegali i byli maltretowani, jednak każdy z nich mówi, że nigdy nie oddałby swojego dziecka do podobnej placówki. Ośrodka, w którym pracują księża.

Od obrzydliwych wydarzeń, do których dochodziło w szkolnym internacie, minęło kilkanaście lat, ale ksiądz Wojciech G. jest tu wciąż popularny jak wtedy. Pewnie miał na to wpływ wyrok, który zapadł w sprawie molestowania przez niego dzieci na Dominikanie. I przypominał dawne wydarzenia. Jednak ośrodek cieszył się złą sławą nie tylko przez księdza Wojtkę. Inni duchowni też mieli w tym swój udział.

BYCZEK NA PRAKTYKACH

Początek XXI wieku. Dwudziestotrzyletni kleryk Wojciech G. zostaje skierowany na roczne praktyki do Ośrodka Wychowawczego. Ma się zajmować trudną młodzieżą. Wśród podopiecznych są też osoby upośledzone umysłowo. To ośrodek, jakich w stolicy i wokół niej było wtedy co najmniej kilkanaście.

Do obowiązków Wojciecha G. należy głównie opieka nad gimnazjalistami. Ma się nimi zajmować po szkole. Pomagać im w odrabianiu lekcji, uczestniczyć w zajęciach pozalekcyjnych i pilnować nocą w internacie. W jego grupie jest kilkunastu chłopców. Większość z nich sprawia problemy wychowawcze.

Internat funkcjonował tak jak szkoła. Najczęściej dzieciaki przyjeżdżały do niego w poniedziałek i wracały do domu w piątek. Zdarzało się też, że ci, którzy mieszkali dalej, przyjeżdżali do internatu już w niedzielę.

Na terenie ośrodka położonego częściowo w lesie były dwa szkolne budynki. W jednym mieściła się kuchnia ze stołówką, siłownia i na poddaszu internat dla gimnazjalistów oraz uczniów zawodówki, a w drugim szkoła, szatnia, pracownia techniczna, sala gimnastyczna i internat dla młodszych chłopców z podstawówki. W ośrodku był jeszcze mały kościółek i budynek dla księży i gości, którzy odwiedzali placówkę.

Dziś to wszystko wygląda inaczej. Orlikowe boisko do piłki i do kosza, odremontowane elewacje, zadbane trawniki. Tylko stare drewniano- murowane garaże przypominają tamte czasy. Zresztą to było ulubione miejsce szkolnych urwisów, którzy chodzili za garaże palić papierosy.

W ośrodku przebywali tylko chłopcy. Codziennie rano chodzili do szkoły. Uczyli w niej cywilni nauczyciele, nie księża. Dopiero po zajęciach opiekę nad młodzieżą przejmowali duchowni zakonu michalitów. Najpierw szli z chłopakami na obiad. Potem wracali do klas i prowadzili z nimi tak zwane odrabianki, czyli pomagali w odrabianiu lekcji. Później, od mniej więcej szesnastej, chłopcy mieli czas wolny.

Wtedy zwykle księża organizowali im zajęcia. Nowy wówczas kleryk Wojciech G. uwielbiał ćwiczyć z chłopcami na bardzo

dobrze wyposażonej siłowni, która znajdowała się w piwnicy pod stołówką. Kleryk nie ukrywał, że interesują go sztuki walki. Widać było po jego sylwetce, że lubi trenować. Wychowankowie mówili, że jest niski, ale nabity. Dzięki temu szybko zyskał przydomek Byczek. Część chłopaków tak się do niego zwracała. Inni mówili mu po imieniu – Wojtek.

Chłopcy szybko spostrzegli zamiłowanie swojego nowego opiekuna do strojów ochroniarskich, mundurów policyjnych, kajdanek i broni. Kleryk posiadał nawet policyjną pałkę, broń gazową i rękawice bokserskie.

Jego pokój w internacie znajdował się vis-à-vis pokoju wychowanków. Uczniowie mieszkali po czterech, pięciu w jednym pokoju. Każdy z nich miał okno, szafkę nocną, łóżko i szafę na ubrania. Obok pokoju Byczka był pokój, który przerobiono na pracownię komputerową. Na końcu korytarza mieściły się łazienki i prysznice. Wystrój budynku pamiętał zamierzchłe czasy PRL-u. Drewniane drzwi pomalowane farbą olejną, lamperie na korytarzu. W łazience tania glazura, zlewy, plastikowe suszarki. Prysznice w jednym rzędzie. Kiedy chodziło tam jednocześnie kilku chłopców, wyglądało to tak, jakby się razem kąpali.

Jak w każdej tego typu szkole trafiło się też kilku łobuzów, którzy nie chcieli się podporządkować panującym zasadom. Byli agresywni, palili papierosy, przeklinali i nie chcieli się uczyć. Szybko znaleźli sobie kilku spokojniejszych młodszych chłopców, którym zatruwali życie. Okradali ich z pieniędzy i znęcali się nad nimi fizycznie i psychicznie. Potrafili grasować po internacie całą noc, wywalać im rzeczy z szafek, przewracać łóżka do góry nogami, ale też bić i ubliżać. Jak twierdzą niektórzy, nie radzili sobie z nimi nawet duchowni.

– Mieszkałem w internacie tylko dwa lata. Później nie chciałem już tam mieszkać. Było kilku chłopaków, którzy zdominowali cały internat. Żeby dostać się do pokoju innych, potrafili powybijają szyby. Bili nas, pluli na nas i sikali do łóżek. Upodobali sobie mój pokój. Dokuczali mnie, Danielowi i Robertowi. Bałem się nawet spać. Potrafili chodzić po nocach, bić i wywracać łóżka – wspomina Michał, dziś trzydziestoletni mężczyzna.

HISTORIA MICHAŁKA

Byczek wiedział, że ci silniejsi znęcają się nad jego wychowanekami. Pewnego dnia zaproponował Michałowi, by ten przyszedł wieczorem do jego pokoju i przeczekał, aż te łobuzy pójdą spać. Mówił, że wtedy będzie miał spokój i nie będą się nad nim znęcali. Czternastolatek był wdzięczny za propozycję. Kiedy przyszedł, duchowny zamknął drzwi od pokoju na klucz.

– Nawet nie wiem, w którym momencie to się stało, ale Wojciech G. włożył mi rękę w spodnie od piżamy i zaczął mnie dotykać, a potem masturbować. Nie chciałem tego. Mówiłem, żeby przestał, żeby tego nie robił, ale on twierdził, że to jest przyjemne. Nie groził mi i nie krzyczał na mnie, ale był stanowczy. Mimo że tego nie chciałem, to i tak dotykał ręką mojego członka i mnie masturbował. Ksiądz chciał, żebym ja także go masturbował, i chciał, żebym kładł rękę na jego członku. Mówił mi, żebym nikomu nie mówił, co ze mną robi, bo według niego tak będzie lepiej – wspomina łamiącym się głosem.

Od tego czasu Byczek coraz częściej zapraszał Michała do swojego pokoju. Bywało i tak, że tylko rozmawiali. Kleryk opowiadał mu, skąd pochodzi, gdzie się wychowywał, wspominał o rodzinnym domu i o tym, dlaczego chce zostać księdzem.

Ale takie spotkania były rzadkością. Częściej zapraszał go po to, by się wyżyć seksualnie. By zaspokoić swoje obrzydliwe zachcianki. Zazwyczaj wołał chłopca do pokoju wieczorem, kiedy w internacie panowała już cisza nocna. Pretekst był zawsze ten sam: obrona przed tymi starszymi.

– Pamiętam, że kiedyś wziął mnie pod prysznic samego – opowiada Michał. – Powiedział, że wtedy będę bezpieczny, że chłopaki nie zrobią mi nic złego. Gdy wszedłem do łazienki, wszedł za mną. Rozebrał się do naga i kąpał się ze mną. Wtedy on się masturbował, a ja musiałem na to patrzeć. Często kończyło się to dopiero wtedy, jak miał wytrysk. Musiałem patrzeć na to wielokrotnie.

Do pokoju Byczka chodził często. Bardzo często. Szybko stał się jego ulubionym wychowanekiem. Wołał być molestowany niż

bity przez starszych chłopaków.

Kleryk przynosił też do internatu eleganckie garnitury. Czasami przebierał w nie uczniów i ich fotografował. To były normalne zdjęcia, w pokoju, na korytarzu, przed budynkiem internatu.

Po kilku miesiącach – przed zbliżającymi się świętami Wielkiej Nocy – Byczek zaproponował Michałowi, że jeśli chce, może zabrać go na kilka dni do swojego rodzinnego domu. Żeby zobaczyć, jak on i jego rodzina obchodzą te święta. Zaproponował też zwiedzanie Krakowa.

Kiedy Michał wrócił na weekend do domu, zapytał o zgodę na wyjazd swoją mamę. Ta po rozmowie z klerykiem zgodziła się.

Wojciech G. chciał, żeby to była specjalna wycieczka. Zamierzał dostarczyć chłopcu niespotykanych emocji. Ponieważ jego rodzina Modlnica jest blisko krakowskiego lotniska w Balicach, kupił dwa bilety na samolot. Wyjechali w piątek po zajęciach w szkole. Kleryk poprosił Michała, żeby na drogę włożył zielony garnitur i wyglądał elegancko. Chłopak tak zrobił.

Po godzinie i kilkunastu minutach obaj byli już w rodzinnym domu G. Chłopiec poznał rodziców kleryka oraz jego starszego brata. Michał zamieszkał w pokoju vis-à-vis sypialni rodziców duchownego.

W domu G. Michał spędził kilka dni. Kleryk zabrał go też do Krakowa. Zwiedzili rynek i sukiennice. Wybrali się w Jurę Krakowsko-Częstochowską. Pojechali do aquaparku. Michał pierwszy raz w życiu był na tak dużym basenie. Wtedy też Byczek powiedział mu, żeby się kąpał pod prysznicem nago, bo wszyscy tak robią.

Gdyby nie to i jedna noc, której Michał nie może wymazać ze swojej pamięci, mógłby zaliczyć ten wyjazd do udanych. Pewnej nocy jednak chłopiec przebudził się, czując, że nie jest sam w łóżku. Domyślił się, że to Byczek. Duchowny zaczął dotykać go ręką w miejsca intymne. Wsadził ręce pod piżamę nastolatka i głaskał jego penisa. Kiedy Michał oprzytomniał, próbował go odepchnąć, ale ksiądz nie dawał za wygraną. Próbował kolejny i kolejny raz. Chłopiec za każdym razem go odpychał. W końcu Wojciech G. wystraszył się, że jego rodzice się obudzą i nakryją go w pokoju nastolatka. Wstał i poszedł spać do siebie.

Po świętach Michał i kleryk wrócili do internatu. Chłopiec nikomu nie powiedział, co się stało w Krakowie, choć koledzy go wypytywali. Część z nich była nawet zazdrosna, bo wcześniej to właśnie im Byczek obiecywał, że zabierze ich do swojego rodzinnego domu, a ostatecznie pojechał Michał. Nastolatek bał się mówić. Wiedział, że jeśli powie prawdę, stanie się pośmiewiskiem całej szkoły, a ci starsi i silniejsi będą go wytykać palcami.

Kleryk nie przestawał go nękać. Czuł się coraz bardziej nietykalny. Zapraszał Michała do siebie zaraz po kolacji, zamykał drzwi na klucz, przygotowywał herbatę, kupował ciastka, a potem bezkarnie dotykał go i kazał dotykać siebie. Podczas jednego z takich spotkań kleryk kazał mu się rozebrać i usiąść na łóżku. Sam usiadł obok niego i zaczął całować jego penisa.

Po kilku miesiącach bystrzejsi koledzy Michała zaczęli podejrzewać, że relacje między ich kolegą a duchownym są za bliskie. Śmiali się na korytarzach, że Michał chodzi do księdza „na walenie konia”. Ich podejrzewania wzbudziły ciągle zamknięte drzwi do pokoju wychowawcy. Gdy pukali i kleryk w końcu otwierał, okazywało się, że w pokoju jest też Michał.

Wszystko stało się jasne dopiero pewnej niedzieli. Michał nie chciał wstawać w poniedziałek o świcie i jechać autobusem do szkoły. Zapytał więc, czy może przyjechać do internatu już w niedzielę. Wielu wychowanków korzystało z takiej okazji. Byczek zgodził się z przyjemnością. Gdy tylko nastolatek się pojawił, zaprosił go do swojego pokoju.

Idącego do G. chłopaka zauważył Norbert. Szkolny zawadiaka. On i jego kumpel Wojtek też przyjechali do internatu w niedzielę. Kiedy tylko Michał zamknął drzwi od pokoju wychowawcy, a oni usłyszeli dźwięk przekręcającego się zamka, po cichu podeszli pod drzwi. Ukłękli, żeby podglądać przez szparę w drzwiach pokoju wychowawcy.

– Zobaczyliśmy, że Byczek trzepie Michałka, to znaczy masturbuje. Jak to dzieciaki zaczęliśmy się śmiać. Musiał nas usłyszeć, bo przestali to robić. Zwiniliśmy się szybko i uciekliśmy do naszego pokoju – mówił Norbert.

NIKT NIE WIERZY PODGLĄDACZOM

To co się działo później, to gotowy scenariusz filmu sensacyjnego. Wściekły kleryk ubrał się i poszedł do pokoju Norberta i Wojtka. Zabrał ich do siebie.

– Najpierw kazał nam klęknąć. Związał nam ręce. Z przodu albo z tyłu. Wziął drewnianą listewkę i na oślep zaczął nas nią okładać. Po plecach, po nogach i po dupie. Bił nas tak, żeby nie było widać śladów. Krzyczeliśmy i płakaliśmy z bólu, ale nikt nam nie pomógł – relacjonuje Wojtek.

To nie był koniec. Kleryk aż trząsł się z nerwów. Wszystko mogło się wydać. Stracił panowanie nad sobą i zastanawiał się, w jaki jeszcze sposób może zastraszyć podglądaczy, by nie puścili pary z gęby. Włożył ubranie przypominające mundur, na to odblaskową kamizelkę i znowu ruszył do pokoju Norberta i Wojtka.

– No to teraz pojedziemy na miasto – rzucił.

Postraszyl, że zawiezie ich na komendę. Wziął ich za frak i zaciągnął do samochodu. Kilkadziesiąt minut pojeździli po miejscowości i wrócili do internatu. O żadnej komendzie oczywiście nie było mowy.

Chłopaki wrócili do swojego pokoju, a rano jak co poniedziałek poszli do szkoły. W ciągu kilku godzin o tym, że Byczek molestował Michałka, wiedziała już cała szkoła. Nie tylko inni uczniowie, ale też nauczyciele, dyrektor i pozostali księża. Nikt jednak nie podjął tego wątku. Norbert i Wojtek nie cieszyli się najlepszą opinią wśród nauczycieli, wręcz przeciwnie. Większość myślała, że to kolejna zmyślona przez nich historia.

– Te dzieciaki różne rzeczy mówiły. Proszę wziąć pod uwagę, że to były dzieci albo chore, albo z patologicznych rodzin. To nie znaczy oczywiście, że zawsze kłamały. Wiedziałam, że księża ich biją, i jeśli to widziałam, reagowałam. O molestowaniu nigdy nie słyszałam – zapewnia Ewelina, jedna z nauczycielek.

Żaden z pedagogów nie zapytał nawet Michała, czy to, o czym huczy cała szkoła, jest prawdą. Może gdyby takie pytanie padło, może gdyby psycholog z nim porozmawiał, chłopiec opowiedziałby, że od kilku miesięcy spełnia seksualne zachcianki

wychowawcy. Niestety, nauczyciele woleli milczeć. A ksiądz Wojtek? Zakleił plakatem szparę w swoich drzwiach.

– Nie mieliśmy już dokąd iść. Opowiedzieliśmy to wszystkim. Także kierownikowi Dariuszowi K. Ale co on miał zrobić, skoro sam chodził z pałką po internacie i nas nią lał. Często czuć było od niego alkohol. Dobrze, nie byliśmy grzecznymi dziećmi, ale oni robili z nami, co chcieli – mówi Norbert.

DANIELOWI DAWAŁ DWA ZŁOTE

Ksiądz nie miał żadnych zahamowań. Jeden chłopiec mu nie wystarczał. Znalazł sobie kolejnego z tego samego pokoju – Daniela. Ten z kolei był upośledzony umysłowo. Miał problemy z nauką. Kilka razy nie zdał z klasy do klasy.

Pewnego dnia Byczek i jego zaprosił do swojego pokoju. Samego. Nie powiedział po co. Kazał przyjść.

Daniel nie lubił tam chodzić. Byczek kazał mu usiąść na łóżku. Podszedł do niego, rozpiął mu rozporek i ściągnął spodnie. Potem majtki.

– Wtedy zaczął mnie dotykać swoją ręką tam na dole, to znaczy w miejsca intymne – z ogromnym zawstydzeniem opowiadał mężczyzna. – On mnie dotykał w taki sposób, że poruszał mojego penisa w dół i w górę. Mnie się to bardzo nie podobało, ja się z tym źle czułem i mu o tym powiedziałem, ale on robił to dalej. Robił mi tak krótko, może minutę, i potem przestał. Potem sam zdjął spodnie i majtki. Usiadł obok mnie i kazał, żebym dotykał go w taki sam sposób jak on mnie. Ksiądz G. wziął moją rękę i chciał położyć ją na swoim penisie, ale ja zabrałem rękę i nie zrobiłem tego. Ksiądz G. miał wtedy grubego członka, stojącego, ja go widziałem, ale nie dotknąłem. Jak zabrałem swoją rękę, to ksiądz G. już mnie dłużej do tego nie zmuszał i pozwolił mi się ubrać. Szybko się ubrałem i wyszedłem z tego pokoju. Jeszcze przed wyjściem powiedział mi, żebym nikomu o tym nie mówił.

Daniel dobrze nie pamięta, ile razy był w pokoju Byczka i ile razy ten go molestował. Może to z powodu jego upośledzenia, a może po prostu nie chce wracać do tego wszystkiego.

Michał jednak pamięta też inne wydarzenie. Kiedyś Wojciech G. zawołał do pokoju ich obu. Nie przypomina sobie dokładnie, co wtedy robili, czy kleryk ich dotykał, czy się tylko przy nich onanizował.

Koledzy Daniela pamiętają, jak im opowiadał, że Byczek za każde przyście do jego pokoju dawał mu 2 złote. Według nich Daniel bardzo często był gościem w pokoju Wojciecha G.

Kleryk pilnował, żeby jego podopieczni „dbali o higienę”. Zwykle podczas kąpieli towarzyszył im osobiście. Jak już zagonił do łazienki swój ulubiony pokój – ten ze słabszymi chłopcami – Michałem, Danielem i Robertem, to kazał im się rozbierać do naga i brać prysznic. Wszystkim razem. Kiedy chłopcy próbowali protestować, mówił im, że tak jest bardziej higienicznie. Sam brał wtedy prysznic w sąsiedniej kabinie albo na nich patrzył.

Te wydarzenia potwierdzili także inni wychowankowie ośrodka. Opowiadali mi, że trochę się wstydzieli zdejmować bieliznę i dlatego się w niej kąpali, jednak ksiądz potrafił do nich wejść i krzyknąć: A co, panienki jesteście, że się w majtkach kąpiecie? Gdy skrępowani zdejmowali bieliznę, stał i się im przyglądał.

DO MNIE SIĘ NIE ZALECAŁ

Marek też jest po trzydziestce. Ksiądz G. poznał, zanim jeszcze wylądował w ośrodku.

– Kiedyś byłem na takim obozie w górach i on tam był wychowawcą. Jeszcze w podstawówce. To mogło być tak w 1998, może w 1999 roku. Moja gmina organizowała zimowe ferie dla dzieci z biedniejszych rodzin i ja się załapałem. Już wtedy lubił poszpanować, że co to nie on. Chwalił się sztukami walki, ale ja nie zauważyłem, żeby miał jakieś nie tego skłonności. No, ale on

nie był bezpośrednio moim wychowawcą – wspomina Marek. – Musiałem mu się podobać, bo kiedyś zaproponował, że zabierze mnie do siebie do rodzinnego Krakowa. Nawet chciałem z nim jechać, żeby zwiedzić kawałek Polski. Ale wie pan, jak to w szkole bywało. Czasami komuś przywaliłem albo o coś się pokłóciłem i komuś w łeb dałem, to za karę mnie nie wzięli. Wzięli Michała. Teraz jak na to patrzę, to na całe szczęście. Przynajmniej się do mnie nie zalecał.

Marek dostał dobrą pracę. Państwową. Jest operatorem koparki. Lubi swoją robotę. Założył rodzinę. Zerwał kontakty z kolegami z ośrodka. Czasami widuje Daniela. Próbował mu nawet pomóc. Raz załatwił mu robotę przy stawianiu ogrodzenia, to znów wysłał go do swojego brata, który prowadzi warsztat samochodowy, żeby roznosił ulotki.

– Potem pytam brata, czy był Daniel, a on mówi, że był jakiś chłopak. Postał w drzwiach z dziesięć minut. Nic nie powiedział i poszedł. No to nie dostał roboty – wspomina. – Daniel ma coś z głową, ale nie wiem co. No, teraz żyje z jakiejś renty, czasami nawet piwko wypije. Dawno go nie widziałem.

– I nigdy go pan nie zapytał, co tam z tym księdzem było?

– Nie. Nigdy nie miałem odwagi. Coja bym mu powiedział, gdyby on mi powiedział, że go molestował?

Marek twierdzi, że wszyscy wiedzieli, co się dzieje w internacie. Ale nikt nie chciał iść na wojnę z księdzem.

– Panie, on znał pół komendy w naszej miejscowości. Kto na takiego doniesie? Zresztą wie pan, jego nauczyciele mieli za Boga. Jak był Byczek, to wszystko było w porządku. Jak się coś działo, to wzywali Byczka. Zresztą, o czym my mówimy. Wiesz pan, że on znał aktorów? Na święta Bożego Narodzenia ściągnął Pazurę. Radka Pazurę. Występował u nas w przedstawieniu, grał Mikołaja. I co mam panu jeszcze powiedzieć? – dodaje Marek.

Mężczyzna nie ma żalu do duchownego, że ten czasami bił. Według niego to było normalne. Skoro w tym czasie w ośrodku była młodzież z Pragi i Grochowa, złodzieje i narkomani, to czasami trzeba było przyłożyć, inaczej roznieśliby ten ośrodek.

– On lubił się chwalić. Miał w pokoju radio na płyty. Czasami jak się tam poszło, to włączał piosenki, posłuchało się trochę. To były inne czasy. Dzisiaj w każdym domu jest radio i kolorowy telewizor. Wtedy nie każdy miał. Opowiadał nam, czego to on nie

ma w domu, i obiecywał, że nas tam zabierze – dodaje Marek. – A ile on dostał do odsiedzenia? – pyta mnie Marek.

– Siedem lat.

– Skurwysyn mało dostał. Powinien dostać dziesięć. Wszystko, co ludzie mówią, to prawda. A gdzie on siedzi?

– W Łodzi.

– Powinni mu tam dać porządny wpierdol za wszystko, co robił. Kiedyś oglądałem taki reportaż na Polonii. O Polakach na Dominikanie. Patrzę, a tam Byczek. O kurwa, pomyślałem. I następnego dnia spotkałem nauczycielkę ze szkoły i mówię do niej: Byczek się na Dominikanie urządził.

Marek pamięta, że Michał nie tylko w święta wielkanocne był w domu księdza pod Krakowem.

– To było już późną wiosną. Pojechali razem maluchem księdza, ale w poniedziałek wrócił tylko Michał. Wojtek nie przyjechał do internatu. Poszliśmy na fajkę i wzięliśmy Michała na spytki. No, tak normalnie. Jak było u księdza, co robili? On tylko powiedział, że uciekł od niego. Plunął na ziemię i powiedział, że on okazał się świnią czy coś takiego. Od tego czasu ich relacje się zmieniły. Jak chce pan się jeszcze czegoś dowiedzieć, to musi pan porozmawiać z Piotrkiem, Bartkiem i Borysem. Borys często chodził do niego do pokoju, bo miał czyraka na tyłku. I on tam mu podobno opatrunki zmieniał. To co – on był księdzem czy pielęgniarką? Na pewno tam coś było. Pan z nim porozmawia. I wszystko wiedziała jedna nauczycielka. Pani Ewelina. Ona o nas bardzo dbała, chciała pomóc. Myślę, że na sto procent wszystko wiedziała. Potem księdza wyrzucili ją z pracy – opowiada Marek.

KIEROWNIK DARIUSZ K.

Ksiądz Dariusz K. był kierownikiem internatu. Zarówno dzieci, jak i nauczyciele podejrzewali go o homoseksualizm.

Ksiądz K. wziął się na jednego z wychowanków – Janusza. Biedny chłopak trafił do ośrodka z jednego z domów dziecka. Nie miał rodziców. W bidulu też nikt za nim nie tęsknił. Kierownik

wziął go pod swoje skrzydła. Dlatego inni chłopcy go nie lubili i nie szanowali. Mówili, że jest przydupasem kierownika. Podejrzane relacje zauważyli też nauczyciele, ale jak zwykle milczeli.

– Janusz na przykład mógł nie chodzić do szkoły. Wtedy ksiądz K. go usprawiedliwiał. My wiedzieliśmy, że on nie chodzi, bo mu się nie chce, ale co mogliśmy zrobić. Nam, nauczycielom, nie wolno było wchodzić do pomieszczeń internatu – wspomina Ewelina. – Takie były zasady, że cywilni pracownicy nie mogą tam wchodzić. Ksiądz kierownik na przykład sprzątał pokój Janusza. Albo pozwalał mu się bawić jego lunetą do obserwacji gwiazd. Był jedynym uczniem, który mógł jej dotykać.

Ksiądz K. zezwolił Januszowi na pozostanie w ośrodku po ukończeniu szkoły zawodowej. Nikt nie mógł zostać dłużej, ale Janusz tak. Ksiądz wystąpił też do władz jednego z podwarszawskich miast o przyznanie mu mieszkania komunalnego. Chłopak po ukończeniu szkoły nie miał się gdzie podziąć.

– Nawet załatwił mu dobrą robotę, ale Januszowi nie chciało się pracować i po kilku dniach rzucił ją i wrócił do kierownika. A ten go przyjął – dodaje Marek. – Kiedyś była też taka sytuacja, że Janusz z Marianem (inny uczniem z ośrodka) uprawiali seks. Złapał ich ksiądz K., ale nic z tym nie zrobił.

To nie był jedyny tego typu przypadek. Innego dnia ciężarna nauczycielka wyszła na chwilę z klasy, bo musiała skorzystać z toalety. Nauczyciele mieli oddzielną ubikację. Jednak żeby do niej wejść, musieli przejść przez wspólny korytarz z toaletą dla uczniów. Kiedy nauczycielka otworzyła drzwi, zauważyła dwóch uczniów uprawiających seks. Jednym z nich był właśnie Janusz.

– Oni byli w ciężkim szoku i ja byłam w ciężkim szoku. Odebrało mi kompletnie mowę. Oni się mnie nie spodziewali. Robili to na środku toalety. Nawet nie zamknęli drzwi. Dopiero po krótkim czasie kazałam im się natychmiast ubrać i wracać na lekcje. Myśli pan, że zrobiło to na księżach wrażenie? Nie sądzę. Janusz był przecież pupilem księdza kierownika – mówi Ewelina.

– Nie mieliście wcześniej sygnałów, że relacje między księdzem kierownikiem a Januszem są zbyt bliskie?

– Nam nie wolno było wchodzić do internatu. Oczywiście między sobą rozmawialiśmy o przypuszczeniach, ale nikt nie

miał, jak to się dziś mówi, twardych dowodów. Poza tym kiedy ja się zaczęłam domyślać, Janusz miał już osiemnaście lat i w świetle prawa mógł robić, co chciał. Przekazałam to dyrekcji, ale oni nic z tym nie zrobili. Jak zawsze – odpowiada nauczycielka.

Według relacji uczniów i innych nauczycieli z ośrodka, dochodziło tam do wstrętnych praktyk. Afera z księdzem G. trochę rozwiązała im języki. Ale i tak za dużo nie chcą mówić. Mam wrażenie, że wstydzą się, że nie zareagowali wtedy. Wstydzą się, że do końca nie wierzyli uczniom. Myśleli, że chłopcy zmyślają, mają bujną wyobraźnię. Zresztą niektórych rzeczy, które opowiadają, nie da się już dziś zweryfikować.

Jedna z nauczycielek powiedziała mi, że do ośrodka trafiła wtedy, gdy wyrzucono z niego prawie całą kadrę nauczycielską. Pozbyto się ich, bo dowiedzieli się o molestowaniu seksualnym dzieci i chcieli zawiadomić policję. Ale na ślad tej afery nie wpadłem. Sprawdziałem w komisariacie i prokuraturze. Nikt nic nie pamięta, nie ma żadnej dokumentacji. A księża? Zaprzeczają.

SODOMA I GOMORA

– Pracowałam tam siedem lat. Gdy tylko zaczęłam tam przychodzić z moim bratem, bo on też tam pracował, to pocztą pantoflową dotarło do nas, że księża nie tylko popijają, ale też defraudują pieniądze od wiernych, czasami zapraszają sobie prostytutki, a niektórzy mają nawet ciągotki do dzieci – opowiada inna nauczycielka.

Twierdzi, że często rozmawiała z wychowankami. Zwykle wizytę u niej traktowali jak spowiedź w konfesjonale.

– To była zbieranina dzieciaków. Niby to był ośrodek dla dzieci upośledzonych, ich było około dwudziestu procent. Reszta to była łobuzeria i patologia z warszawskiej Pragi Północ. Oni wyżywali się na tych biedniejszych i upośledzonych. Nawet niektórzy klerycy bali się tych łobuzów. Oni przychodzili po pierwszym roku seminarium duchownego. Niektórzy to były takie ciapy. Chowali się przed tymi rozrabiakami. Oni nie mieli żadnego przygotowania pedagogicznego, żeby zajmować się

normalną młodzieżą, a co dopiero taką patologią – dodaje nauczycielka.

Dzieciaki zwierzały się jej. Głównie z tego, że starsi im dokuczają, okradają i biją. Ale przychodzili do niej też ci niegrzeczni. I oni też się skarżyli, że z kolei ich leją klerycy.

– G. się wyróżniał. Był dobrze zbudowany i żaden mu nie podskoczył. Za to on zdecydowanie nadużywał dyscypliny. Postrzegałam go jako bardzo agresywnego człowieka. Miał taką wyrzeźbioną z drewna pałę i walił dzieciaki tym kijem. Razem z kolegą założyli pokój kaźni. Bili tych uczniów po tyłkach, po stopach. Tak żeby śladu nie zostawiać. Ale także ich policzkowali, szturchali. Kierownik internatu robił tak samo – mówi.

– Dlaczego nie reagowaliście?

– Przestaliśmy. Nasze reakcje nic nie dawały. W końcu się do tego przyzwyczailiśmy. Nas też księża nie szanowali. Byli wściekli, że w szkole uczą nauczyciele cywilni. Kiedyś o dwudziestej trzeciej zadzwonił do mnie ksiądz kierownik, że mu wypożyczyłam film pornograficzny. Wie pan, co się okazało? Oni mieli na terenie ośrodka taki biały salonik. Tam urządzali schadzki, oglądali firmy pornograficzne. I wtedy podejrzeli ich uczniowie, a oni wszystko próbowali zwalić na mnie. Zresztą potem się okazało, że oni byli mocno zadłużeni w sąsiadującej z ośrodkiem wypożyczalni kaset wideo. Wie pan, kiedyś to się kasety wypożyczało. Właścicielka przysłała któregoś dnia i powiedziała, że nabrali dużo filmów i ich nie oddali.

– Nie mogliście zgłosić, że molestują dzieci?

– No, o tym to ja nie wiedziałam. Wie pan, o tym Januszu z domu dziecka, co go kierownik internatu tak faworyzował, to wszyscy wiedzieli. Nauczyciele i księża. Dariusz K. zabierał go wszędzie. A jak gdzieś wyjeżdżał, to też go zabierał ze sobą. Kiedyś zrobiło się w ośrodku głośno o tym, że księdza K. i Janusza nakryto, jak uprawiali seks. Wtedy zaczęłam się nad tym zastanawiać. Ale tu żadne interwencje nie przynosiły rezultatu. Wszystko wyciszali michalici. I bagatelizowali.

Kolejna nauczycielka wspomina innego kleryka – dyrektora, który najczęściej organizował imprezy, na które sprowadzali sobie dziewczyny. Według niej czuł się zupełnie bezkarny, bo jego wuj był generałem zakonu.

– Miał kochankę z południa Polski. Nam mówili, że ona załatwia dary dla dzieci. A ona przyjeżdżała tu do niego. Potem oglądałam program Ewy Drzyzgi w TVN „Rozmowy w toku”. Patrzę, a tam występuje ten ksiądz razem z nią. Okazało się, że wystąpił z zakonu i się z nią ożenił. Mają dwoje dzieci. Pierwsze urodziło się, jak jeszcze był u nas dyrektorem. Ja po kilku miesiącach pracy tam przestałam w ogóle chodzić do kościoła, choć jestem osobą wierzącą. Ten zakon powinien zostać rozwiązany. Ci ludzie nie mieli żadnych kompetencji. Byli bez powołania. Zresztą większość z nich występowała potem z Kościoła – wspomina pedagog.

Niektórzy nauczyciele, z którymi rozmawiałem, byli przesłuchiwani przez policję po wybuchu afery z księdzem Wojciechem G.

DOSTAŁ, BO OBRAZIŁ BOGA

– Dokładnie już wszystkiego nie pamiętam. Minęło tyle lat. Ale zeznałam policjantom, co tam się działo – mówi jedna z nauczycielek.

W głowie utkwiała jej szczególnie jedna lekcja. Kiedy weszła do klasy i zapytała, gdzie jest reszta uczniów, bo kilku brakowało, koledzy powiedzieli, że księża ich zatrzymali i się z nimi rozliczają. Nauczycielka wiele razy widziała poobijanych gimnazjalistów. Wyszła z klasy i pobiegła do internatu. Weszła tam, choć obowiązywał zakaz. Pociągnęła za klamkę, słysząc stłumione krzyki chłopców. Drzwi jednak były zamknięte.

– Zaczęła walić pięściami w drzwi tak, że się jeszcze bardziej wystraszyłem – opowiada Marek. – Byczek i jego dwóch kolegów przestali nas łać. Nauczycielka kazała im natychmiast otworzyć drzwi, ale oni tylko je lekko uchylili. Krzyczała do nich, że mają nas natychmiast wypuścić. Oni się wtedy chyba jej przestraszyli. Jak tylko odeszła, wypuścili nas z pokoju i wróciliśmy do klasy.

Każdy widział, że wszyscy trzej byli mocno pobici. Zwłaszcza Marek. Miał stłuczenia na głowie, czole, policzkach. Chłopak przyznał, że dostał od Byczka, który założył rękawice bokerskie

i walił w niego jak w worek treningowy. Nauczycielka po lekcjach poszła na rozmowę z klerykami. Ksiądz Leszek z uśmiechem na twarzy powiedział jej, że bili go, bo obraził Boga.

– Boga to znaczy kogo? – dopytywała.

– Mnie – odpowiedział ksiądz Leszek.

– Powiedziałam wtedy, że to on obraża Boga, jeśli bije młodszych i bezbronych. Dodałam, że mnie na katechezie inaczej wychowywano. Jeśli Bóg zesłał ich, by opiekowali się dziećmi chorymi lub z patologicznych rodzin, to powinni ich wspierać, a nie bić. Podczas tej awantury zagroziłam, że jeśli jeszcze raz zobaczę pobite przez nich dziecko, to zawiadomię Lundację Dzieci Niczyje i policję. Chyba poskutkowało, bo żadne dziecko nie przyszło już na lekcje posiniaczone – mówi Ewelina.

Jak nietrudno się domyślić, księża jej nie lubili. Zresztą to była jedna z ostatnich interwencji nauczycielki. Została zwolniona z pracy.

Jeden ze śledczych opowiedział mi historię Andrzeja. Chłopak miał padaczkę, zdiagnozowaną jeszcze w podstawówce. Nie należał do najgrzeczniejszych w ośrodku. Nie akceptował tego, że księża biją dzieciaki. Często wstawiał się za tymi pobitymi.

– Pierwszy raz dostał, jak walnął w nos Byczka. Normalna sytuacja. Trenowali sztuki walki na sali gimnastycznej. Ksiądz go za mocno przycisnął i Andrzej odruchowo z bólu uderzył go głową w nos. Tak że krew mu poszła. Wtedy Byczek i jego koledzy zabrali go do swojego pokoju i tam we trzech mu porządnie włąli. Okładali go pasem i listewką. Na koniec zagrozili, żeby lepiej nikomu nic nie mówił. A nawet jak powie, to i tak mu nikt nie uwierzy. Innym razem dostał od kierownika internatu, bo ten usłyszał, jak przez telefon powiedział „kurwa”. Akurat przechodził i miał w ręku pęk kluczy. Złapał za nie i uderzał chłopaka dopóty, dopóki nie upuścił słuchawki i nie przewrócił się na ziemię. Po czym wstał i zaczął okładać księdza – mówi jeden ze śledczych.

Wybuchła wtedy w ośrodku spora afera, bo Andrzej rozmawiał akurat przez telefon z matką.

– Andrzej krzyczał do słuchawki: Mamo, mam, przyjeżdż tutaj, zostaliśmy pobici! Pojechałam następnego dnia rano – wspomina matka chłopaka. – Zażądałam rozmowy z księdzem dyrektorem, ale on nie miał akurat czasu. Postanowiłam

poczekać do następnego dnia. Udało mi się do niego wejść. Opowiedziałam o całym zajściu, ale on zrobił zdziwioną minę i stwierdził, że o niczym nie słyszał. Wezwał księdza kierownika i tamten się przyznał. Z tego co wiem, dostał jakąś karę.

– Syn opowiadał pani, że księży biją dzieci?

– Coś mi tam mówił. My bardzo często rozmawialiśmy przez telefon. Tylko ja nie we wszystko wierzyłam, ja znalazłam ten ośrodek dla syna, bo miał problemy z narkotykami. Wpadł w nieodpowiednie towarzystwo. Pomyślałam, że jak pójdzie do szkoły z internatem sześćdziesiąt kilometrów od domu, to może skończy z tym paleniem trawki.

– Poznała pani księdza Wojciecha G.?

– Może gdzieś go tam widziałam. Tak, Andrzej mi go pokazywał, ale nie rozmawiałam z nim. Powiedział mi, że na niego Byczek mówią.

– A nie opowiadał pani, że podejrzewają, że może molestować dzieci?

– Nie, nie. Tego nie mówił. Ja nic nie wiedziałam. To znaczy, czasami na zebraniach albo na świetlicy rodzice przekazywali sobie jakieś informacje. Nawet kiedyś pytałam o to wychowawczyni Andrzeja, ale ona powiedziała, że o niczym takim nie słyszała. A że bili, no to bili. To było wiadomo.

Andrzej nie raz był poobijany przez księży pracujących w ośrodku. Najczęściej za to, że wstawiał się za innymi bitymi. Któregoś wieczoru, gdy wyszedł z pokoju do łazienki, usłyszał krzyki dochodzące z pokoju wychowawców. Po cichu podszedł pod drzwi i zaczął nasłuchiwać. Okazało się, że księży wymierzają sprawiedliwość Markowi. Chłopak najpierw pociągnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte, potem zaczął je szarpać, ale nikt nie otwierał. Słyszac nieustające krzyki kolegi, rozpędził się i z całej siły kopnął w drzwi. Wpadł z nimi do środka. Wtedy zobaczył posiniaczonego kolegę zwijającego się z bólu. Krzyknął do niego, żeby uciekał, a sam zaczął bić się z duchownymi.

Księża nie mieli z nim lekko. W końcu, żeby się go pozbyć, po jednej z bijatyk postawili matce warunki. Wtedy Andrzej był w trzeciej klasie gimnazjum.

– Kazali mi go zabrać na odwyk do szpitala w Garwolinie – opowiada matka Andrzeja.

Po cichu dogadali się z nią, by nastolatek nie wracał już do ośrodka, a oni załatwią, by ukończył szkołę. Tak też się stało. Mimo że chłopak przez kilka miesięcy nie pojawiał się w ośrodku, dostał świadectwo. Jego matka próbowała namówić duchownych, by pozwolili mu ukończyć zawodówkę w ośrodku, ale księży się na to nie zgodzili.

– Przykro mi było, ho na innych się zgadzali. Przez trzy lata działałam w trójce klasowej, organizowałam wszystko. No, ale trudno, to już minęło. Na szczęście Andrzej skończył szkołę. Ożenił się i teraz ma trójkę dzieci – dodaje kobieta. – Zeznawałam w tej sprawie, ale nie mogłam za dużo powiedzieć.

Andrzej też składał zeznania. Opowiedział o wszystkim, co mu się przytrafiło w ośrodku zarządzanym przez księży. Chłopak do dziś ma pretensje do matki, że oddała go do internatu. Nie rozmawia z nią od lat. Jest nerwowy.

Długo się leczył. Potem wpadł w nie najlepsze środowisko: piwo, marihuana. Z czasem zaczął nadużywać środków psychotropowych. Trudno mu powstrzymać emocje, kiedy opowiada o tym, co działo się w czasach gimnazjum. Momentami płacze, a nawet wpada w histerię.

TAJEMNICZE ZAGINIĘCIE

Choć tamten ośrodek już nie istnieje, to za sprawą padre Alberta pod koniec 2013 roku znalazł się w centrum uwagi warszawskich śledczych. Policjantów interesowała ścieżka zawodowa księdza oraz ewentualne zapiski w dziennikach. Przede wszystkim tych z internatu. Za ich prowadzenie odpowiadali klerycy, którzy opiekowali się dziećmiakami.

Kiedy funkcjonariusze pojawili się w dawnej szkole, okazało się, że w archiwum są wszystkie dokumenty oprócz tych z lat 2000/2001, kiedy na praktykach był kleryk Wojciech G.

Ksiądz Rafał M., który zakładał archiwum i za nie odpowiadał, twierdził, że jeszcze niedawno wszystkie dokumenty były. Nie wiedział, jak doszło do ich zniknięcia.

Powiedział, że gdy ostatnio zaglądał do archiwum, panował tam pedantyczny porządek. Zdradził funkcjonariuszom, że archiwum porządkował razem z jedną z nauczycielek Moniką C.

Kobieta od kilku lat nie pracuje w ośrodku. Parę razy jednak księża telefonowali do niej i prosili, by pomogła im odnaleźć jakieś dokumenty. Pierwszy raz była w archiwum na początku 2013 roku. Księża poprosili, by znalazła dokumenty jednej z nauczycielek, bo wystąpił o nie Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Według niej w archiwum był wtedy idealny porządek. Jak twierdziła, zastała je tak, jak zostawiła przed kilkoma laty. Bez trudu znalazła potrzebne papiery. Drugi raz poproszono ją o pomoc pod koniec 2013 roku.

Kiedy teraz weszła do archiwum, nie mogła go poznać. Panował tu straszny bałagan. Część dokumentacji nie stała w szafkach, dzienniki nie były poukładane datami. Większość rzeczy leżała porozrzucana. Wyglądało to tak, jakby ktoś niedawno splądrował to pomieszczenie – podobno cały czas zamknięte na klucz. Brakowało rocznika 2000/2001.

NIE MOGĘ ROZMAWIAĆ

Ksiądz kierownik Dariusz K. jest dziś proboszczem w jednej z górskich parafii. Udało mi się dodzwonić tuż przed jego podróżą pociągiem. Mimo że nalegałem, by rozmowę przeprowadzić gdy już dotrze na miejsce, ksiądz przekonywał mnie, że ma jeszcze chwilę do odjazdu pociągu i chętnie porozmawia.

– Piszę książkę o ośrodku specjalnym i księdzu Wojciechu G. Chciałbym o tym z księdzem porozmawiać.

– Ale o czym?

– Był ksiądz kierownikiem internatu w ośrodku specjalnym pod Warszawą?

– No tak, byłem.

– Nauczyciele i wychowankowie ośrodka twierdzą, że działy się tam różne rzeczy. Jedni byli molestowani seksualnie, inni bici przez księży.

– Ja nic takiego nie słyszałem. Nie mogę o tym rozmawiać. Proszę dzwonić do zgromadzenia – mówi, jękając się, podenerwowany ksiądz Dariusz K.

– Ale skoro ksiądz tam zarządzał, to na pewno ksiądz wie lepiej.

– Ta sprawa została umorzona w prokuraturze. Nic nie mam do powiedzenia.

– No, nie do końca została zakończona. Prokuratura musiała umorzyć sprawę, bo zarzuty się przedawniły w 2011 roku, ale to wcale nie oznacza, że w ośrodku księży nie nadużywali dyscypliny.

– Nie będę o tym więcej rozmawiał.

– A pamięta ksiądz wychowanka Janusza?

– Tak. Pamiętam.

– Część nauczycieli i wychowanków twierdzi, że był ksiądz z nim w bardzo bliskich relacjach.

– Nic podobnego – odpowiadał wyraźnie poirytowany duchowny.

– I to nie ksiądz wysyłał pisma do władz samorządowych jednego z podwarszawskich miast z prośbą o przyznanie mieszkania Januszowi?

– Wielu uczniom pomagałem. Załatwiałem pracę i mieszkania.

– I wszystkim uczniom ksiądz sprzątał pokoje? Wszystkim ksiądz pozwalał nie chodzić do szkoły?

– Mam zakaz rozmowy.

– Jeden z byłych wychowanków opowiedział mi, że ksiądz pobił go w internacie. Uderzał go ksiądz w głowę pękiem metalowych kluczy. Tę informację potwierdziła też jego matka.

– Proszę dzwonić do zgromadzenia. Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

Zdenerwowany zakonnik rozłączył się.

**CZĘŚĆ
DZIESIĄTA**

PROSZĘ O WYBACZENIE

20.03.2015, GODZINA 10, SĄD REJONOWY W WOŁOMINIE.

Trudno dojechać do sądu – wszystkie wjazdy i wejścia do budynku są szczelnie obstawione przez policjantów. Stacje telewizyjne i radiowe rozstawiają wozy transmisyjne. Część dziennikarzy ustawia się przed budynkiem sądu. Stąd nadają swoje korespondencje już kilka godzin przed rozpoczęciem procesu.

Nikt się nie spodziewa tego, co się za chwilę stanie na sali rozpraw. No, może z wyjątkiem prokuratora Cieślińskiego, padre Alberta i jego obrońcy. Oni wiedzieli to od co najmniej kilku miesięcy. Dokładnie to przedyskutowali. Długo negocjowali.

Przed salą rozpraw stoi kilka osób. Dwóch adwokatów. Oni reprezentują pokrzywdzonych. Tych z Dominikany i z Polski. Zostali wyznaczeni z urzędu. Na ławce w rogu siedzi młody mężczyzna. Rozpoznaje w nim Michała z podwarszawskiego ośrodka. Ma być za chwilę przesłuchany.

Przewodnicząca składu sędziowskiego sędzia Alina Bielińska nie pozostawiła dziennikarzom złudzeń i od razu wy łączyła jawność procesu. Można się było tego spodziewać, ponieważ w większości spraw o molestowanie seksualne nieletnich sędziowie utajniają postępowanie. Przede wszystkim dlatego, by nie narażać pokrzywdzonych.

Miejsce na ławie oskarżonych zajął jakiś skulony podstarzały mężczyzna. Łysy, ważący może 50 kilogramów, podpierający rękami opadającą głowę. Pilnują go policjanci. Obok siedzi mecenas Michał Szreniawa i tylko dzięki temu można się zorientować, że mężczyzna siedzący przy adwokacie to padre Alberto. Były ksiądz, który kilka miesięcy wcześniej napisał do Watykanu prośbę o usunięcie go ze stanu duchownego.

Wojciech G. nie przyznaje się do molestowania chłopców. Jedyne, do czego się przyznaje, to posiadanie broni i amunicji bez pozwolenia.

Jego wystąpienie jest pełne sprzeczności. Z jednej strony się nie przyznaje, a z drugiej przeprasza wszystkich, którzy czują się zgorzeleni. Przeprasza i prosi o wybaczenie rodzinę, Kościół katolicki, tych, którzy go oskarżają, i tych, którzy czują się przez niego skrzywdzeni.

Pod koniec przesłuchania składa wniosek o dobrowolne poddanie się karze.

Takie prawo przysługuje każdemu oskarżonemu. Dzięki temu może on uniknąć przewlekłego procesu, który w Polsce w skomplikowanych sprawach potrafi ciągnąć się latami. Oskarżony we wniosku proponuje karę, na jaką powinien zostać skazany. Oczywiście taki wniosek składa przed sądem po uzgodnieniu go z prokuratorem. Tylko wtedy sąd może się do niego przychylić. Co ważne, przychylając się do wniosku, sąd nie może mieć wątpliwości, że doszło do przestępstwa i że oskarżony jest winny. Zwykle swoją wiedzę opiera na aktach sprawy. I jeszcze jedno: sąd może wydać taki wyrok, jaki zaproponował oskarżony. Dlatego tak ważna jest akceptacja prokuratora i wspólne wynegocjowanie wysokości kary.

Tak było też w tym przypadku. Mecenaz Szreniawa negocjował warunki tego wyroku z prokuratorem Cieślińskim jeszcze przed skierowaniem aktu oskarżenia do sądu. To oczywiste, że prokuratorowi zależało na jak najwyższej karze, a obrońcy na jak najniższej. Jak udało mi się ustalić, początkowo Cieśliński chciał, by padre Alberto spędził za kratkami osiem lat więzienia. Z kolei padre Alberto chciał kary sześciu lat pozbawienia wolności. Po kilku miesiącach obie strony wypracowały kompromis.

Dobrowolne poddanie się karze zostało wprowadzone, by zapobiec przewlekłym procesom sądowym oraz wysokim kosztom. W przypadku zastosowania tej procedury cały proces kończy się na pierwszym bądź drugim posiedzeniu sądu.

Padre Alberto za wszelką cenę chciał uniknąć długiego procesu. Wiadomo, że na prawie każdym pojawialiby się dziennikarze i szczegółowo go relacjonowali. Jego sprawa przez kilka lat systematycznie powracałaby w mediach. Chciał chronić swoją rodzinę. To bardzo ludzkie. Nieprzyznanie się do winy miało sprawić, że ludzie, zwłaszcza ci mniej wykształceni,

zaczną mieć wątpliwości. Uwierzą, że skazała go mafia, bo walczył z narkotykami...

WYROK

25.03.2015. GODZINA 10, SĄD REJONOWY W WOŁOMINIE.

Sąd wymierzył oskarżonemu karę łączną siedmiu lat pozbawienia wolności oraz zadośćuczynienie w wysokości 155 000 złotych, zakaz pracy z dziećmi przez piętnaście lat oraz zakaz kontaktu z pokrzywdzonymi.

Kary jednostkowe dla Wojciecha G. za czyny popełnione przeciw niżej wymienionym:

POKRZYWDZONY	KARA POZBAWIENIA WOLNOŚCI (w latach)	ZADOŚĆUCZYNIENIE (w złotych)
MICHAŁ	3	15 000
DANIEL	2,6	15 000
CARLO	3,6	40 000
RANDY	2,6	30 000
MARCEL	2,8	15 000
ASHLEY	2,6	15 000
CHARLIE	2,6	10 000
DALVIN	2,6	15 000

PO WYROKU

Padre Alberto siedzi w więzieniu w Łodzi. Podobno poddał się leczeniu.

Żaden z pokrzywdzonych nie dostał dotąd złotówki z zaproponowanego przez Wojciecha G. i orzeczonego przez sąd zadośćuczynienia.

- Carlo według prokuratora był molestowany przez padre Alberta co najmniej cztery lata, czyli 1460 dni. Sąd przyznał mu największe zadośćuczynienie ze wszystkim pokrzywdzonych – 40 000 zł. Każdy dzień molestowania chłopca wycenił na 27 zł.
- Za każdy dzień pobytu padre Alberta w więzieniu płacimy 76 zł. Siedem lat będzie kosztować 194 180 zł.
- Śledztwo prokuratury w jego sprawie kosztowało prawie 100 000 zł.

Kontaktowałem się z Wojciechem G. po wyroku, gdy już był w więzieniu. Chciałem, by ustosunkował się do zebranych przeze mnie informacji. Odmówił. Powiedział, że występy medialne nic dobrego mu nie przyniosły.

Arcybiskup Józef Wesołowski, były nuncjusz apostolski na Dominikanie, nie dożył procesu. Zmarł w Watykanie, a jego sprawa została umorzona. Był jak dotąd najwyższym rangą duchownym oskarżonym o pedofilię.

Księża ze Zgromadzenia Świętego Michała Anioła powiedzieli mi, że nic im nie wiadomo, by Wojciech G. nie wypłacił poszkodowanym zadośćuczynienia. Po pytaniu, czy zrobią to za niego, zapadała cisza.

Wojciech G. winny i skazany

Za seks z chłopcami był ksiądz został wczoraj skazany na siedem lat więzienia, 155 tys. zł zadośćuczynienia i 15 lat zakazu pracy z dziećmi.

MARIUSZ JALDSZEWSKI

Szybkim wyrokiem zakończył się jeden z największych w ostatnich latach skandałów pedofilskich w polskim Kościele. Wojciech G. w ubiegłym tygodniu na pierwszej rozprawie zaproponował dobrowolne poddanie się karze. - To stan psychiczny i otoczka sprawy zdecydowały prawdopodobnie, że mój klient poddał się karze - mówił mec. Michał Szreniawa, obrońca byłego już księdza (kilka tygodni temu prawomocnie został usunięty ze stanu kapłańskiego).

Prokuratura i pełnomocnicy pokrzywdzonych chłopców z Dominikany mieli pięć dni na zastanowienie się, czy przyjąć propozycję G. Bez ich zgody sąd nie miałby wyjścia i musiałby przeprowadzić normalny proces z przesłuchaniem świadków, a być może i pokrzywdzonych chłopców.

To, że wczoraj zapadł wyrok, oznacza, że wszyscy zaakceptowali wymiar kary dla G.

Z naszych informacji wynika, że obrona już wcześniej sondowała prokuraturę, czy zgodzi się na dobrowolne poddanie karze. Proponowała mniej niż siedem lat więzienia.

Prokuratura nie mówiła „nie”, ale postawiła swoje warunki kary, takie jakie zawarł wczoraj sąd w wyroku.

Duchowny był oskarżony o seksualne wykorzystanie sześciu chłopców z wioski na Dominikanie w latach 2009-13 oraz dwóch polskich chłopców. Ich wykorzystal, gdy odbywał praktyki jako kleryk w ośrodku swojego zakonu pod Warszawą w latach 2000-01. Ponadto był oskarżony o posiadanie pornografii dziecięcej oraz broni. Postawiono mu dziesięć zarzutów, za które wczoraj sąd w Wołominie wymierzył mu łącznie siedem lat więzienia.



Wojciech G. został wczoraj przywieziony do sądu w Wołominie przez policję. Był ksiądz nie chciał być na ogłoszeniu wyroku

cować z dziećmi ani zbliżać się do swoich ofiar.

Chłopcom sąd zasądził też „częściowe” zadośćuczynienie w kwotach od 10-40 tys. zł. W sumie dla wszystkich do 155 tys. zł.

G. nie przyznał się do popełnienia zarzucanych mu czynów, co podkreślał wczoraj jego obrońca. Ale sędzia Alina Bielńska, ogłaszając wyrok, przy każdym z czynów uznała G. za winnego ich popełnienia, co może świadczyć, że dowody zgromadzone przez prokuraturę uznala za bezsporne.

Wojciech G. nie chciał być na ogłoszeniu wyroku, o czym poinformowała sędzia.

Wyrok nie jest prawomocny, ale najprawdopodobniej nikt się od niego nie odwoła. - Czy siedem lat to surowy wyrok, skoro G. groziło maksymalnie 15 lat? - dziennikarze pytali pełnomocników pokrzywdzonych chłopców z Dominikany. - Dla osoby, która nigdy nie była wcześniej karana, to bardzo surowy wyrok za te czyny. Nie było żadnych szans na 15 lat więzienia - podkreślał mec. Radosław Dornalewski reprezentujący trzech chłopców z Dominikany.

Czy kara była uzgodniona z rodzicami ofiar? - Jest z nimi utrudniony kontakt - przyznała mec. Marta Chmielewska reprezentująca kolejnych trzech chłopców z wyspy. Znacząca jednak, że po trwającym kilka lat procesie mogłoby zapadnąć podobny wyrok. A może i niższy, bo obrona kwestionowała wszystkie dowody. Wyrok bez procesu jest ko-

jeszcze raz przeżywać traumatycznych doświadczeń.

Ponadto otwiera on im możliwość dochodzenia od G. zadośćuczynienia za krzywdy na drodze cywilnej. Dlatego sędzia w wyroku mówiła tylko o „częściowym” zadośćuczynieniu.

Na poczet kary więzienia sąd zaliczył G. pobyt w areszcie. O warunkowe przedterminowe zwolnienie będzie się mógł ubiegać po odbyciu połowy kary, czyli za dwa i pół roku. Nie dostaniego automatycznie. Sąd będzie brał pod uwagę opinię z więzienia oraz stanowisko prokuratora. Niewykluczone też, że G. w więzieniu będzie musiał poddać się leczeniu. Takie wskazania zawarł biegły seksuolog.

Na swój proces, ale w Watykanie, czeka jeszcze drugi bohater pedofilskiego skandalu na Dominikanie - abp Józef Wesołowski. Nie będzie miał procesu w Polsce, bo prokuratura z Dominikany nie chce nam przekazać materiałów ze swojego śledztwa. Thumaczy, że wszystko przekazała do Watykanu, który teraz jest ich dysponentem. A Watykan twierdzi, że nie może ich przekazać Polsce, bo na to zgody nie dała Dominikana. Dlatego polskie śledztwo jest zawieszona. Kilka tygodni temu prokurator generalny Andrzej Seremet wysłał pismo do śledczych z Dominikany, przekonując ponownie, by przekazali nam materiały. Na razie odpowiedzi nie ma.

Nieoficjalnie mówi się, że prokuratura dominikańska najprawdopodobniej dogadala się z Watykanem,

„Gazeta Wyborcza”, 26.03.2015.

ZGROMADZENIE ŚWIĘTEGO MICHAŁA ARCHANIOŁA (POPULARNA NAZWA MICHALICI)

Działalność michalitów koncentruje się na pracy wychowawczej wśród dzieci i młodzieży szczególnie zaniedbanej moralnie i materialnie. Zgromadzenie prowadzi kilka domów dziecka oraz oratoria, w których dzieci otrzymują pomoc w nauce, w rozwiązywaniu własnych problemów wychowawczych, a często także posiłek. Pracy wychowawczej służą liczne kolonie i obozy wakacyjne, różne grupy i ruchy działające przy placówkach zakonnych, praca katechetyczna i duszpastersko-rekreacyjna.

W pracy duszpasterskiej michalici starają się nieść ewangelię środowiskom szczególnie zaniedbanym religijnie.

W działalności wychowawczej kładą nacisk na naukę pracowitości i oszczędności, wytrwałości, a także ukazywanie wartości i piękna życia, w którym człowiek stawia Boga na pierwszym miejscu.

za <https://pl.wikipedia.org/wiki/Michalici>



Piotr Krysiak

Dziennikarz prasowy i telewizyjny. Specjalizuje się w tematyce śledczej i kryminalnej. Publikował m.in. w „Życiu Warszawy“, „Super Expresie“, „Trybunie“ i we „Wprost“. Był szefem serwisów informacyjnych TVP Info, wydawcą i producentem.

W latach 2008 -2016 był współtwórcą i wydawcą popularnych programów, m.in. „Woronicza 17“ i „Minęła 20“ w TVP. Autor filmów dokumentalnych, m.in. o porwaniu i zabójstwie Krzysztofa Olewnika, reportaży o polskiej mafii czy tajemniczej śmierci Andrzeja Leppera.

Po wybuchu afery pedofilskiej na Dominikanie był jedynym dziennikarzem, któremu oskarżony książd Wojciech G. udzielił telewizyjnego wywiadu.

Autor nieautoryzowanej biografii Edyty Górniak i książki o pracy najsłynniejszego polskiego agenta CBA – Tomasza Kaczmarka.

- [1[¶]] Ten i wszystkie kolejne cytaty z wywiadu z Wojciechem G. (wyemitowanego w TVP Info 4.10.2013 r.) są zapisem wypowiedzi księdza.
- [2[¶]] Wojciech Cieśla, „Pedofil ważniejszy niż Bóg. Reportaż z Dominikany”. „Newsweek” 2013, nr 39.
- [3[¶]] Wojciech Cieśla, op. cit.